

Projekciol Nauigol Szamlyu.

34	D.
W 93	

168

MS.



JAN ŁADA



LUCIFER

GWIAZDKA W BAEDEKERZE. — PASTELE:
KTO ON. — W OTCHŁAŃ. — JAK LIŚCIE
Z DRZEW STRĄCONE



KK

NAKŁAD GEBETHNERA I WOLFFA
WARSZAWA — LUBLIN — ŁÓDŹ
KRAKÓW — G. GEBETHNER I SPÓŁKA
NEW YORK □ THE POLISH BOOK IMPORT. CO, INC.

A-18186

Krak. Muzeum

1907

**BIBLIOTEKA
UMCS
KRAKÓW**

K.1160/56/1391

WSZELKIE PRAWA PRZEDRUKU I PRZEKŁADU ZASTRZEŻONE.

□□ DRUK W. L. ANCZYCA I SPÓŁKI W KRAKOWIE. □□

1913

LUCIFER

Przyszedłem przed innymi.

Stół zastawiony był w pierwszym pokoju, w którym Zieniewicz miał nie tyle pracownię, ile artystyczne atelier. Już się był wtedy rozszedł z Niną i w mieszkaniu gospodarował bezkarnie malec groom, największy z latawców i urwisów, wraz ze starą flondrą Leokadyą, która była dawniej u Niny jako »ciotka«, potem jako kucharka, a w końcu pozostała po niej w spadku. To też ogromna izba, pełna wspaniałych makat i gobelinów, mosiężnych pajaków i renesansowych bronzów, przypominała w malowniczym swym nieładzie niezamiataną i niewietrzoną knajpę. Potężne wachlarzowe palmy po kątach żółciły się zeschniętymi i pokrzywionymi liśćmi, na mozaikowych stołach leżała gruba warstwa kurzu, na perskich dywanach wałało się wczorajsze śmiecie. Zaraz przy drzwiach, po wielkiej szczyrbie majolikowego wazonu, poznałem ślad wprawnej ręki Jóźka, a brak paru terrakotowych figurek i talerzy z saskiej porcelany na ściennych półkach przekonał mnie, że śladów tych jest więcej.

Ale jeżeli w kątach, wypełnionych cieniem, znać było opuszczenie i brak kobiecej ręki, środek pokoju zalewała fala światła, barw, woni. Ponad

rzeźbionymi kandelabrami i bogatą zastawą sreber i kryształów wznosiły się piramidy storczyków, pęki hyacyntów i kamelii. Od śnieżnej bieli adamaszkowego obrusa odbijały wieńce z róż, leśnych konwalii i fijołków, oplatające gierydony z owocami, kosze cukrów a nawet amfory z winem i srebrne wanienki, w których mroził się szampan. Ponad garściami płonących świec i strzelistemi łodygami tuberoz górowała w środku stołu znana dobrze bronzowa grupa z neapolitańskiego Museo Nazionale: pijany Dyonizos wśród szalejących bachantek.

To już sam on musiał urządzać..

Ale on właśnie wychodził do mnie i rękę mi podawał.

— Pogawędzimy tymczasem tutaj — wołał, wciągając mnie w głąb. — Tamci spóźnią się z pewnością.

Atelier i zarazem pokój gościnny Zieniewicza w tym starym, poklasztorzym gmachu był kiedyś zapewne kapitularem: wskazywały na to jego sześciokątny kształt i krzyżowe sklepienie, nadające się dobrze do dekoracyi, w jaką ją ubrał wykwintny, choć w pomysłach swych nieraz tak dziwaczny esteta. Drugą izbę tworzyły dwie celki zakonne, połączone szeroką arkadą, i nic w nich nie było z cacek i bric-à-brac'u pierwszej. Nic, prócz dębowych szaf z książkami i kilku dzieł sztuki: prawdziwa pracownia myśliciela i pisarza. Zieniewicz sam powiadał, że tu dopiero zasługuje

na przydomek, jakiego używał w naszym gronie: w atelier zwlekał skórę Giordana i stawał się Erazmem z Rotterdamu.

Lubiłem nad wyraz, gdy mnie wprowadzał do tego sanctuarium, otwierającego się dla niewielu. Imponowała mi, przygniatając ogromem swym ku ziemi, jego potężna inteligencya i genialna twórczość: sugestyonował mnie i jako pisarz i jako człowiek. Nie mogłem przecie zapomnieć, jak za szkolnych jeszcze lat serce mi się tłukło pod mundurkiem, ilekroć na kartach czasopism spotkałem świeży jeszcze wówczas, a już palący duszę, jak rozpieczone żelazo, podpis: *Giordano Bruno*, — jak z entuzjazmem, rozsadzającym piersi, gardłowaliśmy na uniwersyteckich ławach o jego sławę przeciw garstce wsteczników, napastujących »apostatę« i »wywłokę«. I dziś, jak wtedy, czułem, że jedno spojrzenie tych oczu, bezdennie posepnych a głębokich, potrafi mnie powieść na kraj świata, że za jeden uśmiech tych ust, nie uśmiechających się nigdy, gotówem oddać część życia.

Zieniewicz usiadł w swem wysokim, skórą obitem krześle, podobnem do konfesyonau, przysunął mi fotel i podał cygaro.

Siedzieliśmy przez chwilę w milczeniu. — Sklepiiona izba o ciemnych obiciach i sztywnych, surowych liniach sprzętów, spowita była w mrok: z jednej tylko strony podniesiona nieco nad lampą umbra otwierała wąską szczelinę światła na kawał ściany, wydobywając z cieniów w górze nad sza-

fami kilka brązowych popiersi: kwadratową twarz Lutra, ostry profil Husa i małpi grymas Woltera. Zato w kręgu świetlnym nad biurkiem jaśniała w całej swej potwornej a przedziwnej piękności postać Judasza. Znany jest wszystkim z niezliczonych reprodukcji ten »paradoks w bronzie«, jak któryś z krytyków nazwał arcydzieło Grygiera, — nie wszyscy wiedzą jednak, że obstalowując go, nietylko pomysł, ale i dokładny rysunek tego wyidealizowanego i uszlachetnionego Judasza-Promeusza dał Grygierowi sam Zieniewicz.

Postać ta z przenikającym ją wyrazem nadludzkiego cierpienia miała dla mnie zawsze dziwny urok. Tym razem za wzrokiem moim poszedł Zieniewicz.

— Patrzysz na mego Judasza? — rzekł mi — tak: to może najbardziej udane z moich dzieł!

Chciałem coś odpowiedzieć. Przerwał mi.

— Protestujesz w imieniu moich prac literackich, a mógłbyś dodać, że i twórcą Judasza jest przecie Grygier, nie — ja. Otóż nie! W tem jednym dziele Grygier był rzemieślnikiem i narzędziem: myśl, dusza — są moje. I to tak bardzo moje! W całej twórczości pióra jest tylko cząstka mojej myśli: tu jestem *ja*, ja cały! Więcej: tu jest ludzkość! Tak! W tym Zdrajcy typowym, w tym odwiecznym celu zniewagi i nienawiści wszystkich ludzkich pokoleń, w nim jest wcielona prastara niewolnica, wiecznie wrywająca się ku światłu i woli, i wiecznie znów odrzucana w loch i jarzmo

Psyche ludzkości, ta sama, którą filisterski świat przeklina w Kainie, ta sama, którą żyły silne duchy wszystkich buntowników, których twarze otaczają nas w tej izbie, ta sama, której wyrazem najwyższym, choć w abstrakcyę ujętym — Szatan!

Wpiłem się weń oczyma. Zdało mi się, że rósł i promieniał ponurymi blaskami otchłani. Tak wyglądać musiał Lucifer, gdy wypowiadał bój Niebiosom!

Z całego naszego grona satanistów, z dekadentyzmu i mody on jeden w ideę Carducciego włożył duszę. Był jej fanatykiem. Cały dogmatyzm jego natury, na którym klerykalne wychowanie wycisnęło niezatarte piętno, zwracał się dziś przeciw staremu Bogu i budował ołtarz nowemu. I ten nowy bóg — on nie był u Zieniewicza abstrakcyą, choć go tak nazywał; on był nawet więcej, niż uosobieniem wyzwalającej się z pętów dogmatu ludzkości: on był kimś żywym, znanym, owszem, jakoby bardzo blizkim i drogim. W walce na życie i śmierć, jaką prowadził od lat dziesiątka z wyznawanym niegdyś przez się dogmatem, Zieniewicz zdawał się spełniać z namaszczeniem i entuzjazmem, czasami nieledwie z ekstazą, akt tajemniczego jakiegoś kultu. Nazywano go też często arcykapłanem Lucifera.

Przez chwilę trwało milczenie. Potem on znów zaczął, idąc za ulubioną myślą.

— Czas już doprawdy rehabilitować Spotwartzonego. Czas uczynić zadość za tyłowiekową

krzywdę i zdruzgotać niegodziwy przesąd, wpojony pokoleniom przez klechów wszystkich wyznań i czasów! Szatan nie jest złym duchem: przeciwnie, jest on wcieleniem dobra, światła, postępu, jest zaś nim dlatego, bo jest wcieleniem buntu, a w naturalnem następstwie — wolności! Przed dziewiętnastu wiekami w fatalnej swej pomyłce, która się stała trwającą dotychczas bez przerwy jej tragedją, nieszczęsna ludzkość wymalowała sobie stracha na dorosłe dzieci, i dzięki temu skrzywiła się jej droga, wstrzymał postęp i rozwój, napętniły się bez potrzeby trwogą i troską serca milionów, złamało się bezowocnie szczęście milionów. Jak struś, chowający głowę w piasku, zamknięto oczy na niewzruszone prawo walki o byt i koniecznej przewagi mocniejszego, zamknięto je i na drugie prawo, będące przeciwwagą i naprawą tamtego: na wieczne prawo rozkoszy. Drgające krwią i życiem ciało odziano we włosiennicę, smagano biczem poświęcenia i zaparcia się siebie, pokazano jako ideał — samobójstwo zmysłów, woli, rozumu. I po nieśmiertelnie pięknych kształtach Hellady, po wielkiej myśli Platona i pieśni Homera przyszło mrozące wszystko tchnienie ciemnic katakumbowych, i w katakumby zamieniono świat cały. I trzeba było kilkudziesięciu zmarnowanych pokoleń, by wreszcie nadeszła chwila ocknienia z dławiającej tak długo zmory... dla niewielu.

Nerwowym ruchem porwał się z krzesła i przeszedł kilka razy po izbie, patrząc w ziemię.

— Tak, dla niewielu, bo ogół, nietylko ogółmotłoch, ale ogół przodującej inteligencji idzie po staremu ubitym szlakiem: na księży wygaduje, a dyabła się boi, choć weń urz dowo nie wierzy. I z tych niewielu... Iluż naprawdę, z przekonania... Iluż rozumie *Go*, jak ja, iluż odczuwa *Jego* walkę, *Jego* krzywdę, jakby powinni...

Znów przeszedł parę razy, trawiąc się i targając myślą własną, wreszcie stanął przedemną i ręce mi oparł na ramionach, wlepiając we mnie oczy, podobne do gorejących pochodni.

Uderzyła mnie zmiana, zaszła w jego twarzy. Przed chwilą poorana bruzdami, ze ściągniętymi gniewnie brwiami i stalowym połyskiem w oczach przypominała groźnego Zeusa lub samego Archaniola, którego chwały i praw bronił tak namiętnie. Teraz twarz miał łagodną, obleczoną w smutek jakiś cichy, a zarazem promieniejącą, niby w ekstazie.

Nachylił się do mnie i mówił szeptem prawie, jakby mi chciał powierzyć tajemnicę:

— Wiesz! Kiedy tak myślę o *nim*, o skrzywdzonym i spotwarzonym, i kiedy widzę, że nawet dziś, w dniach bankructwa Krzyża, nie wybiła dlań godzina zadośćuczynienia i sprawiedliwości, wówczas budzi się we mnie stary człowiek, pełen wiary w zaświat i żądy jego, budzi się stare pragnienie Wyższej Istoty i chęć oparcia się o nią, i jak niegdyś przed wizerunkiem Męki, padam na kolana przed tem oknem, otwartem w noc ciemną,

i w noc tę wyciągam dłonie moje do *Niego*, Nie-widzialnego i, ach! Nieistniejącego wcale, i szukam *Go* wśród cieniów wzrokiem, myślą, sercem, i wo-łam doń: »Wierzę, żeś jest! Wielbię cię i Kocham! Twoim, Twoim jestem! Przyjdź!!!«

Szerokim, hieratycznym ruchem kapłana, pod-czas ofiary zwracającego się do ludu, podniósł w górę ręce i głowę i wpatrzył się w gotyckie, ciosowem obramieniem ujęte okno. Mimo aureoli długich, srebrzejących włosów klasycznie piękny profil, księżym jeszcze obyczajem pozbawiony za-rostu, jaśniał dziwną młodością i pociągał tajemni-czym czarem. I taką jest moc przyzwyczajenia i pamięć w dzieciństwie słyszanych powieści, że dreszcz mnie przebiegł nagły i idąc za jego wzro-kiem, szukałem poza oknem w mrokach nocnej ciszy, czy mi się tam nie zarysuje ognistemi li-niami posępna postać upadłego Archanioła.

Tymczasem jednak z poza ciężkich dębowych drzwi zaczęły dolatywać tłumione echa szmerów i gwarów. Widocznie zaczęli już się schodzić goście.

Zieniewicz trwał w milczącej zadumie. Nie przerywałem mu, wiedząc, że nie miał zwyczaj una-ginać się do ludzi i że nieraz zaproszonym kazał na siebie długo czekać.

I teraz odprawił stojącego we drzwiach Józka niecierpliwem skinieniem ręki.

— Powiedz im, że kończę artykuł — rzekł.

— Uczysz go kłamstwa z miłości dla sztuki,

mistrzu... — zauważyłem z uśmiechem; — boć przecie nie schowasz mnie i tak, i prościej było zrzucić to na konferencję ze mną!

— Naprzód nie potrzebuję nosić sów do Aten, — odparł, ruszając ramionami; — powtóre, gdybym to nawet czynił w tym wypadku, byłoby to tylko pomaganie wrodzonym instynktom natury, czem wyrządziłbym temu nieponiowi przysługę. Nie uwierzysz, jak mnie bawi przyglądanie się stopniowemu rozwojowi instynktów bezwiednie, odruchowo przewrotnych u tego czternastoletniego potwora! Dawniej, gdy przestawszy wierzyć w miłosierdzie, wierzyłem jeszcze w altruizm, spostrzeżenia te przeraziłyby mnie: możebym próbował zabawić się w naprawianie zepsutej natury: — dziś... Ale dajmy pokój: wartoż myśl zatrzymywać nad tą ludzką gniłką? Gorzej, że inni, pozornie lepsi, mądrzy, wielcy — oni są takimi samymi Józkami...

Zrozumiałem jego myśl. Wiedziałem, że coraz bardziej od pewnego czasu zniechęcał się do naszego grona, które dawniej zwał tak chętnie »swoją szkołą« i był z niego tak dumnym, bo istotnie tworzyła je garść najzdolniejszych i najgłośniejszych w mieście i kraju. Wogóle zresztą znać w nim było rosnące szybko zniechęcenie do wszystkiego, co ludzkie.

— Ot i ci wszyscy, którzy tam się rozbijają w oczekiwaniu wyżerki i pijatyki, — mówił dalej, rzucając w tył głową z pogardliwym uśmiechem; co za komplet. Wierszwił ubiera się w swój sata-

nizm, jak w modnie skrojony frak, otwierający mu drzwi salonów. Jest to jego towarzyska racya bytu: bez tego czarnego przybrania poznanoby się na jego piramidalnej głupocie mimo rozgłosu jego pesymistycznych feljetonów. Dla Czerlańskiego jest to klucz do buduarów: kobiety przepadają za tajemniczością wogóle, a dla histeryczek posmak piekła jest tem samem, co assafetida dla zużytego podniebienia. W Grünspahnie i jego nienawiści do chrystyanizmu tkwi żyd: kwestya tradycyi i rasy. W Berskim znów z pod chlamydy i anakreontowego wieńca róż wygląda kozle kopyto starego satyra. A kobiety! Nina przynajmniej była Aspazją w wielkim stylu, a Irmie nie brak rozumu i zmysłu piękna, ale te nie przyjdą, tamte zaś! — Dwie porzuciły mężów i żyją po kolei z członkami i nieczłonkami naszego kółka, a Mela nie poszła zamąż, żeby robić to samo. I to ma się nazywać wyzwoleniem z pętów dogmatu i wiekowej niewoli ducha! Piękne wyzwolenie, polegające na upijaniu się koniakiem lub szampanem i na wygadaniu po pijanemu bezecenstw! Fe! Mierzi mnie to wszystko! Czuję, jak opadają mi skrzydła, mdleje myśl i tępi się pióro. Bo i po co uganiać się za nietoperzami starych zabobonów, kiedy synowie światła nielepsi są od nich? Poco wytaczać ciężkie działa i łamać się twardym bojem, gdy na miejsce starej warowni nie ma się nic do postawienia?

Zatrzymał się, jakby przygnieciony własną myślą.

— Tak, tak, przyjacielu, — kończył po chwili; — z Giordana Bruno strzępki tylko zostały i coraz ich mniej. Maluczko, a nie zostanie nic.

— A Lucifer? — spytałem z uśmiechem.

Zdziwiłem się wrażeniem, jakie nań wywarło to proste pytanie. Porwał się gwałtownie z krzesła i pochylił się ku mnie z gniewnie zmarszczonym czołem.

— Bez uśmiechu, gdy o *Nim* mówisz! — syknął przez zaciśnięte usta. — Nie dla żartów odsłoniłem ci głąb mojej myśli! Złudzenie-li to, czy waryacya, dość, że nią żyję, bo ona jedna dźwiga mnie ponad bezbarwną i trywialną powierzchnię życia. Ona — i was paru, którzyście się naprawdę stali dziećmi mego ducha. Ale i wy...

Urwał i milcząc poruszał ustami, jakby coś niedopowiedzianego żuł w sobie... Zrozumiałem, że cały ten paroksyzm pesymizmu, choć nie rzadki, musi mieć jakąś bezpośrednią przyczynę.

Nie myliłem się.

— Patrz — rzekł po chwili, podając mi bilecik na pół rozerwany; — Parsifal nie przyjdzie! Czytaj co pisze jego bogobojna pani!

Bilecik był nakreślony drżącym pismem kobiecem pod wpływem widocznego podniecenia.

»Szanowny panie! Mąż mój ustąpił moim prośbom i nie przyjdzie do Pana. Stan jego zdrowia, nie mówiąc już o nastroju umysłu, pogarsza się stale od owej nieszczęsnej chwili, w której Pan go pochwylił pod swą władzę. Duszę jego da-

wno mi Pan wydarłeś: teraz wydzierasz życie. Próbowałam odzywać się dawniej do twej litości: odpowiedziałeś mi urąganiem, powołując się na walkę o byt i radząc, bym cię starała się zwyciężyć. Dziś nie przychodzę z prośbą, ale z uprzedzeniem, że Zygmunta słabość przykuwa do domu i że go tam będę strzedz przed Panem i jego adeptami, że nie dopuszczę listów ani posłów, i ufam Bogu, któremu Pan wypowiedziałeś wojnę, że ustrzegę, że ocaleę bodaj ostatnie chwile mego Zygmunta przed Wami. Marya Wrzeska«.

— Naiwność rozczulająca! — uśmiechnąłem się, składając bilecik na stole. — Wypowiada ci wojnę, jak ty Bogu, i odsłania odrazu karty.

— Naiwność, albo pewność siebie, — odparł, chmurząc się bardziej jeszcze. — Ta kobieta stała zawsze pomiędzy mną a Parsifalem. Trzy lata walczę z nią o duszę męża i nieprawda, że ją wydarłem! Nie: ja ją tylko na krótko wziąłem w dzierżawę... I podobno skończył się już mój kontrakt.

Uderzył pięścią w stół, aż zabrzęknął masywny bronz Judasza.

— A przecież z was wszystkich, nie gniewaj się, ale sam wiesz o tem, — on mi był najdroższym i najbliższym, na nim największe budowałem nadzieje, w nim widziałem spadkobiercę mojej myśli! Jego idealizm, który wyśmiewaliście, jego żądza prawdy i ciągle rzucanie się w pogoń za tym świętym Graalem, dalszym od nas, niż

najdalsze gwiazdy, — to właśnie chroniło go od zmysłowego bagna, w którym tonęła reszta, to utrzymało w nim wiarę w ludzkość, gdy i mnie już jej zabrakło, to było dla mnie rękojmią, że on stać będzie, gdy inni upadną. I pomyśleć, że jedna marna pensyonarka z Jazłowca tyle czasu umiała mi go wydzierać, raz po raz pleniąc mój posiew, a teraz korzysta z chwili sposobnej, by mi go odebrać zupełnie i przywołać do chorego... księdza!

Schwycił list Wrzeskiej, zmiął go i rzucił na ziemię. Potem wstał i skierował się ku drzwiom, za którymi robiło się coraz to głośniej.

— Chodźmy, — rzekł. — Menażerya głodna i zaczyna się niecierpliwić.

Wielki ogień palił się na marmurowym kominię, czerwieniąc językowatymi płomykami fantastyczne skręty smoków i wieńców brązowych na kracie. W pająkach i kandelabrach jaśniało kilkadziesiąt świec, rozlewając po całej izbie wesele i barwę.

Goście bawili się bez gospodarza wcale dobrze. Grünspahn z Wierszwiłtem zakąsywali koniak i zapijali zakąskę przy bocznym stoliku, zastawionym przysmakami. Czerlański z Melą zakopał się w kącie poza gąszcz palm i opowiadał jej coś pocichu, pochylony nad nią i dotykając twarzą jej włosów. Toto Raniecka i Emma Lubrańska, obie mocno dekoltowane i w prowokujących tualetach, jedna z pieprzno-arogancką zalotnością semitki, druga z dezynwolturą wielkiej pani, degryngolującej z szy-

kiem i swobodą ruchów, przeglądały albumy i ilustracje, rozmawiając i śmiejąc się g'łośno, z papierosami w rękach. Przy nich stał, wpijając się oczyma w ich ramiona i dotykając ich co chwila pod pozorem naprawiania kwiatu lub koronki trzęsącemi się, zakrzywionymi w szpony palcami stary Berski, ze swą siwą bródką i mlaskającą wargą. Opodał za stołem, w ulubionej swej, wystudyowanej pozie wielkiego pana, bawiącego się »w lud«, siedział rozwalony na otomanie »Czerwony Hrabia«, od miesiąca główny akcyonaryusz i wydawca naszej »Wolnej myśli«, socyalista i ateusz z tych samych mniej więcej powodów, które zrobiły satanistę z Wierszwiłła.

— Witamy gospodarza, witamy!

— Czekaliśmy, myśleliśmy, że już się nie doczekamy!

— Witaj nasz Giordano!

— Ewoe, Lucifer.

Powitalne okrzyki krzyżowały się i głużyły nawzajem. Mężczyźni zbili się koło Zieniewicza, ściskając mu ręce. Panie ciągnęły go ku sobie spojrzeniami i uśmiechami, pełnymi wyrazu. Mógł być sam zniechęcony do swego kółka, którego mniejsza część tylko zebrała się u niego w tej chwili; nie przestał być punktem środkowym, słońcem, około którego obracały się wszystkie planety, tworzące to grono.

Lekki promień rozjaśnił mu zachmurzoną twarz pod wpływem serdecznego powitania.

— Do stołu, moi państwo — zawołał — do stołu! Życie krótkie; nie traćmy go na wstępne ceremonie, oddalające użycie!

— Brawo, brawo! Siadajmy! — przytwierdzono ze wszystkich stron.

— Czy miejsca wyznaczone? — spytał Czerlański, nie porzucający boku Meli Luft.

— Nie! Jesteśmy dziś rycerzami okrągłego stołu.

— To ja zabieram sobie mistrza! — zawołała szybko pani Toto, wsuwając rękę pod ramię gospodarza i ocierając się o niego z miną rozpieszczonej kotki i z palącym płomieniem swych aksamiitnych, bezdennie lubieżnych oczu.

— A ja mieszczę się po drugiej stronie! — dodała Mela, chwytając za krzesło obok Zieniewicza i wskazując przy sobie miejsce Czerlańskiemu.

Ale w tejże chwili Emma Lubrańska spokojnym, majestatycznym ruchem podeszła do stołu i zajęła miejsce po prawej stronie gospodarza.

Raniecka cofnęła się, czerwona, szarpiąc koronki wachlarza

— Impertynentka! — szepnęła przez zaciśnięte usta.

— Junona w separacyi z Jowiszem — rzucił jej z uśmiechem Berski, patrząc na podniesioną dumnie głowę Lubrańskiej.

— Junona napędzona przez Jowisza — poprawiła czarnooka pani, siadając obok niego naprzeciw Zieniewicza.

— Ale profil ma starożytnej kamei! — mruknął stary, wpatrując się w twarz przedziwnie pięknej złotowłosej kobiety, odwróconej od nich w tej chwili do sąsiada.

Roznoszono pasztety i majonezy, rozlewano maderę. Rozmowa zrobiła się ogólną. Mówiono o ostatniej sztuce, będącej *clou* sezonu. Panie zachwycaly się, panowie nie mieli nic do zganienia. Nie dziw: spacerowało w niej po scenie cztery gatunki widm, czarne, białe, ogniste i popielate, nie licząc gadających drzew, głosów basowych z pod ziemi i sopranowych z obłoków. Zdaniem ogólnem, jako nastrój i sugestywność Maeterlinck wyprzedzony był przez tych najmłodszych o sto kilometrów, Wyspiański robił w porównaniu z nimi wrażenie realistyczne i terre-à-terre, a Przybyszewski grzeszył nadmiarem moralności i salonowych parawanów.

— Ależ wszyscy oni są vieux jeu! — oburzała się pani Toto.

Wierszwił jednak nie dał sobie nic mówić o Przybyszewskim. Rzucajcie kogo chcecie do kosza starych rupieci, byle nie Przybyszewskiego! Przybyszewski był podług niego »seraficzny«, a opisy miały barwę perłową.

— A ty sam jesteś spóźnionym o dziesiątek lat impresjonistą — rzucił mu Grünspahn.

— Takim już umrę — odparł sentencyjonalnie Wierszwił i pełnym melancholii ruchem wychylił kieliszek Sauterne'u.

Ale Grünspahn zaczynał już swą zwyczajną filipikę przeciw modernizmowi. Był to umysł jasny i trzeźwy, więc nie mógł się pogodzić z dziwactwami kierunku, a przeczuwając jego niedalekie bankructwo, widział swój interes w wypowiedaniu szczerze zdania. To go robiło pionierem nowej idei. Czuł przytem specjalną słabość do Zoli i naturalizmu. Przeciw temu znów protestował gorąco Berski.

— Użycie powinno być estetyczne, osłonięte różami. Wspomnij na Greków. Zola sprowadza je do rynsztoka.

— Bo życie ogółu jest rynsztokiem!

— Tembardziej my powinniśmy się od tego rynsztoku oddalić i stworzyć dla siebie użycie odmienne.

— Jako nadludzie, tak!

— Nie, ale jako ludzie używający chustki do nosa i wody kolońskiej.

— Arystokracja nowego typu!

— Taka zawsze będzie. I szczęśliwie bardzo dla ludzkości, inaczej bowiem szczytem używania dla najlepszych byłaby kielbasa z kapustą i piwo drozdowskie.

— Ty-bo za używaniem nic nie widzisz!

— A ty? Tylko że ciebie zadawalnia knajpa, a ambicya góruje nad zmysłami, podczas gdy ja potrzebuję trufli i kwiatów.

— Dziękuję ci i zgadzam się. Znaczy to, że u mnie cel życia w mózgu, a u ciebie — w żołądku i powonieniu.

— Nie, bo i w oczach, i w uszach, a przez nie odbieram wrażenia estetyczne, — niezbędny dodatek do życiowej rozkoszy.

— Jedyne użycie prawdziwe — miłość! — westchnął sentymentalnie Czerlański, ogarniając niezwykłym spojrzeniem Mełę.

— Boski Eros! — Któż temu zaprzeczy? — przytwardził Berski. — Uczę on zastawia dla bogów, trzeba tylko, by zasiadły do niej i boginie.

Mówiąc to, stary wyjadacz skłonił lekko głowę w stronę siedzącej obok pani, a potem pochwycił kilka gałązek mirtu i konwalii i obwinąwszy nimi różę, wsunął jej bukiet za gors i równocześnie nachylił się ku białemu ramieniu, przyciskając do niego usta.

Pani Toto uderzyła go wachlarzem, ale nie obraziła się. Na zebraniach kółka satanistów panowała wielka towarzyska swoboda.

— Niepoprawny pan jesteś! — zaśmiała się.

— I będę nim zawsze, ilekroć siądę obok pani — odrzucił, cmokając ustami.

Czerwony hrabia tymczasem zwracał się przez stół do Zieniewicza, dmąc w wielki puzon z okazji jego ostatniego wstępnego artykułu.

Artykuł nosił nagłówek: »*Precz ze starym bogiem!*« — i wywołał ogólną sensację. Był pisany nie tylko z siłą, ale z fanatyzmem.

— Nawet nasz wielki Giordano niewiele miał podobnie porywających akcentów — mówił swym przeciągłym, nosowym głosem Orecki. — I nie

wiem doprawdy, czy znam w prasie naszej drugą rzecz tak potężną i suggestyonującą czytelnika. Przeczytawszy, zapomina się o wszystkim i chciałoby się chwytać pochodnię i lecieć z nią pod drzwi kościoła.

— Ja też miałem to na celu, — odparł spokojnie Zieniewicz; — tylko zamiast pochodni myślałem o bańce z naftą.

— Protestuję przeciw jednemu i drugiemu, — mówił Berski. — Najprzód, środek to zbyt gwałtowny, choć jako widowisko nie pozbawiony estetycznego zacięcia; powtóre, kościołów, mających artystyczną wartość, byłoby szkoda, a wreszcie — co to mnie właściwie obchodzi, że tam kilka starych bab zbiera się w sali opatrzonej wieżą lub innym ornamentem, byle nie wyłaziły z tem na ulicę i nie przeszkadzały nam żyć, jak chcemy!

— Nie! -- przerwał mu nagle donośny głos Zieniewicza.

Wszyscy zwrócili nań oczy, zdziwieni. On krzesło z hałasem odsunął, pięścią w stół uderzył, aż zabrzękły głośno kryształły i srebra.

— Nie — powtórzył; — nie i jeszcze raz — nie!

Był silnie wzburzony. Gorące wypieki wystąpiły mu na twarz. Ogień płonął w oczach.

— Co mu jest? — spytał mnie Orecki, który od niedawna był w naszym gronie i nie znał bliżej Giordana. Czy on ma słabą głowę? Bo pił niewiele.

— To nie dlatego — szepnąłem mu. — On

zawsze tak się unosi, ilekroć wspomnieć o chry-
styanizmie, którego nienawidzi z żywiołową siłą.

— Szczególne! — mruknął pod nosem hra-
bia. — A przecież dawny ksiądz!

— Właśnie dlatego!

— I ma takie dziwne zamiłowanie w klerykał-
nych przyzwyczajeniach! To mieszkanie w kla-
szorze...

— Skasowanym. Chciał koniecznie nająć ka-
plicę na salon, ale nie można było, bo tam mie-
szczą się sądy.

— Bardzo szczególne! Cały jego tryb życia,
jak i jego wygląd w tym długim czarnym surdu-
cie z wygoloną twarzą, ma silnie klerykałny od-
cień. Prawda?

— Z wyjątkiem Niny...

— Nina mi mówiła, że to ją właśnie odstrę-
czyło od niego. Miała wrażenie, że przychodzi go-
tować ją na śmierć.

Tymczasem Zieniewicz przemawiał. Głos jego,
harmonijny i z natury swej oratorski, nabrzmiał
był namiętnością i zapalem. Nie słyszałem początku,
bo mi przeszkodził Orecki. Teraz mówca docho-
dził już do konkluzji.

— Więc precz z tymi murami, kazamatami
ducha! Póki jedno dziecko na świecie zatruwać
będą katechizmem i bałamucić pacierzem, póki
w jednym miejscu, przy jednym ołtarzu odprawiać
się będą ich gusła i misterya, póty ręce nasze nie
powinny spocząć, póty nie wolno nam rzucać na-

szych kilofów, ani gasić pochodni. Aż zniknie z oblicza ziemi ostatni z nich, aż zniknie ostatni ślad ich pracy, na zgubę ludzkości prowadzonej od wieków! Wtedy dopiero będziemy mieli prawo opuścić dłonie i zawołać: »Ave Rabbi!« do Pasterza, pozbawionego owiec, do Króla, któremu wydarliśmy ostatni szmat jego królestwa!

Hrabia w dłonie uderzył.

— Pyszne! Wspaniałe! Prawdziwy zdobywca świata! — zawołał.

— Ale też i ksiądz, porywający na ambonie tłumy! — dodał ciszej, nachylając się ku mnie.

Dyskusya rozpałała się. Wierszwiłł bronił dość marnie wolności indywidualnej, choćby wolności błędu; Berski krytykował wszelkie arbitralne i teoretyczne działania, jako przeciwne życiowemu pięknu i towarzyskiej harmonii. Zieniewicz z nieugiętą swą energią i z przekonującą logiką swych argumentów obstawał przy bezwzględnym zakazie fałszu i przy zniszczeniu zabobonu ogniem i mieczem.

— Ależ to dogmatyzm i inkwizycya! — wołał Berski.

— A oczywiście, — odpowiadał z zimną krwią Giordano. — Średnie wieki miały swe strony jeśli nie dobre, to mądre i praktyczne. Jak one mówiły? »Bądź chrześcijaninem i to według naszej modły, lub idź na stos!« — Tak i my dziś musimy napisać na sztandarze »Wolnej myśli!«: »Wyrzecz się starego Boga, lub idź na latarnię!«

— Póki nie postawimy gilotyny! — mruknął w siwą bródkę Berski.

— Nie! Póki nie zaczniemy wytypić mas opornych dynamitem: gilotyna jest za stara i za powolna! — odrzucił Zieniewicz, który dosłyszał uwagę Berskiego.

I uniesiony zapalem, zaczął cytować słowa Piśma o doszczętnem wytypieniu przez Jozuego mieszkańców Kanaanu, aż do ostatniego dziecięcia, a potem znów ustęp z Sekwencyi żalobnej o oczyszczeniu świata przez ogień, stosując słowa te do naszych czasów i do zadań nowoczesnego postępu.

Raniecka pożerała go oczyma, Mela Luft drżała całym ciałem, jakby w przystępie histeryi.

Atmosfera robiła się coraz gorętsza. Roznoszono kuropaty i wyjmowano z wanienek butelki. Korki zaczynały strzelać. Przedtem wszyscy już pili dużo; teraz szampan, perlący się w kielichach, dodawał nowej energii i fantazyi.

— Na ostateczny tryumf »Wolnej myśli«, pod przewodnictwem naszego Mistrza, Giordana! — krzyknął, podnosząc pieniący się kielich Orecki.

— I na pohybel ostatniemu klesze! — dorzucił pijany już całkiem Wierszwiłł.

— Z wyjątkiem gospodarza, — uśmiechnął się Berski.

Zieniewicz znów go dosłyszał.

— Tak, księdzem jestem i cieszę się tem, bo nikt, jak ksiądz, nie potrafi bić klerykalizmu własną jego bronią! Gdyby nie był księdzem, Gior-

dano Bruno miałby podcięte skrzydła. Ale jestem nim, i dlatego drżą nasze wrogi, dlatego chwieje się ich warownia! Jestem, i tak dalece jestem, że strój księży zachowałem, że zachowałem księże przebrania, potrzebne przy ich obrzędach, jak zachowałem księżą postać i klerykalne ramy życia, bo to wszystko razem daje mi natchnienie!

Wszyscy słuchali zdziwieni, nie rozumiejąc. Mnie tylko przypomniało się jakieś gadanie Niny, do którego nie przywiązywałem wówczas wagi ani wiary, myśląc, że to jedna z plotek, mających upozorować zerwanie z Zieniewiczem.

A on mówił dalej, uniesiony winem i myślą własną.

— Przychodzą na mnie, jak na każdego, chwile zniechęcenia, słabości, niewiary w siebie, w ideę moją i pracę, której oddałem życie. Dawniej zdarzały się rzadko: teraz są częstsze, coraz częstsze... Co, myślicie, robię wtedy? Oto zamykam drzwi z pracowni do tego magazynu świecideł i cacek, dozywam z szafy starą sutannę, komżę wytartą od używania i spłowiałą stułę, w której niegdyś mawiałem kazania, słuchałem spowiedzi takich, jak sam byłem, głupców i... rozdawałem... Jednym słowem zwykły kostium klerykalnego arlekina, przygotowującego się do swego *hocus pocus*... W przebraniu tem siadam do roboty. I czy uwierzycie? Od razu, jak ręką odjął, znika małoduszność, milkną głośnie wewnętrznej krytyki i oporu, na ich miejsce zjawia się, niewiadomo skąd, siła dziwna, jakby nie moja,

duszę mi zapelnia wiara, pewność siebie i pewność zwycięstwa, w piórze czuję werwę, świeżość, władzę nad tłumem. I tak bywa zawsze, i tylko wtedy...

Było w słowach tych coś tak dziwnego, że mężczyźni obecnych przeniknął dreszcz. Nawet w chłodnej twarzy Oreckiego dostrzegłem wrażenie, a Czerlański zrobił się trupio blady i oglądał się bojaźliwie, czy za krzesłem Zieniewicza nie stoi, podszeptując mu natchnienie, Król Nocy. Ale panie wzięty rzecz z innej strony.

Zajęła je kwestya stroju.

— Nie, to byłoby przecie paradne widzieć Mistrza w sutannie! — zawołała pani Emma.

— I w stule! — dodała Mela, śmiejąc się.

Piękna Toto złożyła ręce jak do pacierza.

— Zlituj się, Mistrzu! Zrób nam tę łaskę! Przebierz się! Przecież to karnawał!

Emma i Mela zaczęły klaskać i na krzesłach podskakiwać z radości. Były już wszystkie mocno podochocone i oczy świeciły im, jak wilcze ślepie.

— Ach, dobrze, bardzo dobrze! Koniecznie! Musisz to zrobić dla nas, Mistrzu, musisz! Nie puścimy cię inaczej!

Mówiąc to, Mela przytuliła się do niego, przyciskając śliczną główkę do jego piersi i podnosząc ku niemu oczy chabrowe, świdrujące i przenikliwe, niby sztylety. Pani Emma bez ceremonii otoczyła mu szyję obnażonem ramieniem i podane naprzód usta zbliżyła do jego twarzy.

— No, całuj i idź! — szepnęła namiętnym, rozkazującym głosem.

Zieniewicz stał zmieszany trochę i niezdecydowany.

Od rozejścia się z Niną, Lubrańska wywierała na niego dużo wpływu. Pociągała swą naturą silną i prostą, mimo towarzyskiego wyrafinowania, a brutalną przy wytwornych pozorach. Ulegał jej, ilekroć zaczęła go magnetyzować oczyma. Tym razem wahał się.

Uważał widocznie strój ten za rodzaj talizmanu, którego nie godziło się robić przedmiotem próżnej ciekawości i zabawy.

Z mężczyzn niektórzy, specyjalni czciciele Mistrza, oburzyli się na propozycję pań.

— Cokolwiek związane jest z twórczością Giordana, — zawołał Wierszwił — nie powinno być przedmiotem żartów i karnawałowej maskarady!

— I ja tak sądzę, — przytwierdził Orecki, przejęty gorliwością neofity.

Berski i Grünspahn byli tego samego zdania. Tylko Czerlański milczał, nie chcąc narazić się sąsiadce.

Ale panie nie dawały za wygraną. Otoczyły Zieniewicza, zaczęły go ścisnąć i miny pocieszne stroić, aż wreszcie postawiły na swoim.

— Niechże tak będzie — rzekł, wstając ciężko od stołu. — I bodajby to tylko nie zaszkodziło memu talizmanowi!

Za chwilę drzwi od gabinetu otwały się i uka-

zał się w nich poważny duchowny w birecie na głowie i złocistej stule na białym muślinie komży. Bez zamiaru, ani świadomości twarz mu się do stroiła do ubioru. Zawsze poważny i namaszczony, teraz stał się nim podwójnie, i kiedy tak szedł do nas z rękami skrzyżowanymi na piersiach, zdawało się, że podchodzi do ołtarza.

— Jestem więc, — rzekł niepewnym trochę głosem. — Przypatrzcie mi się i powiedzcie, gdy będzie dla was dość.

Całe towarzystwo otoczyło go, podnosząc w górę świeżo nalane kielichy.

— Niech żyje nasz arcykapłan »Wolnej Myśli!«

— Niech żyje arcykapłan Lucifera!

— Niech mu długo służy jego kościelna szata przy sprawowaniu naszych obrzędów.

— A gdy się zedrze na posługach naszego kościoła, niech sobie sprawi inną!

Było wesoło i gwarno, ale przy tem wszystkiem mieliśmy szczególne uczucie: zdawało się nam, jakby zamiast Zieniewicza był między nami ktoś obcy, ktoś z innego zupełnie brzegu, przed kim nie godziło się sypać dwuznacznikami i bawić sąsiadki, jak się je bawi po szóstej flaszce szampana.

— Pozwolicie mi teraz odejść? — spytał naraz Zieniewicz.

— Ależ nie! Za nic! Nigdy! Teraz dopiero musisz zasiąść z nami i przewodniczyć naszej bachanalii! Teraz dopiero: »ça aura un haut goût!«

Zmuszono go zająć jego miejsce i ucza roz-

poczęła się na nowo, albo raczej orgia już, bo wszyscy, nie wyłączając gospodarza, byli w różnym stopniu pijani. Wszczął się hałas niesłychany: wznoszono toasty, których nikt nie słuchał, oblewano się winem i rzucano na siebie kwiaty i cukierki; wszyscy mówili naraz, gestykułując, z twarzami zaczerwienionemi i jarzącemi jak pochodnie oczyma. Zwyczajne pandemonium, w jakie zamienia się koniec tego rodzaju wesołej kolacji.

Służący dawno odeszli, pochwytawszy część zapasowych butelek z kredensów. Mimo wielkich rozmiarów sali powietrze zrobiło się duszne. Dym cygar, wonie kwiatów i perfum, wyziewy ludzkie, zapachy potraw i napojów zmieszały się w tę gryzącą a mdłą atmosferę, znaną tak dobrze gościom »chambres séparées«.

Zieniewicz już się nie wybierał do pracowni: siedział rozpromieniony, wsparty jedną ręką na krześle Emmy, i prawil jej jakieś rzeczy widocznie przyjemne, bo złotowłosa uśmiechała się rozkosznie z pod wachlarza, rzucając złośliwe spojrzenia na przeciwną stronę stołu ku czarnookiej żydówce i ciesząc się jej widoczną irytacją.

Wtem ktoś zaczął tak silnie uderzać trzonkiem noża o szklanę, aż szkło rozprysło się w kawały.

Był to Grünspahn. Odrzucił krzesło, które z hałasem zważyło się na ziemię i stał z rozwichrzoną kędzierzawą czupryną, trzymając się obydwojma rękami za brzeg stołu, żeby nie upaść.

— Panowie i panie! — zaczął.

— Protestuję, — Przerwał belkocząc Czerlański. — Mówi się: panie i panowie!

— Wszystko jedno! Tu nie o frazesy, ale o poważną rzecz idzie. Proponuję, by nam teraz Zieniewicz, nasz gospodarz i mistrz, odprawił mszę!

— Co? Co on mówi? — rozległo się zewsząd. — Co ma zrobić Zieniewicz?

— Poprostu mszę odprawić dla nas. To przecie wszyscy księża robią, a on ksiądz.

— Jakież on ksiądz, bój się Boga! — próbował go reflektować Orecki.

— Boga się nie boję, bo go niema, a księdzem on jest, to wiem dobrze, bo u nich to jest rzecz, co się przykleja do człowieka tak, że jej nic odlepić nie potrafi. I to wiem także, że podług ich wiary nie potrzeba do spełnienia ofiary, jak zwać swoje gusła, nic prócz chleba i wina i tych kilku słów, które on umie i które on jeden wśród nas wymówić potrafi.

Propozycja Grünspahna była tak dziwna, że na chwilę wszyscy nietylko uciszeli się, ale oprzytomnieli. Jeden Zieniewicz zdawał się jej nie rozumieć. Siedział jak przedtem, obejmując ramieniem poręcz krzesła Lubrańskiej, i bezmyślnym, szklistym wzrokiem wpatrywał się w rozognioną twarz Grünspahna.

A ten mówił dalej, coraz przytomniej i coraz namiętniej.

— Tu jest chleb, tu jest wino, stała na tobie, światła palą się na tym ołtarzu: cóż ci przeskła-

dza? W wiekach średnich i później bywałyż przeciwieństwo msze takie: nazywano je »czarnemi«. Były wyzwaniem, najwyższą zniewagą, bluźnierstwem przeciw wielkiemu Nieistniejącemu, ofiarą uwielbienia i zadośćuczynienia na cześć innego Nieistniejącego, tego, którego nauczyłeś nas także czcić, jako wciele nie walk wyzwalającej się ludzkości. To, co tamci czynili w ciemności, jeden zabobon zastępując drugim, uczynimy w świetle, a ty bądź nam arcykapłanem!

— Zrób to! — zawołała nagle czarnooka Toto, porywając się, ona także, i wpijając oczy w bladą twarz Zieniewicza.

On nareszcie zdawał się rozumieć i poruszył się niespokojnie.

— Sam nie wiesz, czego chcesz... — odparł niechętnie, odwracając oczy od wzroku Grünspahna. — Co za dziwaczny koncept!

— Ależ to nie koncept, to sprawa seryo, to usilna prośba, to żądanie nasze!

— Zrób to! — powtórzyła Toto, przesywając go oczyma.

— Wymyście sobie inną zabawkę i wybierzcie kogo chcecie za pajaca! — zawołał gniewnie Zieniewicz. — Ja nim nie myślę być!

— Musisz być! — krzyknął w uniesieniu Grünspahn.

— Zrób to, zrób! — powtórzyła raz jeszcze Raniecka.

Mela oczyma i całym wyrazem mówiła to samo. Na twarzy Lubrańskiej odbiła się krótka walka.

Nie chciała, żeby Zieniewicz posłuchał pani Toto, a równocześnie jej neuropatyczna, zwyrodniała natura rwała się do niezwykłego wrażenia. Nachyliła się do jego twarzy, dotykając go oddechem.

— Nie dla niej: — dla mnie... — szepnęła.

— Ależ zlitujcie się, o co wam chodzi? — bronił się Zieniewicz. — Przecie nikt z nas nie wierzy w Boga ni dyabła: jakież znaczenie może mieć dla was ta komedia? W średnich wiekach, co innego: wierzono, bano się, miano jakieś nadzieje, ale my! Przecie wiecie tak dobrze, jak i ja, że choćbym dziesięć razy wymawiał nad tym stołem formułkę konsekracyjną, chleb pozostanie chlebem, wino — winem! Więc pocóż?

— A pocóż ty się wzdragasz i boisz się to zrobić, jeśli to są tylko czcze słowa bez znaczenia i następstw? — odrzekł z naciskiem, nie spuszczać zębów z oczu, Grünspahn.

— Powiedziałem wam, że nie chcę być waszym pajacem i grać dla waszej fantazyi komedyi!

— Czy dlatego, że to dla ciebie komedia, czy dlatego może, że to dla ciebie rzeczywistość? — bąknął półgłosem w brodę Grünspahn.

Ale Emma Lubrańska zasłoniła w tej chwili twarzą swą Zieniewicza. Błada, przejęta jakąś myślą, która zdawała się ją pochłaniać, pochyliła się ku niemu, kładąc mu obie ręce na ramiona i wpatrując się weń szeroko rozwartemi źrenicami.

— Rozumiem cię — szepnęła. — Masz słasność. Tego nie można czynić dla żartu, dla przyjaźni.

dla miłości nawet. Tak, nawet dla mnie — nie!
Rozumiem i przyznaję. Ale...

Urwała i wciąż wpijała się w Zieniewicza swemi
bezdennie głębokimi, chabrowemi oczyma.

On poruszył się niespokojnie.

— Ale co? — wyrwało mu się, jakby mimo
woli.

— Ale... dla *Niego!*

Słowa te wymówiła głośniej. Dosłyszano je do-
koła i zrobiło się naraz zupełnie cicho.

Zrozumieli, że w słowach młodej kobiety było
~~coś~~ dla Zieniewicza znaczyło więcej, niż wszystko,
co mówiono dotąd, i czekali z zapartym oddechem,
co mistrz odpowie.

Ale mistrz milczał, zdając się pić słowa Emmy,
ona zaś pochyliła się ku niemu jeszcze bliżej, tak,
że niemal ustami dotykała jego twarzy i znów
zaczęła mówić.

Głos jej płynął, jak srebro, coraz dźwięczniej,
coraz namiętniej i bardziej nakazująco.

— Słuchaj mnie! — mówiła. — Ty w *niego*
wierzysz, prawda? I ty go miłujesz? Ty jeden!
I nikt prócz ciebie! Nikt weń nie wierzy, prócz
tych, którzy mu bluźnią, nikt go nie kocha i nie
składa mu ofiary. Złóż ją ty! Niedosć przeczyć sta-
remu Bogu: trzeba dać świadectwo temu, który
jest Jego wrogiem odwiecznym, trzeba oddać cześć
temu, którego miłujesz!

On wciąż jeszcze milczał. Lubrańska przycisnęła
dłoń do piersi, nabierając oddechu i dokończyła:

— Nie, dla nich, mój Giordano! Nie dla nich!
Dla *niego!*

Zieniewicz zerwał się i ciężkie krzesło daleko od siebie odrzucił na ziemię. Zmienił się zupełnie. Twarz mu pałała, w oczach grały ognie, promieniał cały, jak człowiek, ogarnięty ekstazą lub szałem.

— Tak, masz słuszność! — krzyknął. — Ty jedna masz słuszność! I zrobię to, zrobię... dla *niego!*

Twarz skrył na chwilę w dłonie: gdy je odjął, był już zupełnie spokojny, tylko usta zaciśnięte silnie zdradzały wysiłek woli.

— Zamknijcie drzwi, żeby kto ze służby nie nadszedł — rzekł.

— Służba pijana, chrapie... — odpowiedział Wierszwił. — Północ dawno minęła!

— Dobrze! Dajcie mi teraz chleba kawał i trochę stołowego wina.

Rzucono się wykonać rozkaz.

— Chleba dosyć w koszach, — rzekł po chwili Czerlański; — i wina nie brak we flaszkach na kredensie, ale jest tylko madera, reńskie...

— Ja potrzebuję stołowego.

— Nie było go.

— Te obce, droższe, bywają zwykle fałszowane, a do *tego* potrzeba czystego wina.

— Chyba posłać!

— Zbudzić Józka, niech przyniesie z piwnicy czy ze sklepu.

— Czekać, — wmieszał się Grünspahn. —

Niech Józiek śpi. Nie mieszajmy w to nikogo. Ja mieszkam o dwa kroki. Pójdę do siebie i przyniosę.

— Zgoda! Idź! — zawołano.

— Po raz pierwszy w życiu będziesz zakrytyanem! — dodał Berski.

Po wyjściu Grünspahna nastąpiło milczenie, pełne oczekiwania i tłumionego niepokoju. Zieniewicz stał przed stołem bez ruchu, z twarzą poważną i skupioną, jaką miewają duchowni, przygotowujący się do mszy. Emma chciała go zaczepiać, dziękować mu pieszczotą. Odsunął ją spokojnie, ale stanowczo.

— Nie teraz! — rzekł krótko. — Moment zbyt jest uroczysty. Wieki czekać trzeba na taki drugi.

Nikt nie odpowiedział, i wszyscy siedzieli na swych miejscach, pomieszani. On po chwili usiadł i podniósłszy głowę, wpatrzył się przed siebie, w przestrzeń.

— To dziwne — rzekł naraz — właśnie dziś rocznica. Tak! Osiemnaście lat temu!

— Rocznicą czego, Mistrzu? — spytał Orecki.

— Mojej pierwszej mszy...

Nie wiem czemu, doznałem w tej chwili nie miłego uczucia. Po oczach moich sąsiadów dostrzegłem, że uczucia tego doznali i oni.

A Zieniewicz mówił dalej, jakby do samego siebie i jakby nas nie widział.

— Tak, osiemnaście lat! Dwudziestego piątego lutego! Dziwny był dzień, bardzo dziwny: zupełna

wiosna! Pączki na drzewach i przyłaszczki przynoszono z lasu. Śniegu trochę tu i owdzie, ale nie błota! Przybyłem w wilię wieczorem. W domu czekała na mnie matka i rodzina, zblizka i zdaleka sproszona na uroczystość. Matka płakała, mówiąc przez łzy, że to z nadmiaru szczęścia... A naza-jutrz... Te mnóstwo kwiatów, świateł, kadzidła — zdaje mi się, że mi od tego dziś jeszcze w głowie się zawraca! Staruszek proboszcz, który rodzicom ręce stulą wiązał i mnie chrzcił, a potem katechizmu uczył, mówił mi o wytrwaniu i płakał. Wszyscy płakali, a najwięcej matka, gdy mi całowała dłonie i gdym potem przypadł do jej kolan. I znów mówiła, że to ze szczęścia, i prawda: jej to było dzieło...

Urwał i głowę pochylił na piersi.

— Osiem lat później walcząc ze śmiercią zażądała, bym przybył do jej łóża tak, jak teraz jestem, pogodzony, poskromiony, pohańbiony... Mówiła, że nie może umrzeć, póki nie zobaczy mnie znów w tej sukni i nie usłyszy z moich ust słowa odpuszczenia. Nie chciałem. Przybyłem tak, jak mogłem przybyć. Wywłoki nie dopuszczono do niej, choć wyłem z bólu, jak pies u jej drzwi! Nie pozwoliła. Twarda była kobieta, choć duszę miała anielską. Nie dała się ugiąć śmierci. Umarła na obcych rękach, zakazując mi iść za trumną. A równocześnie...

— Równocześnie? — pochwycił ktoś z obecnych, przynaglając wahającego się mówcę.

— Równocześnie kazała mi powiedzieć, że mi przebacza, że życie całe ofiaruje za mnie i czekać będzie w modlitwie i męce mego powrotu..

Znów się zatrzymał, tak mu trudno było widocznie wymówić te słowa.

— I mszy, którą wówczas odprawiać będę za jej duszę...

Głowę w dłonie ukrył i milczał, opanowany wzruszeniem. Nikt mu nie przerywał. Szeptano tylko, oglądając się to na Mistrza, to na drzwi, któremi wyrzekł po wino Grünsphahn.

Naraz rozległ się ostry jak zawsze głos czarnookiej Toto.

— Teraz spełnisz jej życzenie! Tę mszę, pierwszą po jej śmierci, ofiaruj za nią!

Towarzystwo nasze dość już otrzeźwiało z oparów szampana, by się oburzyć na brutalny wyskok pięknej pani, rozzłoszczonej na Zieniewicza dzięki Emmie. Posypały się protesty i przekąsy.

Uciszył je Zieniewicz.

Zerwał się z krzesła, gwałtownym ruchem zrzucił na ziemię chleb, przygotowany przed nim. A potem surowemi oczyma wpił się w zmieszana, mimo całej jej zuchwałości, żydówkę.

— Otóż nie! nie zrobię tego! Nigdy!

— Dla niej tego nie zrobię! — dokończył ciszej.

Grünsphahn, który wrócił do sali podczas zajścia z Raniecką, wmieszał się teraz, zdenerwowany i niespokojny.

— Jakto, jakto, Mistrzu! — wołał. — A twoja obietnica?

Zieniewicz odwrócił się ku niemu i przemierzył go od stóp do głowy pogardliwym spojrzeniem. Potem wyrwał mu szorstko butelkę z ręki i rzucił ją w komin, aż zasyczał płomień, zalany płynem.

— Ot ci moja obietnica! — krzyknął. — Nie — i już! Nie przeraziłem się żadnego Boga, nie dam się i żadnemu Szatanowi przymusić!

Nie mogło być mowy o dalszej zabawie. Wszyscy czuli mrozący rozdźwięk, a sam Zieniewicz zamknął się w lodowatej skorupie, jakby nie widział i nie słyszał, co się działo wkoło niego. Chwilę jeszcze gwarzono, tłukąc się bez celu z kąta w kąt. Wreszcie przerwał niewyraźną sytuację Orecki, najbardziej ze wszystkich światowy.

— Chodźmy wszyscy, jak jesteśmy, przejść się! Toż to dziś tłusty czwartek!

— Chyba tłusty piątek... — poprawił Berski.

Ale myśl podobała się wszystkim. Nieswojo było jakoś i niesmacznie po przedwczesnem wytrzeźwieniu: głowy bolały, a w izbie panował zaduch, choć przez otworzoną szybę wpadał prąd chłodnego, nocnego powietrza.

— Chodźmy, chodźmy! — zaczęto wołać.

— Ale Mistrza zabieramy z sobą! — dodał Wierszwiłł.

— Jaki on Mistrz... — mruknął pod nosem Grünspahn.

Zaczęliśmy się zbierać. Zieniewiczowi narzucono płaszcz powierzech sutanny i komży. Pozwalał z sobą robić, co chciano, jakby nie o niego chodziło.

— Nie zdejmiesz przedtem tego przebrania? — spytałem.

Ruszył apatycznie ramionami.

— Wszystko jedno — rzekł. — Nie chce mi się. Zmęczony jestem... Zresztą to karnawał.

— Wezmą cię za maskę, — rzucił ktoś.

— Całe życie jest maskaradą, — zawyrokował sentencyjonalnie Czerlański.

— Zmęczony jestem i nieswój — powtórzył Zieniewicz, zwracając się do mnie. — A boję się zostać sam w mieszkaniu. Wiesz, jakie mam nerwy — a ta głupia historia i te wspomnienia...

— Chcesz? Zostanę z tobą do rana! — zaproponowałem.

— Dziękuję ci, ale może i lepiej przejść się. Świeże powietrze orzeźwi mnie i rozpędzi ten marazm, który mnie chwycił.

Wyszliśmy. Panie tym razem nie kłóciły się o Zieniewicza. Emma uwiesiła się Oreckiego, Toto i Mela pozostały przy Berskim i Czerlańskim. Grünspahn wziął pod rękę Wierszwiłła i ostentacyjnie odsunął się od Zieniewicza, który wraz ze mną szedł na końcu.

Na ulicy zapomnieli zaraz wszyscy o rozdźwiękach ostatniej chwili i zrobiło się znów wesoło. Zaczęły się głośne rozmowy, żarty, śpiewy. Grünspahn popisywał się swymi sławnymi kupletami żydowskimi,

Czerlański i Wierszwił zaczepiali przechodniów. Po ulicach włościło się mnóstwo podpitych, wracających z hulanki motyli nocnych. Bandy ich krzyżowały się z naszą, zamieniając z nami wybuchy śmiechu i koncepty, przesiąknięte koniakiem.

Jedna z tych band zatrzymała się przy nas z hałaśliwymi okrzykami.

Byli to przeważnie członkowie naszego grona, wracający w bardzo wesołym, damskim towarzystwie z kolacyi po teatrze.

— Chodźcie z nami na koniak i czarną do Huntla! — zaczęli wołać.

Huntl, był to najgłośniejszy w mieście kabaret.

— Chodźmy, chodźmy! — odezwały się głosy między nami.

Zakłębiło się, jak w garnku. Krzyczano razem, nie zwracając na siebie uwagi wzajemnie. Trzymaliśmy się z Zieniewiczem zdaleka, nie mieszając się do ogólnego gwaru. Naraz on mnie za rękę pociągnął.

— Chodźmy stąd — rzekł mi. — Oni są po prostu obrzydliwi!

Przystąpiłem chętnie i porzuciwszy hałaśliwe towarzystwo, które nie spostrzegło naszego odejścia, zaczęliśmy błąkać się bez celu po dalszych, spokojniejszych ulicach. Zieniewicz szedł obok mnie zamyślony i milczący, rzadko rzucając jakieś luźne, urwane słowo. Doszliśmy tak aż na ustronną dzielnicę przedmiejskich will i ogrodów.

Zieniewicz zwolnił kroku.

— Przyznaj — rzekł, zatrzymując się, — że cała ta nasza banda to jedno wielkie bagno, a co gorzej, jedna wielka miernota! Was dwóch tylko: ty i on. Tylko was dwóch!

Zrozumiałem, że mówi o Wrzeskim.

— Tak jest: tylko was dwóch. I w dodatku — jego mi wydierają, może już wydarto... niepowrotnie!

— Stoimy właśnie przed jego domem, — zauważyłem, rzuciwszy okiem na dobrze mi znaną willę Wrzeskich, rysującą się w głębi małego dziedzińczyka wśród bezlistnych drzew i szronem osnutych gałęzi winogrodu. — I świeci się u nich jeszcze!

— Prawda, — przytwierdził Zieniewicz, — odwracając głowę ku oświetlonym szybom.

— Tak! — dodał po chwili. — Za temi szklanymi taflami jest on, najukochańszy, wybrany syn mego ducha, on, któregom przez lata całe wychowywał, podnosił, oczyszczał z chwastów przesądu i małoduszności, — on, w którym widziałem drugiego, lepszego siebie! I ja — dostać się do niego nie mogę...

W tej chwili krata oddzielająca willę od ulicy, rozwarła się z trzaskiem i jakaś postać kobieca stanęła na progu, wychylona naprzód w widocznym niepokoju.

— O Boże mój! Niema nikogo, nikogo! — szepnęła zdławionym głosem, w którym czuć było łkanie.

Głos ten nie był mi obcy. Zbliżyłem się o krok i poznałem panią Maryę Wrzeską.

— Pani tu, o tej porze? — zawołałem. — Na Boga, co to znaczy?

Sam jeden z całego naszego kółka znałem ją i bywałem w ich domu, póki rosnący rozdzwięk między nią a Zieniewiczem nie stał się powodem zerwania stosunku. Wrzeski poza domem aż do ostatnich czasów był zupełnie pod wpływem Mi- strza: w domu zdały go na wolę żony przywią- zanie do niej i wrodzona rycerskość szlachej- nej natury, tem zupełniej, im bardziej poza domem wyzwalał się z pod jej wpływu. To też zacząwszy od Zieniewicza nikt z naszego grona nie znał pani Maryi ani przestąpił progów ich domu.

Szepnąłem Zieniewiczowi, kto stoi przed nami. Ona tymczasem podbiegła do mnie i za obie ręce chwyciła.

— Ratuj pan, zlituj się! — krzyknęła. — On umiera!

— Zygmunt?!

— Ciągłe był niezdrów, ale nie przeczuwałam... I doktor uspakajał... Naraz przed chwilą — atak... Posłałam po doktora. Powiada: Agonia... I ja sama widzę... Więc po księdza... A księdza niema... On sam wołał o to, a teraz kona i może już...

Przypadła do mnie i nim mogłem zrozumieć, co czyni, przycisnęła mi do ręki rozpalone usta.

— Panie, ratuj! Biegnij! Zapomnij o wszyst- kiem!... Ja go odejść nie mogę, a służbę posłałam na probostwo, a on kona... Księdza!!!

Podczas tych słów Zieniewicz, nie mogąc po-

wstrzymać niepokoju, zbliżył się do drzwi domu. Podnosząc głowę, pani Wrzeska ujrzała go w jego szerokim czarnym płaszczu, z pod którego wyglądała sutanna.

Poznała księdza i uderzyła w dłonie.

— O, Bóg łaskaw! — zawołała z wybuchem — Nie opuścił mego Zygmunta! Teraz mogę powiedzieć: Bądź wola Twoja!

I podbiegłszy, uchwyciła Zieniewicza za rękę.

— Bóg cię tu przysłał! Chodźmy, chodźmy!

Zieniewicz, nic nie mówiąc, wszedł do sieni. Czy nie słyszał słów ostatnich młodej kobiety, czy nie zwrócił na nie uwagi, czy wreszcie chciał wyzyskać sposobność dostania się do ukochanego adepta i przyjaciela — dość, że uprzedził Wrzeską i szybkim krokiem pośpieszył do ich mieszkania.

W przedpokoju zatrzymał się, niepewny.

— Tędy, — rzekła kobieta.

I drzwi otwarła.

Przez salonik na przestrzał otwarty widać było w głębi sypialni chorego, rozciągniętego bez ruchu na długim szeslongu, przy którym stał lekarz.

Wrzeska podbiegła do męża i ogarnęła go gorączkowem spojrzeniem.

— Żyje... — szepnęła, zwracając się do Zieniewicza. — Żyje, ale przez te ostatnie minuty osłabł bardziej jeszcze. Prędkiej, ojcze drogi, prędkiej!

I chwyciwszy Zieniewicza za rękę, ciągnęła go do chorego.

On, zdaje się, w tej chwili dopiero zrozumiał, czego odeń żądają.

Cofnął się od niej i wyrwał rękę z jej dłoni.

— Czego pani chcesz odemnie? — zawołał.

Mimo wzburzenia, w jakim była, spojrzała na niego ze zdumieniem.

— Jako — czego? Ależ tego, czego się żąda od kapłana wobec umierającego! Pojednania go z Bogiem!

— Z Bogiem! — powtórzył Zieniewicz głucho.

— I to — konającego, który lata całe od Boga był oddalony.

Zieniewicz nic nie odrzekł i stał nieruchomy z głową ku ziemi spuszczoną.

Wrzeska czekała przez chwilę na spełnienie swej prośby, wreszcie nerwowym ruchem chwyciła go za rękę.

— Prędeż, — zawołała, — prędeż, mój ojciec: tu niema czasu na rozmowy i czekanie!

Zieniewicz rękę jej usunął i cofnął się o krok ku drzwiom.

— Myli się pani, — rzekł. — Nie jestem wcale księdzem i dlatego nie mogę spełnić pani życzenia.

— Jako? — zawołała, wpijając się weń oczyma. — Jako? A ten strój?

I szybko uchyliła mu brzeg płaszcza, odkrywając komżę i rąbek stuły.

— A to? — zawołała. — Mój ojciec! W takiej chwili, w obliczu śmierci — godziź się to? Czas-że to na żarty?!

Zieniewicz znów się cofnął i otulił się połami płaszcza, skrywając kościelny ubiór.

— Zaręczam pani, że to pomyłka, istotnie nie-szczęśliwa. Strój ten, to karnawałowe przebranie. Nie jestem księdzem!

Pani Marya zdumiona i przerażona oczy zwróciła od niego ku mnie, żądając wyjaśnienia niemem pytaniem. Potwierdziłem słowa Mistrza, skłaniając głowę.

Jeszcze nie wierzyła. Złożyła ręce, jak do pacierza.

— Naprawdę? naprawdę? — jęknęła.

Potem opuściła się ciężko na krzesło. Ręce opadły jej bezwładnie i łzy wielkie poczęły spływać cicho po wybladłej twarzy.

— Bóg mnie opuścił, — szepnęła.

Nastąpiła chwila ciężkiego milczenia. Z drugiego pokoju dochodziło rżenie chorego, to słabsze, to wzmagające się chwilami. Pani Marya ukryła twarz w dłonie.

Naraz podniosła ją i zwróciła ku nam, zapłonioną gniewem.

— Poczcieście tu przyszli z tą waszą karnawałową komedią, świętokradcy? — zawołała drżącym z oburzenia głosem. — Poczcieście przyszli bezczęścić ten dom i uragać naszej niedoli? Gdybym was nie była spotkała, pobiegłabym po księdza, odnalazłabym go, z pod ziemi wy dostała, a teraz... Teraz zapóźno. I to wasza wina, przekłęci!

I wyciągnęła ku nam rękę z rozkazującym gestem.

— Precz stąd, precz!

Ale Zieniewicz nie ruszał się. Stał jakby wrosły w ziemię. Ciągnąłem go i chciałem wyprowadzić przemocą: nie dał się.

Wrzeska stała przez chwilę, wskazując drzwi i wyczekując naszego wyjścia, potem schwyciła ją widocznie boleść straszna za gardło i znów opadła na krzesło, zasłaniając oczy.

I jęczała, kołysząc się, jak zawodzące niewiasty na wsi:

— O, mój Zygmuncie, mój jedyny! Światło moich oczu, duszo mojej duszy! Takiej-że dożyłam dla ciebie godziny! Tak-że miały się skończyć marzenia i nadzieje naszego życia? I tak-że mam cię puszczać w tę dal ciemną, w otchłań grobu, nieodrodzonego, niepojednanego, także mam cię zostawiać w szponach Wroga i w tej ostatniej godzinie?!

Przez chwilę zmagiła się ze swoją boleścią, łkając cicho.

— Tyle czasu łudziłam się, że cię wydrę tym straszliwym szponom, że cię wrócę Bogu twemu... Szalona, marzyłam, że stanę się dla ciebie aniołem stróżem, że cię wyzwolę i ocalę... I teraz kończy się wszystko, pryskają ostatnie nadzieje i wszystko daremne, daremne...

I znów zerwała się, rozdrażniona, szalejąca.

— Niechże Bóg skarże tego człowieka, który stanął między mną a mojem szczęściem! Niech mu odplaci za moje serce stargane, za zburzone ognisko domowe, za to życie, tak świetne, marnie-

jące przed czasem! Niech jego dusza cierpi i ginie za tę duszę czystą, którą skalał, skrzywił, zgubił! Niech wije się w rozpacz bez pociechy, bez rątku, bez końca! Za tę duszę wyrwaną Bogu niech go opuści Bóg; niech ten, któremu życie poświęcił, niech Szatan będzie mu towarzyszem, panem, katem przez wieczność całą, potępionemu, przekłętemu!

Upadła znów na krzesło, wyczerpana namiętnym wybuchem i zaniósła się głośnym, konwulsyjnym łkaniem.

Zobaczywszy nas przez drzwi otwarte, lekarz, stojący przy Wrzeskim, podszedł ku drzwiom pierwszego pokoju i patrzył zdziwiony, nie rozumiejąc znaczenia tej sceny. Ale Zieniewicz stał nieporuszony, jakby nic nie widział i nie słyszał.

Zmieszany i przerażony tem wszystkim, co się stało w ciągu tych kilku okropnych minut, pociągnąłem go silnie za połę płaszcza.

— Chodźmy stąd, chodźmy prędzej, na miłość Boga! — szepnąłem, zapominając o tem, jak wstrętnem mu było zawsze wymienione przezemnie imię i w jakie go wprawiało rozdrażnienie.

Ale tym razem zrobiło ono inne wrażenie, niż zazwyczaj.

Pochylił niżej jeszcze głowę i powtórzył kilkakroć posępnie i głucho.

— Boga, powiadasz, Boga!

Twarz ukrył w dłoniach i stał tak w milczeniu, potem opuścił je i czekał, patrząc w ziemię.

— Tym, którego pani przeklinasz — jam jest — rzekł.

Wrzeska zerwała się w pół i opadła napowrót, nie mając siły podnieść się — i tylko ręce skurczone wpiły się gorączkowo w poręczę i szyja wyciągnęła się naprzód. Oczy rozpalone utkwily w Mistrzu, jakby chciały przeniknąć na samo dno jego duszy.

— Prawda, — rzekła bezdźwięcznym głosem: — to on! Nie kto inny, tylko on! Tak musiało być: on tu musiał przyjść w tej godzinie! I wiedziałam, że przyjdzie...

Zaledwie wymówiła te słowa, jakaś myśl straszna wstrząsnęła nią i porwała z miejsca.

— Ale ja ci go nie dam, ja go przed tobą obronię! — krzyknęła.

I rzuciła się do drzwi, zastaniając je sobą.

Lekarz przypuścił zapewne, że dostała chwilowego obłądu pod wpływem rozpaczy.

Wziął ją za obie ręce i próbował odprowadzić. Nie dała się. Jednym ruchem odrzuciła go w głąb pokoju.

— Nie przystępuj pan do mnie teraz! — zawoła. — Nie wiesz, o co mi chodzi! Nie oszalałam, ale bronie go, bronić muszę! Pan stój przy nim!

I zwracając się do Zieniewicza, który wciąż stał bez ruchu na środku pokoju, dodała z wybuchem:

— Nie oddam ci go, szatanie, nie wejdiesz tu!

— Nie, nie wejdę, — powtórzył cicho Zieniewicz.

W tej chwili jednak z głębi sypialni ozwał się cichy głos chorego.

— Maryniu!

Na twarzy kobiety wystąpiło rozpaczliwe wahanie

— Życie moje, zaraz, leczę do ciebie — tylko tu przedtem...

Zrozumiałem ją i z całej siły zacząłem szarpać Zieniewicza.

— Wychodzimy, pani! — zawołałem, ciągnąc go ku schodom, — a w każdym razie nie dam mu tam wejść!

Ona przez mgnienie oka stała jeszcze, niepewna, walcząc z sobą.

— Dziękuję — szepnęła — ale...

I naraz, jakby promień przeleciał przez tę biedną twarz, spaloną bólem.

— Klucz, klucz... zapomniałam o nim! Bóg łaskaw!

I w tejże chwili drzwi zatrzasnęły się i klucz w nich się obrócił.

— Chodźmy wreszcie, do kroćset! — huknąłem na mego towarzysza, chwytając go za ramię. — Dość już nas tu było!

Ale on wyrwał mi się z rąk, jak przedtem Wrzeska doktorowi, i odparł mi ochryłym, nieswoim głosem:

— Czekał jeszcze! Czekał końca!

— Zwaryowałaś... Najście takie w domu śmierci! Chodź!

— Nie mogę! Muszę zostać!

LUCIFER

BIBLIOTEKA

URZĘDNIK TOWARZYSTWA UL. KRAKOWIE

SEKCJA IV.

To samo wrażenie, które miał przed chwilą doktor, przeszło teraz na mnie. Nie ulegało wątpliwości, że mój przyjaciel stracił zmysły.

On też jakby mnie w tem chciał upewnić, powtarzał, stojąc bez ruchu z głową spuszczoną na piersi:

— Nie mogę stąd odejść. Muszę tu być, rozumiesz mnie: *muszę!*

Nastąpiła chwila milczenia i ciszy. I naraz z poza drzwi postyszałem głuchy głos chorego.

— Maryniu... — szeptał, rżąc. — To on, prawda?

Nastąpiła chwila pauzy; potem pani Marya musiała coś mówić, czego nie dosłyszałem i potem znów chory odezwał się:

— Ja wiem, ja czuję, że to on; nie kryj tego przedemną, Maryniu!

Teraz postyszałem odpowiedź.

— Więc tak, to on! I cóż z tego? Nie dopuszczę go tu, nie dam cię jemu! Nie myśl o tym przeklętym. Zanim ksiądz przyjdzie, chcesz? — będziemy się modlić razem, jak dawniej, zaraz po ślubie... Dobrze?

Mówiła do niego pieszczotliwie, jak do dziecka, starając się widocznie o spokój w głosie. A potem zaraz dodała głośniejszym głosem, byśmy mogli słowa jej słyszeć:

— Bo ty nie chcesz tego Zieniewicza widzieć, prawda? I sam wołałeś o księdza przed chwilą?

— Tak, — odparł Wrzeski powolnym głosem

zasypiającego dziecka. — Prawda, ja nie chcę go widzieć... A chcę... Czego to ja właściwie chcę, Maryniu?

— Księżda chciałeś, moje życie drogie, księżda, byśmy z nim razem pomodlili się o twoje zdrowie...

— Tak, księżda... o zdrowie... — powtórzył tym samym sennym głosem i umilkł.

W chwilę później jednak usłyszałem ruch jakiś, jakby szamotanie się. Widocznie musiał się zrywać z łóżka.

— Ależ to nie to... — zawołał z rozpaczliwym drżeniem w głosie. — To nie o zdrowie. Ja umieram!

I zaraz potem, jakby kończąc myśl, czy odpowiadając na stłumiony szept żony:

— Tak, wiem już! Ja umieram i dlatego potrzeba mi księżda... A gdzież ten ksiądz?

I znów po chwili:

— Prędzej, prędzej, bo czasu już nie mam... Księżda!

Z ostatniem jego słowem zmieszał się nabrzmiały bólem głos kobiety.

— Zmiłuj się, doktorze! Zostaw go i leć po księżda!

— Lecę — odrzekł doktor.

I otwarłszy drzwi, przeszedł szybko koło nas, jakby nas nie widział.

A równocześnie przez drzwi otwarte doszedł nas cichnący głos naszego Parsifala:

— Nie posyłaj... Napróżno... wołaj Zieniewicza...

— Zieniewicza?! — powtórzyła z przerażeniem pani Marya.

— Tak... On ksiądz... On może... a wobec śmierci..

Głos załamał się i umilkł, pani Marya nie odpowiadała nic przez chwilę. W szparze drzwi rozchylnych widziałem ją na kolanach przy łożu, osłaniającą męża ramionami.

— Co ty mówisz? — szepnęła wreszcie.

— Mówię, że on... Wołaj go... prosź...

Wstała i chwiejąc się podeszła do nas, podnosząc ku Zieniewiczowi zaciśnięte kurczowo dłonie.

— Czy to prawda? — jęknęła. — Czy pan możesz...

Nie było odpowiedzi. Zbliżyła się o krok i pochwyciła jego rękę.

— O, jeśli tak, zrób to! Przebaczę ci wszystko, — moje szczęście, jego życie... Błogosławić ci będę... Ale pomóż, ratuj, napraw!

On rękę wyrwał i o krok się cofnął.

— Kobieto, wiesz ty, czego żądasz odemnie?! — zawołał.

W głosie jego było zdumienie i przerażenie zarazem, ale zwłaszcza to ostatnie.

— Wiesz ty, co to jest dla mnie? Całej przeszłości mojej się zaprzecć, zdeptać nogami wszystko, co czciłem, co kochałem, dla czego żyłem? Przekreślić całe moje życie?!

— Nie całe, — odrzekła. — Kilka ostatnich lat...

— Jedynych, w których żyłem w świetle i prawdzie...

— A jeśli światło i prawda były w tamtych, poprzednich?

— Nie, nie... fałsz!

— Jeśli fałsz, czemu się przed nim tak bronisz?... Ale mniejsza o to... Nie do dysput czas! Patrz! Oto ten, którego kochałeś, jak mówiono, — ten, który ci oddał serce i poświęcił ci wszystko... On cię przyzywa, on żąda od ciebie ostatniej przysługi — odmówisz-że mu?!

Z drugiego pokoju jęk przytłumiony się rozległ.

— Stanisławie! Przyjdź do mnie! Ratuuj!...

Pierwszy raz od wszystkich tych lat, w których znałem Mistrza tak blisko, słyszałem wymówione jego chrzestne imię. Giordanem zwaliśmy go i mistrzem, Giordanem też i Zieniewiczem zwała go publiczność. Imienia nie używał nigdy i mało kto o niem wiedział.

— Stanisławie! — powtórzył chory ciszej. — Prędeż... na Boga cię zaklinam!

— Na Boga! — powtórzył głucho Giordano, jak dwukrotnie przedtem.

Ręce zaciśnięte podniósł do czoła i stał tak w milczeniu, — potem wstrząsnął się cały: coś, jakby tłumione łkanie uwięzło mu w gardle; zrobił nerwowy ruch w stronę chorego, potem znów się cofnął i wyciągniętymi dłońmi zdawał się coś niewidzialnego odpychać od siebie w przestrzeń.

— *Jego* się wyrzec, zaprzec... *Jego* zdradzić i być mu Judaszem, *jemu*, w którym wcieliło się dla mnie wszelkie Piękno i Światło tej ziemi...

Szeptał bardzo cicho, i ja jeden pewnie sły-
szałem jego słowa. Pani Wrzeska przeczuła je jednak.

— Nie chcesz? Nie chcesz?... Nieszczęsny!?

Cofnął się jeszcze o krok i stanął w drzwiach
przedsionka.

— Nie mogę, nie mogę... — jęknął.

Ona nic mu nie odrzekła i stali naprzeciwko
siebie, do dwóch posągów podobni, pełni bólu
i przerażenia oboje.

— Widzisz pani, — zaczął wreszcie cicho Zie-
niewicz, — chciałem ci go odebrać, chciałem ode-
pchnąć od tych drzwi księdza, o którego wołasz,
którego żąda on, mój ukochany, dziecko mego
ducha... I byłbym położył się u waszego progu,
i byłbym ciałem własnym, jak ty pani przedemną,
bronił mu wstępu. Pomyśl tylko: tu chodziło o wy-
trwanie przy sztandarze, o ochronę jego czci, całej
myśli i treści jego życia od ostatniego odstępstwa!
Byłbym to zrobił, i przy tem łożu śmierci roze-
grałaby się między nami walka ostatnia — o jego
duszę!

— Wiedziałam... — szepnęła kobieta, jakby do
siebie.

— Ty ją chciałaś zachować dla twojej myśli
i dla twojej wiary — ja, dla mojej. Dla ciebie to,
w co wierzysz — jest Pięknem i Dobrem, dla mnie
jest niem to, co sam wyznaję: kto z nas ma słu-
szność — nie wiem, może nikt z dwojga, jeno ten
motłoch głupi i płaski, który nie wierzy ani w to,
ani w tamto i śmieje się ze wszystkiego. Ale ja

wierzę w myśl moją... tak, wierzę w nią jeszcze...
Więc byłbym z tobą walczył dobrym bojem o niego...
Ale oto zobaczyłem ciebie i jego... i słyszę was...
i waham się i cofam...

Zatrzymał się, jakby słowo jakieś nie chciało mu przejść przez usta. Wreszcie wybuchnął.

— Zwyciężyłaś, kobieto! W niedoli twej ciesz się tem przynajmniej, żeś zgięła przed sobą jednego z mocnych duchów tej ziemi. Zwyciężyłaś mnie! Oddaję ci duszę mego Parsifala, nie stanę już między nim a Bogiem twoim. Żegnajcie!

Ognistem, miłości i żalu bezdennego pełnem spojrzaniem, objął nieruchomą postać umierającego i zwrócił się szybko ku schodom.

— Nie, nie pójdziesz stąd! — rzekła nagle Wrzeska, chwytając go za rękę.

Znów starał się jej wyrwać, ale nie puściła go.

— Kobieto szalona... — rzucił jej. — O czym ci się śni? Nie dość tego, żeś mnie rzuciła do twych stóp?

— Nie, nie dość! Chcę więcej, chcę wszystkiego!

— Szalona!

— Nie, bo cię przejrzałam, choć słaba i nierozumna kobieta ze mnie a tyś mądry, jak Szatan! Przejrzałam cię i czuję, że niema już w tobie wiary twej i pewności prawdy, że owszem, wszystko w tobie rozprzega się i maćci, i że zostając przy nim, nie jedną, ale dwie dusze uratujesz!

Wówczas on ręce przed siebie wyciągnął, jakby słowa jej chciał odegnąć od siebie lub napowrót

w usta jej wtłoczyć, potem odwrócił się od niej i czołem pochylonem w ścianę uderzył.

— Błżnisz! błżnisz! — zawołał.

A potem oczy w górę podniósł i krzyk mu się z ust wyrwał, jako temu, który upada w przepaść.

— O Lucifer, o Lucifer... przybywaj!

Dreszcz mnie przebiegł. Ale pani Marya nie zadrżała i nie pobladła. Silnym ruchem zerwała sznurek z szyi i mały, złoty krzyżyk podniosła w górę przed samą twarzą Giordana.

— Precz z *tamtym*! Pana swego uznaj i uczcij, i znów bądź Jego sługą!

A w tejże chwili z sypialni doszedł znów cichy głos Zygmunta:

— Stanisławie! Pośpieszaj do mnie, bo umieram!...

Milczenie mu odpowiedziało i trwało długo.

Na twarzy Zieniewicza malowała się walka, straszniejsza nad wszystko, co może myśl ludzka sobie wystawić a pióro opisać. Zdawało się naprawdę, jakby dwie siły wrogie wyrzywały sobie nawzajem tę duszę, tak potężną i wspaniałą. Cienie jakieś tajemnicze okrywały ją, wyciskając na niej piętno posepne Otchłani i zaraz potem blaski przelatywały po niej promienne i słoneczne. Szarpał się więc i rwał, jakoby w konwulsjach konania, i słowa jakieś nadpoczęte, niedomówione wybiegały mu na usta i zamierały na nich, i jęki okropnego bólu, i jakoby wyzwania harde, i jakoby błagania pokorne i smutne.

I trwało tak długą chwilę...

Tak wyglądać musiał Irydyon przy Krzyżu Kolosseum w wyroczonej godzinie.

Wreszcie skończyło się...

Zieniewicz westchnął głęboko, ręce od twarzy odjął, wyprostował się i głowę podniósł w górę.

— Idę, — rzekł.

Zdumienie moje było takie, że zaparło mi oddech.

Był-że to ten sam człowiek? Czy może przyszło mi być świadkiem najdziwniejszego zdarzenia, na jakie patrzyły kiedykolwiek oczy ludzkie: zamiany momentalnej jednego człowieka — drugim? Bo przecie ten, który stał w tej chwili przy umierającym, to nie był wcale Zieniewicz, którego znałem tak dobrze i kochałem tak gorąco, nasz Giordano Bruno, nasz Lucifer! Nie! Ten człowiek tam, przy Wrzeskim, zjawił się niewiadomo skąd: z powietrza, czy z pod ziemi, dość, że zjawił się na miejscu tego, który równie niespodzianie zniknął nam z oczu. I wodziłem bezradnie wzrokiem dokoła, szukając, azali się nie ukrył na chwilę i nie pojawi się znów ten znikły, ten drogi memu sercu...

Nowy ów człowiek był o lat dziesiątek od naszego Giordana starszy i twarz mu okrywała gęsta sieć zmarszczków. Głowę miał schyloną i jakby wgniecioną między ramiona, podczas gdy tamten, nasz, trzymał ją podniesioną wysoko. I oczy były inne całkiem. Owe otchłanie bez dna, przejmujące dreszczem, gdy się w głąb ich rzuciło spojrzenie, —

znikły bez śladu. Owe wulkany, ziejące ogniem i płomienną lawą — zagasły zupełnie. Para oczu błękitnych, mgłą zasnutych i bardzo smutnych, patrzyła teraz zamiast nich na chorego, który, mimo osłabienia, doznać musiał podobnego wrażenia.

— Ty... — szepnął głosem, w którym drżało zdziwione zapytanie. — Ty?!

— Nie, nie ja: nie ten przynajmniej, którego znałeś, Zygmuncie! Ten, który był kiedyś, dawno, i powrócił...

Głos jego był poważny i spokojny, choć czuć w nim się dawało tłumione wzruszenie. I ruch, którym przybliżył się do Wrzeskiego i pochylił nad nim, pełen był tego samego namaszczenia i hieratycznego majestatu.

— Zostawcie mnie z nim... — dodał, odwracając się do nas. — Nim dokończę spowiedzi, może Bóg da, że kapłan z parafii przybędzie z Najświętszym Sakramentem.

»Bóg da!...« Z Najświętszym Sakramentem!...«
Z jego ust!...

Wyszliśmy. Przez uchylone drzwi widziałem Zieniewicza nachylonego nad Zygmuntem w wymianie słów cichej. Potem wysoka czarna postać podniosła się, wyciągając nad łóżem śmierci błogosławiące, odradzające dłonie...

.....
Kółko »Wolnej Myśli« rozprzęgło się.

Nazajutrz po karnawałowej wieczerzy zastałem

drzwi Zieniewicza zamknięte szczelnie dla wszystkich, nawet dla mnie. Dzień później dowiedziałem się o jego wyjeździe z miasta i z kraju.

Pisano o tem wiele po dziennikach, mówiono jeszcze więcej. Robiono przypuszczenia i plotki. Co chwila zjawiał się ktoś z nowiną, ktoś odkrywał Zieniewicza i tajemnicę jego ucieczki. Naprawdę nie odkrył nikt. Hałas, z początku ogromny, ucichł, ustępując miejsca innym zajęciom i gadaniom.

Wypłynęły nowe prądy, wysunęli się naprzód nowi ludzie... »Wolna Myśl« przerodziła się w akcyę polityczną, rewolucyjną. Z teoretyków zaczęto kpić, jak ze zwykłych burżujów, a na Satanizm ruszać ramionami, jako na resztę dekadentystycznych zabawek.

Jak inne przed nią — i ta fala życia minęła bez śladu, prawie bez wspomnienia.

I o Giordanie Brunie pamięć zagasła również...

.

Minęło lat kilka, więcej może.

Były to lata burzy. W takich czasach wicher miota we wszystkie strony ludźmi, jak liśćmi. Opuściłem kraj i, włócząc się po świecie, straciłem ślad dawnych znajomych. To też z przyjemnością zobaczyłem znajomą twarz, znalazłszy się w Zakopanem prosto z Wiednia. Był to Wierszwiłł, ale *quantum mutatus ab illo!* Wprawdzie jego płytka i banalna twarz z wyzywającym wyrazem pozostała taką samą, jaką pamiętałem zdawna, ale

strój, układ, wyraz, były zgoła odmienne. Mniejsza, że się postarzał, pomarszczył, posiwiał; — równocześnie z tem nietylko, że spoważniał, ale najwidoczniej pozował na powagę. Ubrany był mimo letniej pory i dawnego zamilowania do jaskrawych i ekscentrycznych toalet w długi, czarny surdut księżym czy pastorskim krojem i w czarny również kapelusz o szerokich skrzydłach; w ręku niósł obszerną książkę do nabożeństwa z wielkim złoconym krzyżem na okładce i takimiż brzegami, z kieszeni wycierał mu gruby zwitek papierów, w trąbkę skręcony.

Dostrzegłszy mnie, wstał z krzesła i ręce szeroko rozłożył, podnosząc je nieco do góry, jak ksiądz przy *Dominus vobiscum!* — potem wyciągnął je ku mnie z twarzą pełną czułości i namaszczenia.

Nie sympatyzowałem wprawdzie z nim nigdy nad miarę i nie brałem go na seryo, uścisnąłem go jednak serdecznie. — Była to oddawna pierwsza znajoma twarz, którą spotykałem.

Siedliśmy obaj przy jego stoliku i rozgadaliśmy się o dawnych znajomych. Przy każdym prawie nowem nazwisku Wierszwił kiwał głową i wzdychał: istotnie, niejednego nie dorachowaliśmy się po zawierusze. Wspomniałem mimochodem o członkach naszego klubu. Wzmianka ta wywarła na dziennikarzu najwidoczniej nader przykre wrażenie. Wyciągnął ręce przed siebie, jakby chcąc mi przerwać lub przed czemś się bronić.

— Nie mów mi pan o tem wszystkim! — zawołał tragicznym tonem. — Nie wznawiaj bo-
lączki, wstydu... żalu! Chciałbym zapomnieć o tem
błocie, do którego mnie wciągnęliście!

Miałem ochotę zwrócić jego uwagę, że do tego
błota nie ja go wciągnąłem, ale właśnie sam przez
niego i Czerlańskiego byłem wciągnięty, dałem
jednak pokój i chciałem zwrócić w innym kie-
runku rozmowę, kiedy on sam powrócił do poru-
szanego przezemnie tematu, mimo, że się tak prze-
ciw niemu zastrzegął.

— Orecki tu jest i ta... Boże odpuść!... ta pa-
skudnica Luftówna także. — Czerlański na wsi
gdzieś się zaszył i siedzi, jak borsuk w jamie.
Berskiemu cały majątek przepadł podczas fabry-
cznych zamieszek — wiesz pan przecie, że miał
wszystko umieszczone w Łodzi? — przytem gro-
żono mu kilkakrotnie i raz nawet napadnięto, dość,
że staremu rozum się pomieszał i trzeba go było
zamknąć.

— A inni?

— Inni? Cóż inni? Stało się z nimi to, co się stać
musiało. Grzesznicy, bezbożni! Lubrańską zastrze-
lono podczas jakiejś awantury ulicznej, Grünspahn
sam się otruił, gdy go nakryli wraz z trybunałem
partyjnym, któremu przewodniczył. Kara Boża!

Byłem poczęści tego samego zdania, ale w jego
ustach i jego tonem wymówione słowa te podra-
żniły mnie.

Wzruszyłem ramionami.

— Czy to oni jedni!... — mruknąłem.

— Zapewne, zapewne... — pochwycił. — Pełno ofiar i to najszlachetniejszych, najzupełniej niewinnych. Ja sam jestem przez te przejścia zrujnowany. Tam... — wskazał na północ — nie mam co robić! Rewolucya!

— Rewolucya? — wtrąciłem zdziwiony. — Mięło to przecie dawno... Spokój wszędzie.

— Wszędzie? Nie w głowach, panie, nie w sumieniach! Chaos, kołowrót, trucizna! Człowiekowi ze zdrowymi zasadami nie dadzą żyć! Wiem o tem dobrze, spróbowałem...

Nachylił się do mnie tajemniczo.

— Aż tu mnie śledzą, aż tu we mnie godzą! Pełno *ich* tu, pełno!

Nie dopytywałem się Wierszwiłła, kogo tu pełno i kto weń godzi, bo mnie to w gruncie rzeczy mało interesowało. On sam zresztą w tej nowej fazie wydał mi się jeszcze mniej sympatyczny, niż dawniej. Wtedy przynajmniej był bardziej sobą. Zacząłem się żegnać... Na odchodnym dowiedziałem się jeszcze, że jest współpracownikiem kilku wysoce zachowawczych dzienników w Galicyi i za granicą, i że pisuje popularne broszurki w tym samym duchu.

— Oto właśnie są — rzekł pośpiesznie, wyjmując ów zwitek z tylnej kieszeni surduta i wtykając mi w rękę tuzin naprędce stamtąd wybranych broszur i listków ulotnych. Oto są! Te po pięć, te po dziesięć centów, a to — ...o! parę nu-

merów naszego dziennika... doskonały! Wyborne zasady, prawdziwie zachowawcze! Obrona podstaw, tronu i ołtarza!

Wymówilem się: w drodze trudno mi było otrzymywać dziennik... Później, może... Naprawdę, wszystko to nie wyglądało sympatycznie.

Kiwnąłem głową i odwróciłem się, zdążając szybkim krokiem ku drzwiom, żeby raz skończyć z moim interlokutorem! Ale nie tak to było łatwo. Pobiegł za mną i przed drzwiami zastąpił mi drogę.

— Słówko jeszcze... — szepnął mi do ucha, zadyszany.

Próbowałem się bronić pilnym interesem. Daremnie.

— Jedna chwila. Widzę, że pan trwasz w dawnych błędach, w bluźnierstwie!...

— Ależ nie...

— Owszem, owszem, tak! Otóż moje jedno słowo, jedna prośba: nawróć się!

Szczerze mówiąc, prawie byłem nawrócony. Ten, który w zaraniu dni moich wydarł mi wiarę, ten sam stał się narzędziem mimowolnem zwrotu na inną, wręcz przeciwną drogę. Trudno mi jednak było przyznawać się do tego przed patetycznym pajacem, wzywającym mnie tak uroczyście do nawrócenia w tej zakopiańskiej kawiarence.

— Daruj pan, — rzekłem — ale chyba nie czas to, ani miejsce do takich rozmów i pan sam nie jesteś chyba powołany do takiej roli...

— Każde miejsce dobre dla zrobienia dobrze i każdy do takiej roli stworzony.

Miałem już dłoń na klamce. Puściłem ją.

— Kto go wie? A nuż ta małpa jest szczerą?... Racyę ma w tem, co mówi, ani słowa!

— Skąd pan wiesz, że potrzebuję nawrócenia? — rzekłem wymijająco. — Czy dlatego, że nie chciałem kupić pańskich broszurek?

Pokręcił głową.

— Nie wiem nic; — odparł — przypuszczam tylko... A raz przypuszczając, pragnę być pomocnym.

— Dziękuję, ale...

— Ale pan obejdiesz się bez tej pomocy? Rozumiem. Racya! Ale posłuchaj mnie, odrobina cierpliwości jeszcze! Słuchaj pan: ja nie tobie chcę być pomocnym...

— Komuż więc?

— Sobie!

— ?

— Tak, sobie! Pan mnie wzięłeś za komedyanta, za aferzystę, bo zmieniłem skórę i reklamuję zachowawcze pisemka? Nie zapieraj się, wiem, widzę! Inni mówili mi to w oczy. Otóż nieprawda. Reklama swoją drogą: to chleb — ale tamto... Nie, panie: ja szczerzy! Bo zresztą mówię, że nie robię tego dla pana, ale dla siebie. A wiesz pan czemu? Bo mnie strach, błądy strach po nocach budzi, siada na mojem postanieniu i dusi gardło, i mrozi krew w żyłach... A wiesz czemu? wspomnieniem tego, co było, myślą o tem, co będzie kiedyś, tam... wiesz?

Wstrząsnął się cały. Błady był, w szeroko rozwartych źrenicach migotało bezmierne przerażenie, jakie się widzi w oczach szaleńców lub nagle ze snu zbudzonych dzieci. Pot wystąpił mu na czoło i zlepił kosmyki siwiejących włosów u skroni.

Zbliżył się do mnie całkiem i nachylił do ucha, tak, że czułem gorący jego oddech na twarzy.

— Pamiętasz pan? Raj ognia... *On* mówił o *nim* — pamiętasz?

Skinąłem głową. Nie byłem wcale zdenerwowany, jak Wierszwiłł, ani przesądny; — ale i mnie zrobiło się czegoś zimno w tej chwili.

— Daj pan pokój — rzekłem.

Nie! Ten człowiek nie grał komedyi. Oczywiście — nie!

Patrzyłem na niego teraz innemi oczyma, niż przed chwilą. Był zawsze blagierem i pozerem, pozostał nim i dotąd: ale w tej chwili nie blagował i nie pozował, to było aż nadto jasne.

Podąłem mu rękę i odsunąłem się z nim na bok, bo zaczęto zwracać na nas uwagę.

— Uspokój się pan... — szepnąłem ze współczuciem.

— Gdybym tylko mógł! Ale na to — trzebaby zapomnieć! A ja nie mogę i... boję się! I dlatego chciałbym naprawić, chciałbym... czemś dobrem...

Urwał. Głos mu grzął w gardle.

— Uspokój się! — powtórzyłem i wyprowadziłem go na świeże powietrze.

Wobec rozdrażnienia Wierszwiłła wstrzymałem

pytanie, cisnące mi się na usta. Byłoby zresztą daremne: co on mógł wiedzieć o Giordanie Brunie? A jednak pytanie to nurtowało we mnie i żarło mi mózg. Ten człowiek, tak dziś odemnie daleki, on przecie dotąd jeszcze w kleszczach swych trzymał mi duszę. Co mnie obchodzili tamci? O niego mi chodziło jednego...

Ale co o nim mógł więcej wiedzieć Wierszwiłł odemnie?

Zapewne. Jeśli jednak...

Nie wytrzymałem. Spotkawszy nazajutrz dziennikarza, wygrzewającego się w słońcu na Chramcówkach, przywitałem go pytaniem:

— Nie słyszał pan czegoś o Zieniewiczu?

Jakby piorun uderzył obok niego, tak się przeraził. Odskoczył, jak oparzony, dygocąc.

— Cicho! Na Boga! Nie wymawiaj pan tego nazwiska! Nie wywlekaj tej piekielnej mary!

— Nie wywlekam. Chciałem tylko wiedzieć, co z nim się stało, bo wtedy znikł tak nagle...

— I dobrze, i dzięki Bogu, że znikł. To nas przecie rozproszyło, to był kres tej szatańskiej farsie.

— I ja nie uważam wcale »Wolnej Myśli« za jasny punkt naszego życia, a pojedynczymi epizodami brzydzę się niemniej od pana: nie przeszkadza mi to pragnąć wieści o losach człowieka, który wywarł duży wpływ na moje życie.

— Zły wpływ!

— Nie przeczę, wywarł jednak.

Wierszwił ruszył ramionami i zwrócił rozmowę na inny temat.

W Zakopanem wyżyć dziś trudno. Jaskinia rewolucyjnych bandytów! Co krok — anarchista! Te wiece — zgroza! A feministki!

Było w tem trochę prawdy, ale swoim zwyczajem prawdę tę podawał na niesmacznym półmisku. Spróbowałem mu przerwać, zapytując o wycieczki w góry.

Zamachał rękami.

— Chcesz pan? Jutro, zaraz! Wybierzemy się zaprowadzę pana...

— Ależ dokąd?

— Zobaczysz pan! Doskonała myśl! Jeśli to pana nie nawróci...

— Ależ ja wcale nie potrzebuję się nawracać!

— Właśnie dlatego! Właśnie dlatego!

— Cóż to jest jednak?

— Co? Obaczysz pan. Kawałek wieków średnich! Coś, co kruszy serce, choćby najtwardsze! Coś, co działa silniej od stu kazań!

— Ależ u licha, cóż to jest wkońcu?

— Nie powiem więcej ani słowa: sam obaczysz! No, jedziemy, czy nie?

Był tak zabawnym z tą swoją tajemniczością i z tą manią nawracania mnie, jakbym był dotąd jeszcze członkiem »Wolnej Myśli«, a z drugiej strony silna wola tak zawsze suggestyonuje, że śmiejąc się i ruszając ramionami — przystałem.

Chwycił mnie uradowany w ramiona i nim miałem czas zaprotestować, — uściskał.

— Nie uwierzysz pan, jak się cieszę! — wołał. — Jeżeli to na ciebie nie podziała, to już niema ratunku.

— Kiedyż bo ja powiadam panu, że ja już sam się wyratowałem.

— No, no, już dobrze! Jutro o ósmej zachodzę po pana i jazda!

.

Pojechaliśmy w stronę Kuźnic i dotarliśmy aż do drewnianego klasztoru Tercyarzy, przytulonego do drewnianej kapliczki wśród leśnej gęstwiny i ciszy, zupełnie, jak średniowieczna pustelnia. Domyślałem się, że to była niespodzianka, którą mi gotował mój towarzysz.

Istotnie wózek nasz zatrzymał się; — dalej szła pod górę ścieżka, tylko dla pieszych dostępna.

Wysiedliśmy. Skręciłem do wrót zagrody, okalającej klasztor.

Wierszwił wstrzymał mnie za rękaw.

— Nie tędy! — rzekł. — W górę!... To jeszcze spory kawał drogi. Dlategośmy tu podjechali, żeby nóg oszczędzić na naszą wyprawę, bo ciężka.

Była istotnie ciężka. Drapaliśmy się pod górę lasem, potem wydostaliśmy się na jakiś grzbiet skalny i znowu spuściliśmy się w wąwóz zupełnie już dziki. Wśród złomów porośniętych kosodrzewiną było tam coś w rodzaju ścieżki, ale raczej dla dzikich kóz, niż dla ludzi. Szliśmy długo, odpoczy-

wając potrochu, dysząc ciężko i ocierając pot z czoła. Chłopak, który nas przywiózł, zostawił konie przy klasztoru a sam piał się o sto kroków przed nami, wskazując drogę i zachęcając do pośpiechu.

— Ale dokądże idziemy, u stu kaduków? — pytałem raz po raz, coraz bardziej zniecierpliwiony.

Wierszwiłł odpowiadał mi, kładąc palec na usta.

— Nie klnij... — upominał mnie! — Nie godzi się. Pożałujesz, gdy zobaczysz.

— Co?

Kiwał głową w milczeniu i uśmiechał się tajemniczo.

Byłem zupełnie zły. Ta wycieczka po skałach, czasem na czworakach i z chwytnością o ostre krzaki, żeby się ratować od koziołka w dół, wcale głęboki, nie miała w sobie nic uroczego, zwłaszcza, że dzień był dość upalny, a wąwóz wcale nie malowniczy i bez widoku. Próbowałem huknąć na górala, żeby się coś u niego dopytać, ale wbrew regule chłopak był zupełnie głupi i albo nie odpowiadał nic, albo pokazywał mi zęby, białe, jak u wilczka, i rzucał w odpowiedzi:

— Adyc sami wiedzą!

Zapewniałem go, że nic nie wiem i że chcę wiedzieć, ale on to brał widocznie za kpiny i przekomarzenie się z nim i biegł dalej naprzód, skacząc z kamienia na kamień i pohukując na nas, byśmy śpieszyli, bo późno już.

Opadłem zupełnie z sił i Wierszwiłł ustawał już widocznie; kiedy naraz chłopak przystanął, rzucił szybkim ruchem kapelusz z głowy i wyciągając rękę przed siebie, rzekł nam przyciszonym głosem, jakby z obawą:

— No, to tu jest...

— Co jest?! — zakrzyknąłem, rozdrażniony do najwyższego stopnia znużeniem i ciekawością.

Ale mój towarzysz zatkał mi usta ręką.

— Ciszej, na Boga, bo go spłoszysz! — szepnął.

— Kogo?

— *Jego...*

Zrozumiałem, że pytania nie doprowadzą do niczego i trzeba samemu się starać o wynalezienie klucza zagadki. Zacząłem więc rozglądać się dookoła z ciekawością i uwagą, szukając tego, co nam wskazywał przewodnik.

Ale wkoło nas szarzały jeno jeden nad drugim okryte żółtawymi mchami głązy, a między nimi tu i owdzie wyzierała zielona limba. W górze stało południowe słońce, syjąc żarem i lśnił, zasnuty lekko rojem wełnistych obłoczków, błękit nieba.

Więcej nic. Nic zgoła.

Mimowoli znów spojrzałem na Wierszwiłła. On także stał bez czapki i ręką wskazywał w tę samą stronę, co chłopak.

— Tam, tam... — szeptał mi. — Ale pocichu, ostrożnie!

Zrobiłem kilka kroków naprzód i teraz dopiero dostrzegłem niezauważoną przedtem szczelinę za

ogromnym załomem skały. W czarnej głębi, rozwartej na szerokość człowieka, coś jakby majaczyło.

— Klęczy, jak zawsze... — szepnął Wiersz-wiłł. — Poczekajmy chwilę, aż wyjdzie na brzeg jaskini, ale nie ruszajmy się i nie podnośmy głosu, bo zauważy i nie pokaże się.

Nie pytałem już więcej, zrażony dotychczasowem niepowodzeniem; ale mój towarzysz uznał widocznie, że nadeszła już właściwa chwila dla zaspokojenia mojej ciekawości i zaczął szeptać, dotykając mi ustami ucha.

— Siódmy rok już nie wychodzi z tej pieczary, oprócz tylko w niedziele na Mszę św. do Tercyary. Pustelnik! Jak przed tysiącem lat! Nikt nie wie, skąd przybył, ani kim był dawniej. Zjawił się tu naraz i pozostał. Żyje latem korzonkami, zimą kawałem suchara. Ludzie uważają go za świętego i znoszą mu żywność, ale on to oddaje Tercyarzom z klasztoru. Jednem słowem — święty!... Gdyby nie tak trudny dostęp, szłyby tu procesye... Ale mało kto go ujrzy. Nie wychodzi przed skałę, gdy głos ludzki postłysz. Trzeba bardzo cicho i ostrożnie...

Urwał nagle. Przewodnik pociągnął go naraz silnie za rękaw.

— Cichajcie-no! — szepnął mu bardzo cicho. W szczelinie pokazał się człowiek.

Wysoki był, wyschły jak skóra kordubańska, czerniały i zawiędły, jakby go od lat wielu tłukły

bez spocznienia wichry halne. Powłóczysta szara opończa ze zgrzebnego płótna zwisała mu do kostek. Nogi miał bose; w wychudłych palcach, żółtych jak wosk, przesuwał drewniane paciorki. Dokoła łysej czaszki bieleła kilka kosmyków siwego włosa i długa zmierzwiona broda spuszczała mu się aż na piersi. Z pod brwi krzaczastych i głębokich oczodołów, jakby z głębi jakiej czarnej otchłani, świeciły mu oczy, niby dwa świetlne punkty, dwie iskry, żarzące się w nocnej ciemnicy: tak przy trupie żarzy się w żałobnej izbie kaganek.

I sam on, ten bardzo stary człowiek ze zmartwiałą twarzą i niedogasłemi oczyma, zdawał się trupem, na chwilę tylko wyjętym ze skalnego grobu i wystawionym na światło dzienne, by postacią swą mówił: *Memento mori!* Wszystko w nim było trupie: oczy tylko żyły jeszcze...

I oto podniósł je i leniwo, sennie puścił wzrok przed siebie, wzrok cichy, ukojony już, jasny, jakim patrzą ze starych fresków z *trecento* patryarchowie biblijni i święci nowego zakonu.

Oczy te... Czy ja je widziałem kiedy? Nie! *Tych* nie widziałem nigdy! Nie, to nie były oczy Giordana Bruno, te oczy zamglone i spłowiałe, ale spokojne i zapatrzone w niebiosy. Takich oczu on, nasz Lucifer, nie miał nigdy, nigdy — przynajmniej odkąd go znałem! A jednak to był on, on sam! Poznałem go! Zbyt silnie zespoliła się z nim moja dusza, żebym go nie miał poznać. Poznałem go i wyciągnąłem ku niemu dłoń.

— Ty, ty, Mistrzu mój!... — zawołałem.

Głos mi się załamał, przerażony własnym dźwiękiem. Mogłłem zwracać się ku niemu słowem tem na tem miejscu, w tej chwili? Nie byłoż-to straszliwe urągawisko przypominać to, co mu dziś stało się zakałą, i wyrzutem, i pokutniczem brzemieniem? Nie byłoż to prawie świętokradztwem?

Zmilkłem, i nic już nie znalazłem w myśli i na uściech, by mu rzec, i trwałem jeno z wyciągniętymi ku niemu dłońmi, z wlepionemi weń oczyma.

A on tak wyglądał przez chwilę, jakby nie zdawał sobie sprawy z tego, co działo się koło niego: Nadto snać odwykł od obcowania z ludźmi; wnet jednak przyszedł do siebie, spojrział na mnie i poznał...

Wtedy oblicze jego, martwe i wypełzłe z barwy wszelkiej i życia, okryło się nagle kredową białością. Zbielały mu nawet wargi i zatrzęsły się usta. Stał przez minutę, wpatrzony we mnie osłupiałym wzrokiem, potem zrobił krok naprzód, jakby chciał zbliżyć się ku nam i zaraz cofnął się wstecz, drżąc na całym ciele, jakby nagłym ogarnięty dreszczem. Po chwili uspokoił się, pochylił głowę nisko, wielki znak krzyża położył sobie na czole i ramionach, drugi krzyż zakreslił w powietrzu i obróciwszy się zwolna, zniknął w szczelinie skalnej, z której wyszedł.

Zakopane, Koleba, marzec 1905.

Warszawa, luty 1911 r.

BIBLIOTEKA
URZĘDNIKOWY WZAJNY UB: W KRAKOWIE
SEKOYA IV.

GWIAZDKA W BAEDECKERZE
ZE WSPOMNIENÍ SZWAJCARYI

I.

Wieczór zapadał powoli, słońce skryło się już poza stromy, śnieżny szczyt Glishornu i granitowe skały, piętrzące się po obu stronach miasteczka, rzucały na wąską dolinę długie, czarne cienie. Ale niebo było jeszcze zupełnie jasne, zalane ciepłym błękitem, a poza ciemnymi szczytami przezierały inne, dalsze, całe liliowe, kąpiące się w złocistej łunie lub lśniące srebrnymi płacami lodowców. Na dole, w głębi doliny szarzały, zacieśniając się coraz to bardziej w mgłę wieczornej, kościelne wieżycy i zamkowe baszty starego Brig. Ze stoków gór, z łąk pozawieszanych wśród skał zielonemi smugami, dochodził odgłos dzwonek, szczekanie psów i głuchy ryk bydła.

Wąską ścieżynką, wijącą się równoległe z gościńcem pocztowym do Simplonu, ale wysoko w górze ponad skałami przydrożnymi, biegła szybko i śmiało, nie zważając na przepaście, skacząc jak sarna ze skały na skałę młoda dziewczyna z koszykiem w rękę i piosenką na ustach. W koszyku były poziomki czerwone jak krew i śnieżne szarotki z alm; piosenka alpejska, w tym schwyzer-

tüstch, którego żaden Niemiec nie rozumie, ani potrafi wymówić, brzmiała coraz głośniejsze i śmielej, aż rozległa się wesołym jodlerem, czysta i dźwięczna, jak srebro, odbijając się o skały tysiącem ech.

Dziewczyna była hoża i świeża, jak owoce i kwiaty wśród Alp, a chociaż strojem nie odróżniała się od wieśniaczek, idących gościńcem, było w świeżości i w kroju jej czarnej spódniczki i jej aksamitnego gorseciku i w starannem ułożeniu włosów i w pełnych wdzięku ruchach coś, co pozwalało w niej odgadnąć *Fräulein* przebraną tylko za *Mädchen*.

Z poza olbrzymiego odłamu granitu, poza którym ginał skrzęcający się gościniec, dał się słyszeć wtór. Pełny baryton, także młodzieńczy i świeży, podchwycił pieśń dziewczęcia i rzucał w dolinę garść za garścią kaskadę tych dziwnych gardłanych tonów, które są charakterystyczną cechą szwajcarskich i tyrolskich jodlerów. Przez chwilę śpiewali razem, naraz dziewczyną urwała i zwolniła kroku.

— Pierluigi — szepnęła.

Od strony doliny na zakręcie pokazał się obszerny, czterokonny powóz, z kilku kuframi, ale bez podróżnych. Na koźle siedział chłopak dwudziestoletni, śmiały i smukły, jak bronzowi młodzieńcy Donatella. Profil delikatny i klasycznie zarysowany zdradzał w nim krew włoską niemniej jak płomienisty blask czarnych, aksamitnych oczu.

Zrównawszy się z dziewczyną, zeskoczył szybko i ścisnął jej rękę.

— Dobry wieczór, Gretli — rzekł do niej, ogarniając ją ciepłym wejrzeniem — nie odprowadzisz mnie kawałek?

Dziewczyna potrząsnęła głową, milcząc.

— Tylko do kapliczki przy wawozie. Bliziotko — kamieniem rzucić... Nie? — Gretli wysunęła rękę z jego dłoni i westchnęła zcicha.

— Wiesz przecie, Pierluigi — szepnęła — ojciec zakazał surowo, nie godzi się.

— Któż się dowie? — nalegał miękkiem głosem, patrząc wciąż na nią swemi wielkimi, proszącymi oczyma.

— Nie godzi się — powtórzyła. — Grzech ci prosić nawet. Sambyś za mnie się wstydził.

Chłopak odstąpił i oczy spuścił w ziemię.

— Tak bo mi już tęskno za tobą, Gretli, tak tęskno! Ani wypowiedzieć potrafię. Pomyśl tylko: ile to już czasu, jak słowa z tobą zamienić nie mogłem, ani cię posłyszeć. Z miesiąc pewno albo i więcej. I to w takiej małej dziurze, jak Brig mieszkać, prawie dom przy domu i tak żyć, jakbym ja był tu, a ty w Wenecyi przynajmniej. Tyle mego, co cię w niedzielę zdaleka na Mszy zobaczę.

— Tej niedzieli nie było ciebie w kościele? — szepnęła dziewczyna, spuściwszy głowę i bawiąc się sznurami gorsetu.

— Ojciec do Werony mnie posyłał. Gonia mnie teraz po świecie bez ustanku. — Przewietrz się, lu-

dzi zobacz, ucz się! — mówi. — A ja wiem, że mu o co innego chodzi.

— Pewnie, że o co innego — szepnęła Gretli, nie podnosząc oczu.

— Ot i teraz, konie musiały pójść na noc do Berisal dla tych Anglików, wiesz, którzy u nas nocowali przedwczoraj, a potem piechotą tam poszli i jutro przez Simplon jadą do Domo d'Ossola. Vangelista miał powozić, naraz ojciec mnie woła i każe siadać. Tamten potrzebny w domu, czas piękny, przejedź się też. No, ale tym razem dobrze się stało, przynajmniej chwilę jestem z tobą i tak niespodziewanie. Co, nieprawda, Gretli?

Chciał ją wziąć za rękę, ona usunęła się i oparła o granitową skałę.

— Co to za nieszczęście z tą kłótnią pomiędzy ojcami, co za nieszczęście! — rzekła, patrząc w smutnem zamysleniu na ciemniejącą głąb doliny. Chłopak rzucił kapelusz o ziemię. Oczy mu zabłyśły silniej, jak u drapieżnego ptaka.

— To nie nieszczęście! — zawołał gniewnie — to przekleństwo! Pomyśleć tylko, że tyle lat żyli obok siebie w zgodzie, w spokoju...

Dziewczyna uśmiechnęła się.

— Nie bardzo i nie zawsze — wtrąciła.

— No, zachciałaś — Włoch z niemieckim Szwajcarem. Oberżysta z oberżystą! Pewnie, że nie bardzo. Wygadywali na siebie, odmawiali sobie nawzajem podróży i służbę...

— Wasz omnibus gości do nas zamówionych zabierał.

— A tak, tak... Twój ojciec potem mało laski nie połamał na plecach Tolomea. Ale cóż to znaczyło! Sąsiedzkie nieporozumienia zwyczajne. Za to, jeżeli latem się kłócili, zimą była zgoda między starymi, i nam wolno było żyć w zgodzie.

— Widywaliśmy się wtedy tak często...

— Codziennie. I nikt nam nie przeszkadzał. Przeciwnie. Pamiętasz, jak starzy mrugali do siebie, patrząc na nas, jak nam mówili: bawcie się, bawcie, dzieci, w sam raz z was para będzie. Pamiętasz?

Przechylał się, chcąc jej w oczy spojrzeć, ona się odsunęła na bok, czerwieńsza od różyczek alpejskich i poziomek w jej koszyku.

— Ej, tego nie pamiętam — odparła, odwracając głowę. — Chyba... może kiedy w zimie — dodała z uśmiechem.

— A w zimie oczywiście, kiedy gości nie było. Ktoby o nas myślał w lecie. Ej, jakie to dobre lata były. A teraz...

— A w szkole, pamiętasz, Pierluigi — zaczęła Gretli — tę zezowatą Liesli, która zawsze mizdrzyła się do ciebie, a teraz, słyszę, za mąż poszła do Airolo.

Chłopak zaśmiał się.

— Miałbym nie pamiętać? Nie wyczubiłem to jej, kiedy ciebie zaczęła przezywać?

— A jakieś to mnie obronił przed tym drąga-

lem, tym rudym Hansli, który mnie bił i szczypał, ile razy ciebie nie było?

— Dostał odemnie za swoje wtedy. Ale ja, jakem to za ciebie oberwał, pamiętasz, kiedyś to szybę w szkole rozbiła kulką ze śniegu?

— Poczciwy Pierluigi — a ty na siebie wzięłaś winę, żeby mnie ochronić. A magister ciężką miał rękę.

— Oj, ciężką! wiem coś o tem. Ale teraz nic, przypomnieć miło. Bodajby jeszcze trwały te szkolne czasy!

— Pewnie — rzekła dziewczyna. — Teraz z tą nieszczęsną kłótnią wszystko przepadło, skończyło się.

— Świat cały zbrzydł, słońce już nie świeci, jak dawniej — mruknął pośepnie chłopak.

Szli obok siebie gościńcem, stromo podnoszącym się w górę i wijącym dokoła niej serpentyną.

Pierluigi z lekka tylko pokrzykiwał na tłuste i rosłe konie, Gretli towarzyszyła mu, zapomniawszy o uczynionej na początku spotkania odmowie.

— I z czego to właściwie poszło między nimi? — spytała po chwili milczenia.

— Z czego? A z czegoż, jeśli nie z tego przekłętego Baedeckera?

— Więc naprawdę z Baedeckera? Myślałam, że to żart.

— Dobry żart, kiedy chodziło o gwiazdkę!

— A prawda, że to nasza »Post« miała przedtem gwiazdkę, a potem straciła ją w nowem wy-

daniu, twój ojciec zaś ją dostał. Ale jak to się stało, tego nie wiem.

— Ja wiem. Wasza oberża była od ludzkiej pamięci pierwszą w Brig i naprawdę jedyną, bo ktoby tam »Złotego Jelenia« i »Czarnego Niedźwiezia« i tę dychawiczną »Koronę« brał w rachubę. Aż oto przyszedł mój ojciec, »Koronę« kupił od starego Staendla i zrobił z niej swój »Hôtel de Londres«. Ty mała byłaś, nie pamiętasz, ale ja wyrostkiem będąc, widziałem, co to za gwałt powstał w Brig, kiedy zobaczyli ten hotel nowoczesny, elegancki, z ogrodem, czytelnią, łaźnią, stajniami — jednym słowem tak, jak w Louèche, albo nad Jeziorami.

— Pamiętam i ja, jak ojciec klął na to, a matka płakała, że wszyscy goście do was pójdą.

— Poszliby — rzekł chłopak, podnosząc głowę — ale na nieszczęście mój stary za prędko chciał wrócić do wyłożonego grosza. Słyszałaś. Brał za drogo, czasem skusił się dać coś tańszego i gorszego do kuchni. Anglicy, jak wiesz, domyślni, a uważają dobrze.

— Oj, pewnie, że tak — wtrąciła z przekonaniem dziewczyna.

— Otóż widzisz. Więc też z początku rzucili się hurmem, a w następne lato znów więcej było w »Post«, niż u nas. I choć już ojciec starał się — nie szło. U nas jeden Anglik, u was sześciu. Doszło już do strat, nawet, wiem to dobrze, do długów.

— Aż tak? Ktoby to dziś po signorze Gianantonio przypuścił!

— Tak było jednak. Aż wreszcie ojciec wziął się na sposób — i to wiesz jaki? Miała wychodzić nowa edycja »Baedekera« i to równocześnie z niemieckim, po angielsku i po francusku. Ojciec dowiedział się o tem i jak zaczął się kręcić, pytać, płacić, tak wynalazł korespondenta, wiesz, takiego, co pisze do »Baedekera« i donosi o hotelach. Był to jakiś stary Niemiec. Ojciec jak go zaczął okarmiać, opajać i za trzecią część ceny rachunki dawać, przytem zaś jak mu zaczął gadać o »Post« i malować Sebastjana Stuerli, jej właściciela, jak to rozumiesz w rzemiośle się dzieje, tak Herr Doctor czempredzej pchnął do Lipska czy Berlina zawiadomienie, że w Brig jest »Hôtel de Londres«, »vorzüglich und nicht theuer«, a hotelowi »Post« gwiazdkę skreślił. A w innych wydaniach zrobiono to samo.

— I dzięki temu od następnego lata wszyscy rzucili się do was, wszystkie grube ryby angielskie; u nas zostało tylko trochę niedobitków.

— A tak, i dzięki temu także twój ojciec zarzął się tak na mego, że kilka razy mało co do bójki i procesu nie przyszło, a nam zabronili zbliżać się do siebie.

— Niestety!

— Mnie tam jeszcze mniejsza. Przemierzył mi raz kijem plecy mój stary, widząc, jak się za tobą oglądam, niechby przemierzył i drugi. Co tam!

Kości mam twarde. Ale z tobą gorzej. I nie puszczą cię, i sama nie chcesz wybiegnąć.

— Pewnie, że nie — rzekła smutno, — Od czegoż byłam u sióstr i słucham katechizmu co niedziela.

— Zapewne, zapewne, ale niemniej to sekatura. I jaka! I co tu począć, co zrobić?

— Czekać — rzekła Gretli poważnie. — Czekać i Bogu to ofiarować. Widzisz, zaczęłam nowennę do błogosławionego Mikołaja z Fluë na tę intencję. Obiecałam votum. Zrób to i ty. Zrobisz?

Chłopak nie bardzo zdawał się przekonany.

— Zrobię, zrobię — odparł niechętnie. — Obiecałem już funtową świecę i srebrne serce Madonnie z Campiglio, wiesz, tam, gdzie ojczyzna mego starego. Ale niechże pomaga prędzej, niech pomaga, bo...

Dziewczyna przerwała mu:

— Cicho, bo jakieś głupstwo powiesz. Ja mam przecucie, że będzie lepiej, tylko bądź dobrej myśli. Zgoda? A nosisz ty medalik, który ci dałam przy ostatniem widzeniu?

Pierluigi wyjął srebrny obrazek, pokazał go, i pocałowałwszy, skrył za koszulę.

— Dobrze, chwała Bogu i *coraggio*, tak u was mówią, prawda? I do widzenia, czas na mnie. *Grüss dich Gott, Pierluigi!* Bądź zdrów!

— Kiedyż się zobaczymy?

— Nie wiem, jak Bóg da — odparła, wrywa-

jąc się zatrzymującemu ją chłopcu i zbiegając szybko ku dolinie,

— Do ciotki Purgi nie zajdziesz kiedy?

— Może, wieczorkiem... zobaczę. Ty kiedy wracasz?

— Za dwa dni. Może w Domo kogo złapię do powrotnej drogi. *Addio, cara!*

W szarej mgle zapadającego mroku sylwetka odchodzącej dziewczyny gineła, zlewając się z niewyraźnymi konturami skał i nadbrzeżnych krzewów. Zrobiło się ciemno zupełnie — tylko białym wężykiem świecił zdala wijący się ku miastu gościniec i bardzo daleko w dole migąły światelka w Brig i w okolicznych fermach. Wśród szczytów górskich, wysoko, podnosił się księżyc czerwonawy, mgłą lekko zasnuty.

Pierluigi stał przez chwilę w milczeniu, patrząc w stronę, gdzie zniknęła Gretli.

— *Cara mia, carina!* — powtórzył miękko i cicho.

II.

W swojej aksamitnej czapeczce z czerwonym kutasem, z połyskującymi białością, odwiniętymi wysoko w górę rękawami koszuli, z pierścieniami złotymi na okrągłych palcach i złotymi brelokami przy złotym łańcuchu na wypukłym żołądku Sebastyan Stuerli, właściciel hotelu »Zur Post« mógł być przez długie lata mówić, że życie jest piękne

wogóle, a szczególnie szczęśliwe jest życie oberżysty.

Ale on tego nie mówił nigdy.

Od wczesnego rana do późnej nocy twarz ogromna, doskonale okrągła i mocno czerwona świeciła, jak wschodzący księżyc w pełni, w kuchniach, spiżarniach, dziedzińcach i salach oberży — i od wczesnego ranka do późnej nocy słyhać było tubalny głos, rozlegający się naprzemian z rozkazami, z przekleństwem i ze skargą na los nieszczęśliwy.

I dyabeł, i pioruny, i piekło — i, ze wstydem wyznać to należy, mówiąc zwłaszcza o tak dobrym katoliku i członku kongregacyi miłosierdzia, jakim był pan Sebastian — i Niebo wraz z różnemi rzeczami świętymi i szanownemi wzywane były po kolei przez oberżystę z »Post« na świadków, że go Bóg zapomina, a ludzie krzywdzą na wszystkie strony, że klęski i straty sypią się na niego ze wsząd, jak z rękawa, że mu oddawna i nieomylnie grozi bankructwo, ruina, kij żebraczy i śmierć głodowa i summa summarum od stworzenia świata aż do tej chwili nie było i niema nieszczęśliwszego i bardziej prześladowanego człowieka pod słońcem i drugiego do końca świata nie będzie.

Tymczasem jednak co roku przybywało pierścionków i breloków, co roku trzeba było rozszerzać kamizelki codzienne i świąteczne surduty pana Sebastiana, co wiosna cieśle stukali młotami, dobudowując nowe przystawki do obszernego budynku

oberży i notaryusz zacierał ręce po nowym kontrakcie, którego mocą kawał pola, łąki, ogrodu przechodził w ręce nieszczęśliwego oberżysty.

— To tylko, żeby dogodzić tym biednym ludziom, potrzebującym pieniędzy — mawiał Stuerli — pożyczylem, a kupilem, byle cenę porządną dostali, takie to już u mnie miękkie serce.

Wprawdzie zdarzało się tak dziwnie, że za ten sam kawałek ziemi na drugi rok ofiarowywano p. Sebastyanowi trzy i cztery razy tyle, ale to już musiała być zasługa jego umiejętnej kultury.

Bąkali też ludzie ciekawe rzeczy o pewnej żelaznej skrytce w grubym murze jego sypialni, przy szklance wina w zimowe świąteczne wieczory prześladowali tą skrytką sąsiedzi p. Sebastyana, on jednak odżegnywał się od tego i tem głośniejsze rozwodził żale nad swoim uciskiem, nędzą i grożącą ruiną.

Tylko, kiedy czasem stary Klaus Bürkler, jego przyjaciel od młodości i kolega w magistracie miasta Brig, przypominał mu czasy wspólnej służby przy oberży pod »Łabędziem« w Lucernie, pan Sebastyan uśmiechał się, rozszerzając grube wargi aż do uszu, nadymając policzki i mrugając lewym okiem, jak to zwykł czynić, kiedy był w dobrym humorze.

— Zrobiło się coś od tego czasu, kuzynie Klausie, zrobiło — mówił półgłosem, klepiąc go po ramieniu — nie straciło się lat. Jest trochę tam — i mówiąc, pokazywał przez okno na łąki

i pola — będzie coś i tutaj — dodawał ciszej, zwracając palec w stronę sypialni. — Bogu dziękować, Sebastyan Stuerli nie był próżniakiem, a jak kiedy umrze, wtedy dopiero pokaże się... Cha, cha, cha!... Moja stara Rieke będzie miała czem oczy obetrzeć, a Gretli — męża kupić.

Naprawdę Gretli i za życia ojca nie potrzebowała męża kupować. Wiedzieli przecie wszyscy, że była jedynaczką jednego z najbogatszych, jeżeli nie najbogatszego mieszczanina w Brig, a chyba ślepy przeczyłby temu, że nawet bez grosza posagu dziewczyna znalazłaby męża. Była najładniejszą w Brig — i kiedy w niedzielę szła przy boku sapiącego ojca do kościoła, niosąc jego książkę ze srebrną klamrą i wielki kokosowy różaniec, ku ławie Stuerlego, pierwszej przy ołtarzu, zwracały się oczy wszystkich, młodych i starych.

Kiedy przed ośmiu laty rozeszła się po Brig pogłoska, że jakieś czarne Włoszysko z Tesynu czy z Werony dobija targu z Künzlem o jego »Koronę«, całkiem opuszczoną, starą i brudną oberżę prawie poza miasteczkiem, pan Sebastyan machnął na to ręką z lekceważeniem.

— A niech tam! — rzekł obojętnie.

Zanadto miał wyrobioną opinię i klientelę, aby się obawiać konkurencyi i to włoskiej. Połowę oberżystów we Włoszech stanowią przecie Szwajcarzy; mieliżby się obawiać Włochów na własnych śmieciach?

Ale signor Gianantonio Catellini nie był jednym

z tych lekkomyślnych, a zawsze wesołych dzieci zatoki Neapolitańskiej, bawiących się błahostką, a nie dbających o jutro. I kiedy go właściciel pocztowego hotelu zobaczył przy robocie, niezmordowanego w reklamie, w łapaniu i zachęcaniu podróżnych, w podnoszeniu wartości, a zwłaszcza zewnętrznego wyglądu swego hotelu, wówczas po raz pierwszy bodaj zaczął kłąć i niepokoić się naprawdę.

Szczęściem dla niego, spekulacya w części przynajmniej zawiodła. Chciwość włoska przemogła rozsądną rachubę — i odstręczyła podróżnych. W każdym razie »Post« nie straciła nic, a patrząc na próżne omnibusy, wracające do niej z kolei podczas najgorętszego sezonu, pan Sebastyan zaczął sobie kombinować, że byłby to przecie łakomy kąsek do schwycenia i że może... przecie... jakoś... A właśnie ogrody »Hôtel de Londres« łączyły się z jego łąkami, a te ostatnie przytykały do obejścia »Post«.

I wtedy to ojciec Stuerli zauważył, że chłopak Gianantonia chodził do szkoły razem z Gretli, od której o kilka lat był starszy, i że choć *ein Wel-scher*, był, mniejsza że ładny, ale zdrow i silny, jak każdy inny góral z kantonu Wallis.

Tego samego dnia stary Stuerli pod pierwszym lepszym pretekstem znalazł się u swego włoskiego współzawodnika, który odrazu zrozumiał, o co chodzi.

Mały, czarny, chuderławy Catellini ginął wobec olbrzymiego i opastego oberżysty z »Post«.

Traktował go z rewerencyą i nadszkakiwaniem słuźalczem niemal. Oko mu tylko błyskało czasem ironicznie i złośliwie, gdy mu nalewał szklankę najlepszego swego wina. Na zagadywania o syna odpowiadał półgębkiem — zbyt był ostrożny, aby się wiązać choćby w dalekiej przyszłości; ale w duchu pomyślał:

— *Perchè no?*

Potem jednak przyszła mu refleksya:

— Czterdzieści lat pracowałem, jak murzyn, żyłem polentą i wodą, na wino i ser pozwalałem sobie tylko w niedzielę, na mięso dwa razy do roku — teraz jem i śpię gorzej i mniej od moich camerierów i facchinów — wszystko dlatego, aby Pierluigi był *un signore*. I to, co zebrałem z taką męką i trudem, ma iść dla Szwabów? Ta bryła mięsa, ten rozdęty Stuerli ma się pysznić bogactwem moich wnuków, jako własnych? Przenigdy! Pierluigi! Oko w mojej głowie, jednak — temu trzeba signoriny z miasta, a nie chłopki, takiej, jak gaska Gretli.

Ale cóż? Interesa nie szły. Mogły całkiem zawieść. W tym wypadku dobrze mieć furtkę do odwrotu i ratunku. I dlatego Gianantonio uśmiechał się dobrodusznie, nic nie mówiąc i kiwał głową, ilekroć mu stary Stuerli, mrugając lewem okiem, pokazywał bawiące się razem dzieci.

Aż naraz zmieniło się wszystko.

Jakim sposobem Gianantonio dowiedział się, że doktor Armin Swincke, *Rector der Oberhausver-*

waltung-Industrie- und Gewerbevorbereitung- und Fortbildung-Knaben- und Mädchen-Schule in Köpenick bei Berlin, lato całe włóczy się po Szwajcaryi jako korespondent i informator redakcyi »Baedekera?« Funkcye tego rodzaju bywają zasłonięte tak głęboką tajemnicą, że trzeba było istotnie niezwyklej przenikliwości i wielkiego sprytu, aby je odgadnąć w niepokaznym turyście z nad Sprei.

Trzeba było także całej zręczności włoskiego *padrone*, aby nietylko korespondenta zjednać, nie dając mu poznać, że się odgadło, kim jest, ale aby potem nie chwalić się przed nikim czynem, który szachował wszystkie oberże w Brig. Ale cóż ukryć się zdoła na świecie! Z chwilą, gdy w nowych wydaniach »Baedekera« pojawiły się w opisie Brig owe całkiem niespodziewane, a tak donośne zmiany, całe miasteczko zaczęło domyślać się przebiegu intrygi.

Sebastjana Stuerli o mało co nie zabiła apopleksya, potem dostał żółtaczki i chodził przez miesiąc żółty, jak cytryna.

W pierwszym gniewie zapowiedział córce, że kij na niej połamie, jeżeli ją zobaczy kiedy przy Pierluigim.

Oberżyscie z »Hôtel de Londres« doniesiono o tem. Zaśmiał się tylko.

— Doskonale — rzekł. — Teraz i ja nie chcę mieć z nimi nic wspólnego, nic.

Synowi nie powiedział ani słowa, spojrział tylko na niego, mówiąc to.

Pierluigi spuścił głowę i schowawszy się w kąt, zapłakał.

Od wyroku ojca, wiedział o tem dobrze, nie było apelacyi. Stary Stuerli wrzeszczał, kłął, tłukł na głowach kufle i na plecach kije, ale gdy burza przeszła, w dobrej chwili dało się z nim zrobić wszystko. Ale mały, czarny *padrone* z Werony z wiecznym uśmiechem na wązkich ustach, ten rękę podnosił rzadko, głosu — nigdy, a jednak wszyscy w domu bledli i drżeli pod jego spojrzeniem, iskrzącem się i przeszywającem, jak sztylet.

Dla dwojga młodych serc zerwała się naraz nić złota, rozwiął się sen, czarownicy i piękny, jak wiosna.

Chowali się razem prawie, od tylu lat spędzali przy sobie wszystkie wolne chwile, słyszeli tylekroć, że ich imiona łączono ze znaczącym naciśkiem i uśmiechem. Tak do tej myśli, że dla siebie są przeznaczeni, przywykli, że poprostu nie mogli sobie życia wyobrazić inaczej. A byli oboje bardzo młodzi, szczęśliwi, nieświadomi życia — i wśród jego kwiatów, pierwszy to był, ale bardzo bolesny cierni...

I od tej chwili upłynęły dwa lata.

III.

Ciotka Purga mieszkała na samym końcu miasteczka, w wązkim, poczerniałym i poszczerbionym od starości domu, ktorego drzwi i okna chwiały się na zjedzonych rdzą zawiasach, same napół

zmurszałe. Ale przed i ponad niemi na drewnianych deszczułkach codzien świeżo wymytych, czerwieniły się wśród zieleni i bielily świeże, wonne, bujnie rozkwitłe hyacyny i gwoździki.

Staruszka była uboga — domek z ogródkiem stanowił cały jej majątek, na którym ciążył jeszcze dług Stuerlemu — reszta posagu jego żony, bo ciotka Purga była siostrą Rieki Stuerli. Pan Sebastian nie słynał wcale z delikatności uczuć i postępowania, cieszył się natomiast zasłużoną sławą dusigrosza i twardego wierzyciela. Nie dziw, że ciotka Purga nie nosiła go w sercu.

— Dajże mi choć na mojem śmieciu umrzeć spokojnie — mówiła, gdy ją dusił o pieniądze; — potem i tak wszystko będzie wasze.

Ciotka Purga była dobrą niewiastą, siostrę kochała bardzo, a dla Gretli oddałaby i dom, i kwiatki, i nawet ukochanego burego kota, ale krew miała gorącą, jak zwykle bywa na południowej stronie Alp.

Razu pewnego po scenie ze szwagrem, który jej groził zlicytowaniem domu, wsunął się do niej chyłkiem, z tysiącem ukłonów i komplementów, Catinelli.

Zaczął od pogody, zainteresował się słabem zdrowiem starej panny i ze współczuciem słuchał, wzdychając, lamentów nad złym jego stanem, chwalił jedwab przędzony na kołowrotku, zachwycał się kwiatami, a burego kota z kolan nie spuszczał, zwabiwszy ukradkiem kawałkiem słoniny, przynie-

sionym w kieszeni. Ciotka Purga była Gianantoniem zachwycona.

— I toż to jest ten »Welsche«, na którego tyle wygadują wszyscy! — myślała.

A kiedy po półgodzinnej rozmowie Włoch zaproponował jej, że jej pożyczy pieniędzy na spłacenie szwagra, mało brakowało, żeby mu nie rzuciła się na szyję.

— Zbawco, dobroczyńco! — wołała. — Życie mi ratujesz, broniąc mnie od tego Heroda!

Stuerli zdumiał się niepomału, a potem oburzył, gdy mu w następną niedzielę po Mszy odniosła pieniądze.

— Skąd, jak, od kogo?

Nie potrzeba było długo szukać, chociaż ciotka Purga milczała, uśmiechając się tryumfująco. Wtedy w oberży Pocztowej nastął sądny dzień. Talerze i kufle latały po powietrzu, domownicy kryli się po kątach.

— Ależ, babo przeklęta, szalona! On chce zjeść ciebie z twoim domem, bo ogród twój przylega do łąki jego piekielnej oberży!

Stary Stuerli zapominał tylko o jednym: że właściwie i on sam chciał uczynić jej zupełnie to samo.

Ciotka Purga nie słyszała tego, dawno bowiem zrejterowała przed wybuchem. Niezadługo jednak przekonała się i ona, że Gianantonio mniej był anielski i miłosierny, niż jej się pierwotnie zdawało. W obliżu, pisanym przez Catinello, a oblatowanym u jego przyjaciela notaryusza Włocha, takie

były kruczki i haczyki, na nieświadomość i niezadność kobiecą obrachowane, że w rok niespełna po owym pamiętnym, a nieszczęśliwym tryumfie nad szwagrem, ciotka Purga znalazła się lokatorką we własnym niegdys domu, będącym własnością Gianantonia.

Ten ostatni łaskawie mieszkać jej w ruderze starej pozwalał — do czasu; ogród i łąkę wcielił do swojej własności.

Można sobie wystawić, jakie uczucia miała dla niego biedna stara.

To też, kiedy raz Gretli, przywykła na jej łono wylewać wszystkie swe skargi i żale, zaczęła roz-wodzić się nad tem, że bez Pierluigiego życie jej niemiłe, ciotka Purga odepchnęła od siebie pie-szczotkę ulubioną ze zgrozą i tak gwałtownie, że aż staruszce okulary jej w srebrnej oprawie spadły z nosa na ziemię. Rzecz była niesłychana, ale usprawiedliwiało ją oburzenie.

— Nieszczęśliwa dziewczyno! Ty!... z tym... z synem tego wisielca, łotra, mordercy, tego, tego... »Welsche«. Nigdy w życiu! Niech mnie pierwej na cmentarz wyniosą!

— Ależ ciociu — szepnęła półgłosem Gretli, bardzo zasmucona. — Pierwej nie broniłaś mi o tem mówić...

— Pierwej, pierwej... zapewne, ale wtedy nie obdarł mnie ten stary oszust.

— Cóż Pierluigi temu winien, że ma niepo-czcziwego ojca?

— Winien, nie winien... a pocóż jest jego synem? Nie wiesz to: jaki ojciec taki syn. Ojciec mnie obdarł, syn na ulicę wypędzi, żebraczką zrobi.

Gretli oburzyła się. Jak ciotka mogła mówić takie rzeczy? Czyż nie wiedziała, jak Pierluigi dobrym jest dla ludzi, jak się do ojca wstawia za dłużnikami, choć go się tak okropnie boi, jak z własnych krwawo zapracowanych pieniędzy większą część oddaje nieszczęśliwym, skrzywdzonym przez starego Catinellego. Cały Brig mówi o tem.

Stara uspakajała się powoli.

— Może, może, ale zawsze — mówiła, poprawiając okulary powoli. — Zresztą kto wie? Może to i lepiej tak byłoby, może byłoby wyjście.

— Jakie wyjście? — spytała dziewczyna.

Ciotka Purga nie odpowiedziała nic. Siedziała zamyślona z nasuniętymi brwiami. Zdawała się coś rozważać.

— Twój stary zawsze taki zły na tego niegodziwego »Welscha?« — spytała naraz.

— Zawsze, a tembardziej od waszej sprawy.

— Zapewne, zapewne... A o Pierluigim ani mówić nie da?

Gretli westchnęła tylko.

— I nigdzie go nie spotykasz?

Dziewczyna podniosła głowę i spojrzała na starą ze zdziwieniem.

— A gdzieżby? — rzekła — ze znajomych nikt u siebie nie pozwoli — ojca gniewać nie chcą, a boją się zemsty Catinellego. Gdzieindziej zaś...

— Wiem, wiem, oczywiście... Niechże Bóg broni. Znam cię przecie. Ale wiesz co?...

Zatrzymała się przez chwilę, wahając się.

— Kochasz ty tego swego czarnego »Welscha« bardzo, szczerze, wytrwale?

Dziewczyna spuściła znów oczy i milczała przez chwilę.

— No, cóż, gadaj prawdę!

Dziewczyna podniosła na nią swe łagodne oczy, błękitne, jak niebo w zorzy. Był w nich teraz wyraz twardej, pewnej siebie woli.

— Za innego nie pójdę, tak mi Boże dopomóż!

Stara nie odpowiadała. Ruszała ustami, szepcząc. W ciszy słyhać było tylko urywane wyrazy.

— Gianantonio, jak się dowie, wypędzi, na ulicę wypędzi... Ten stary gbur Sebastyan do domu nie przyjmie... Ale, jeżeli się uda... tę gołąbkę uszczęśliwić... ten czarny mnieby zawdzięczał... Tak, tak... Nie potrzebują się dowiadywać zresztą... A potem trochę zaryzykować warto... i dużo nawet... dla tej dzieciны... no, i dla siebie...

Pomilczała przez chwilę i rzekła naraz stanowczo:

— No, w przyszłą niedzielę wieczorem zajdź do mnie. Każę Pierluigiemu, żeby przyszedł także. Ale tylko na kilka minut... I ja będę z wami.

Dziewczyna nie chciała uszom wierzyć.

— Ale, ciotko, co rodzice... — zaczęła.

— No, na tego starego... niema co się oglądać. A matkę twoją — ja wciągnę do spisku.

I w ten sposób od kilku miesięcy, ukradkiem młodzi ludzie spotykali się u ciotki Purgi, która sprzedając swój jedwab, słuchała z powagą ich wynurzeń wzajemnych, uśmiechając się lub kiwając głową z westchnieniem. Gdy za długo trwało, matka Stuerli wpadała, ażeby córkę wziąć do domu.

— Jeszcze stary domyśli się czego, nie daj Boże! — szeptała, gderząc.

— Ale przecież kiedyś trzeba będzie przyjść do niego — ośmieliła się raz wtrącić Gretli.

— No, no, zostaw to nam — uspakajała ją ciotka Purga poważnie.

Ale ona i sama w głębi duszy niemniej, jak i w rozmowach z siostrą nie wiedziała, co począć.

— Bo że się widują, mniejsza z tem. Ale do czego to prowadzi? Trzeba raz skończyć — a tu ani do jednego, ani do drugiego nie przystępuj. Mój — to istny ogień i saletra. Nim pierwsze słowo wymówię, dom rozwali.

Tak utyskiwała Sebastyanowa.

— O tego mniejsza — odpowiadała Purga. — Dałybyśmy z nim rady. Ale ten dyabeł włoski ze swym uśmiechem słodkim i niskimi ukłonami... ten gorszy.



IV.

W »Grand Hôtel Pallanza«, nad Lago Maggiore, kończył się »table d'hôte« wieczorny.

Sto osób, należących do wszystkich cywilizo-

wanych narodowości w trzech częściach świata, prowadziło tę głośną i ożywioną rozmowę, jaka towarzyszy zazwyczaj ostatnim daniom obfitego obiadu i ostatnim kieliszkom dobrego wina.

Sala była ogromna, wysoka, jak kościół, ozdobna, jak buduar. Girlandy lamp elektrycznych tysiącem świateł odbijały w olbrzymich zwierciadłach i w złoceniach gzymsów, opromieniając Amory i Nimfy plafonu, iskrząc się i łamiąc w brylantach kobiet, siedzących u stołu. W rogach jadalni stały klomby palm i kamelii, na stole, ustawionym w podkowę, piętrzyły się w ogromnych serwisach srebrnych i kryształowych piramidy owoców i przepyszne bukiety rzadkich kwiatów Południa, przez otwarte okna i drzwi szklane płynęła do sali, pełnej gorąca, gwaru, zapachu potraw i perfum, wonna fala świeżego powietrza od oleandrów i mirtów ogrodu, zielonym gąszczem otaczających hotelowy pałac, i aż do marmurowych progów uderzała z szelestem cichym woda jeziora srebrzysta.

Zdaleka, od miasteczka słychać było chwilami urywki weneckiej barkaroli, którą chór jakiś improwizowany śpiewał w *Giardino publico* na cyplu, wchodzącym w wodę i kiedy niekiedy ciszę jeziora przerywał silniejszy plusk fal, bijących o łódzie wraz z miarowem uderzeniem wiosel. Wśród drzew i krzewów uczernionych nocą, przeświecała promienna szyba Lago Maggiore. Księżyc rysował ją w ogniste niemal pręgi, drżące i zmienne i rozplywające się w blaskach przestrzeni,

jak senne widziadła tej świetlistej, rozkosznej włoskiej nocy.

Dokoła obiadowego stołu armia kelnerów wykwintnych, zgrabnych i cichych przesuwała się bez szelestu, roznosząc lody i kremy, pod kierunkiem dwóch mistrzów ceremonii, uroczystych i poważnych, jak kapłani, spełniający święte obrzędy. Goście mniej byli poważni. Nawet Anglicy rozmawiali głośno i uroczymisses uśmiechały się do sąsiadów, podających im cukierki i suche konfitury.

Niemcy, mocno czerwoni, rzucali zapytania i uwagi bardzo głośne znajomym, siedzącym przy drugim końcu stołu. Włoszki gestykulowały zawzięcie i rozbijały powietrze olbrzymimi wachlarzami, a kilku Polaków rozparłszy się po amerykańsku, wtajemniczało całe towarzystwo we wszystkie szczegóły swoich krajowych i rodzinnych stosunków, nie zaniehbując upiększania tej kanwy fantazyjnym haftem.

Rozmowa, panująca na początku obiadu, ustała, ustały nawet narodowe uprzedzenia i spory. Monsieur Ducresson, negocyant win z Bordeaux i radykał czystej wody (podpisujący się zresztą na listach hotelowych jako demokrata: du Cresson), oddawał gorące pochwały cesarzowi Wilhelmowi drugiemu, na co jego sąsiad, baron Bubenbergr-Traxdorf, odpowiadał, rozwodząc się z zachwytem nad nedorównanymi w reszcie świata urokami Folies Bergères i innych cudów Paryża. Pastor Muzius z Elberfeld przyznawał po długiej dyskusyi

swej chudej, bardzo dystygowanej sąsiadce, żonie katedralnego archidyakona w Rochester, że rytualizm puzeistów nie jest taką bałwochwalczą obrzydliwością spustoszenia i takim naśladowaniem apokaliptycznej nierządnicy — to jest papizmu i Antychrysta Papieża, za jaki miał go dotychczas. Joe B. Hawkes z Bedford, Jova, U. S. i Lineolu, C. Dow z Cambden, Mass. U. S., gotowi byli uznać wobec siedzącego pomiędzy nimi syna wielkiej i rudej Brytanii, że wprawdzie ich ojczyzna rzeczpospolita jest jedynym krajem światła, postępu i cywilizacyi, a najbardziej genialny Europejczyk powinien się uważać za skończonego osła wobec każdego ucznia amerykańskiej szkoły ludowej, jednakże wśród zacofanych i oglupiałych ludów barbarzyńskiej Europy zdarzają się jednostki, jeśli nie bardzo mądre, to przynajmniej wcale przyjemne, zaś dymisyonowany sztabskapitan Sergiusz Mikołajewicz Czornopuzow, włościański komisarz z gubernii lubelskiej, kazał już podać szampana, aby z panem Dziędzielińskim z Galicyi, zapisanym w hotelu jako hrabia, stuknąć się na »primirenije« dwu bratnich narodowości.

W końcu stołu siedziało trzech mężczyzn, pijących już czarną kawę i zajętych ożywioną rozmową. Każdy z nich nosił na sobie wybitne piętno innej narodowości. W krótkim, pękатым człowieczku o przyplaszczonym nosie, szczecinowatych wąsach i faworytach i małych zaspanych oczach łatwo było poznać Niemca. Pewność siebie w postawie

i mówieniu zdradzała Prusaka. Smukły, nerwowy brunet, podskakujący jak na sprężynach, elegancki jak fryzyer i grzeczny jak »commis voyageur« mógł być tylko Francuzem, tak samo jak pochodzenie z tamtej strony kanału La Manche wypisane było wyraźnie i niezbitcie na spokojnej, ale energicznej twarzy z błękitnymi oczyma i czerwonym zarostem niemniej, jak i na muskularnej postaci olbrzyma, siedzącego między nimi.

Niektórzy z biesiadników zaczęli wstawać od stołu i wychodzić na ogród, kąpiący się w księżycu i jeziorze.

— Możebyśmy i my poszli za przykładem tych panów? — zapytał Francuz i nie czekając odpowiedzi lekkim, nerwowym ruchem zerwał się z krzesła.

— *Ja, ja*, czemu nie? Chodźmy na cygaro, co? — potwierdził Prusak, odsuwając się od stołu ciężko i niezgrabnie.

Anglik nie odpowiedział nic, wstał i wyprzedzając towarzyszków, wielkimi krokami ruszył ku drzwiom parapetowym.

Z platformy, pełnej kwitnących kamelij i cytryn, odkrytych owocem, jezioro całe stało się przed oczyma w swych blaskach srebrnych i czerniały zdała wyspy Boromejskie, zwłaszcza najbliższa Isola Bella. Prusak uderzył w dłonie z zachwytem.

— *Nein, es ist zu schön, wundervoll, pyramidal!* — zawołał, zapominając się, w rodzinnym swym języku. — Patrzcie tylko, panowie — dodał, zwracając się do swych towarzyszków i rozmachu-

jąc rękoma — patrzcie na te wyspy Boromejskie, które należą do rodziny Borromeów od trzystu lat, patrzcie na te tarasy, o trzydzieści dwie stopy podnoszące się nad powierzchnię wody, a usypane ręką ludzką, zasadzone gajami laurów, magnolij i pomarańcz; patrzcie na ten pałac, zbudowany dwieście trzydzieści lat temu przez Conte Vitaliano Borromeo, który kazał przenieść do pałacowej kaplicy na wyspie trumny i nagrobki swych przodków z Medyolanu.

Byłby cytował dalej z pamięci całe stronnice Baedekera, urwał jednak, uważając, że go nikt nie słucha.

Francuz rzucił roztargnionem i obojętnem okiem na przedziwny krajobraz, odwrócił się plecami do jeziora i oparłszy się o marmurową balustradę, zapalił cygaro. Anglik odszedł o kilka kroków, usiadł napół zwrócony ku tarasie hotelowej, bez poruszenia na chłodnej twarzy, spoglądał na jezioro i zdawało się, jakby odbłysek srebrnych światel odbijał się w jego spokojnych, rozumnych oczach.

Prusak nie dał za wygraną.

— I cóż, nie nastraja panów tkliwo, podniosłe, poetycznie ta noc, ta woda, te kwiaty?

Francuz stłumił ziewnięcie.

— Poszedłbym teraz na bilard! Ale cóż! Niema tu nigdzie porządnej kawiarni.

— Jest bilard w hotelu — odezwał się Anglik.

— Naprawdę? Nie wiedziałem. Dziękuję za informację. Nie chciałbyś pan partyjkę zrobić?

Anglik głową poruszył.

— Zaraz po obiedzie, niezdrowo — rzekł poważnie. — Po czarnej kawie najlepiej posiedzieć spokojnie z pół godziny przy cygarze, zwłaszcza na tem doskonałem powietrzu.

Francuz wydał nieznacznie usta.

— A tak, tak, i przy tym prześlicznym krajobrazie. Oczywiście. Ale *que voulez-vous?* My Paryżanie wolimy nad wszystkie jeziora i magnolie kieliszek absyntu w kawiarni — to nam przypomina paryskie bulwary.

— Ależ to bluźnierstwo! — zawołał z patosem Niemiec. — U nas w Berlinie myślą idealniej.

— Jakbyście panowie sami nie siedzieli całymi letnimi wieczorami w piwiarniach, zamiast zachwycać się waszymi brzegami Renu, a choćby i jeziorami koło Poczdamu — przyciął Francuz.

Anglik głową skinął.

— Wszystko ma swoją rację, co jest rozsądne i do usposobienia człowieka zastosowane — rzekł. — Jednemu przypada do smaku jedno, drugiego coś innego pociąga. Spierać się niema o co. Temu samemu człowiekowi dziś będzie przemawiał do duszy piękny widok, jutro zainteresuje go bardziej dzieło sztuki, a na trzeci dzień nie będzie go cieszyć ani piękna natura, ani najciekawsze muzeum, tylko dziennik świeży i butelka madery. Cóż naturalniejszego i dlaczego nie przyznać się do tego? Tylko nienaturalność i pozowanie są złem i śmiesznością, jak każda obłuda.

Sentymentalny berlińczyk zmienił temat rozmowy.

— Nie zmęczeni panowie po naszej dzisiejszej wycieczce do Strezy? Bo ja nie mogę się nacieszyć naszym spotkaniem: wszak to i myśli wymienić miło, a samemu robić wycieczki nieznośnie. Ale nade wszystko dzięki panom mogłem zwiedzić obie te przecudne, wspaniałe wille, Pallavicini i *Villa Ducale*, z ich przepysznyymi klombami i widokami. Coby powiedziano o mnie w Berlinie, gdybym będąc w Strezie, nie dostał się do willi księżnej Genueńskiej! I pomyśleć sobie, gdyby nie ten traf szczęśliwy... Co to jednak za niedelikatność, żeby turystom wstępu wzbraniać. Muszę o tem napisać do Baedekera.

— Pisujesz pando Baedekera?— spytał Francuz.

— Mam ten zaszczyt — odpowiedział pośpiesznie, rzucając w górę głowę. — Ale to mi przypomina, że się jeszcze nie przedstawiłem: Doktor Armin Swincke z Koepenick pod Berlinem, rektor szkoły wyższej gospodarczej i przemysłowej przygotowawczej... Ale to stoi na bilecie — po francusku trudno tak dokładnie — krótko więc: Dyrektor zakładu, doktor filozofii, porucznik 47 pułku infanteryi księcia Karola Fryderyka w rezerwie, autor historyi miasta Koepenick w ośmiu grubych tomach i siedmnastu innych dzieł oryginalnych, z których dwa w czterech tomach, a trzy w sześciu, dalej czterdziestu trzech broszur i ulotnych pism; poeta laureat Towarzystwa Harfa Eolska

z Grossreinickendorf; tłumacz kilkudziesięciu większych i mniejszych arcydzieł obcej literatury; prezes Towarzystwa historycznego w Glienicke, Towarzystwa miłośników poezji w Charlottenburgu, Towarzystwa ochrony zwierząt, śpiewackiego Towarzystwa Walhalla, wice-prezes...

— Maryusz Thévesnil — przerwał Francuz, podając mu kartę i kłaniając się uprzejmie.

Anglik nic nie przemówił i z miejsca się nie ruszył, tylko wyjął powoli wizytowy bilet z pugilaresu i z lekkim poruszeniem głowy podał go swemu sąsiadowi.

Na bilecie stało:

— L. A. W. Neaghton. — Neaghton - Hall, Sussex.

— Bardzo mi miło, bardzo miło! — wołał Armin Swincke, przypatrując się wciąż literom, jakby w nich czegoś szukał i nie mogąc ukryć zawodu.

Naprawdę, gdy na jedno słówko flegmatycznego Anglika i na widok jego karty otwarły się, jak za magicznem dotknięciem wrota willi księżnej Genueńskiej, zdawało mu się, że ma do czynienia z jakimś lordem, a w towarzyszcu jego przypuszczał markiza lub co najmniej wice-hrabiego. Zaś Armin Swincke miał słabość do tytułów i arystokracji.

Pocieszył się jednak zaraz.

— Muszą mieć pieniądze, to pewne.

Zaproponował więc, nie czekając, aby nazajutrz jechać razem. Ci panowie dążyli przecie do Domo d'Ossola, a stamtąd przez Simplon do Szwajcaryi,

prawda? *Merkwürdig!* Tak samo, jak on. On już wprawdzie był w Szwajcaryi wiele razy, kilka lat temu przejeżdżał nawet Simplon, ale teraz znów chce jechać tą przedziwną drogą, która jest *was Colossales!* Anglik wyciągnął obojętnie notatnik, wyjął z kieszeni kolejowy »Orario« i przez minutę przewracał kartki jednego i drugiego! Potem, nie zamykając ich, rzekł powoli:

— Jutro po lunch'u jadę do Domo na noc. Pojutrze rano końmi do Simplonu. Z Hospice du Simplon (Neaghton wymawiał »öspais«) idę pieszo dla ruchu do Brig — stamtąd na drugi dzień robię wycieczkę na Belalp i Sparrhorn.

Thévesnil zdawał się wahać przez chwilę.

— *Ma foi* — rzekł wreszcie, ruszając ramionami — tem lepiej może. Chciałem stąd przejechać się tu i owdzie przez kilka dni, możebym wpadł do Medyolanu, ale co tam! Prędzej stanę w Paryżu! Zgoda na jutro.

— Brawo, brawo, jedziemy jutro! — Tak, odrazu decyzya, po wojskowemu. Tak u nas w Berlinie bywa.

Temi słowami doktor Armin Swincke zakończył wieczorną rozmowę na tarasie Grand Hôtel Pallanza nad Lago Maggiore.

V.

Ciotka Purga siedziała przy otwartem oknie, przędąc jak zwykle jedwab — i wśród otaczających azalii i gwoździków twarz jej pomarszczona,

jak zwiedłe jabłko, w obramowaniu koronek czarnego czepca, przypominała portrety staruszka Halsa. Wieczór się zbliżał.

W farze zaczęto dzwonić na »Ave Maria« — grubemu dzwonowi wtórowała srebrna sygnaturka kościoła przy kolegium — za nimi odzywały się z kolei dzwony i dzwonki wszystkich klasztorów i kaplic, zarówno w Brig, jak całej dolinie.

Mężczyźni, idący ulicą, zatrzymywali się, przyjętym w katolickich Alpach zwyczajem — zdejmowali kapelusze i przeżegnawszy się pobożnie, szeptali pacierz. Niewiasty pochylały głowę i podnosiły do ust różańce, wiszące u pasa. Dzieci nawet ustawały w zabawie i krzyku i składały ręce.

Ciotka Purga przerwała robotę i wzięwszy do ręki różaniec, modliła się. Przerwał jej głos jakiś, wołający ją z ulicy pocichu.

Wychyliła się. W cieniu za węglem stał Pierluigi, dając jej znaki, aby mu prędzej drzwi otworzyła.

— Myślałam, żeś koło jezior — rzekła ze zdziwieniem, puszczając go do izby. — Cóż się stało, żeś wrócił?

Chłopak, nic nie odpowiadając, przymknął okno, a potem z widocznym znużeniem opuścił się na zydelek.

— Stało się... Dajcie odetchnąć, ciotko Purgo, bom biegł, jak opętany, czasu dyabło mało... Stało się, że mam może w ręku sposób wyjścia z naszego fatalnego położenia, ale na nieszczęście...

— Cóż? — pytała go ciotka Purga zaciękwiona.

— Sposób bardzo niepewny, straszliwie ryzykowny i co najgorsze, wygląda na zdradę.

— Cóż to takiego? Gadajże przecie i nie męcz mnie daremnie.

Chłopak odetchnął głębiej.

— Rzecz się tak ma — trzeba zacząć od początku. Jestem ja dziś rano z końmi i powozem w Domo. Wiecie, że wczoraj odwoziłem tam Anglików, ale dopiero od Berisal, bo ten kawałek drogi do połowy góry poszli piechotą. Miałem jeszcze tę pociechę, że spotkałem Gretli, której nie widziałem tyle czasu. Mogłem choć napatrzeć się na nią i przez chwilę pogawędzić z kochaną.

— Dalej, dalej, co tam Gretli — przerwała stara — do rzeczy.

— Ależ bo to o Gretli chodzi. Mniejsza z tem jednak. Otóż jestem zrana w Domo z końmi na placu koło poczty i rozglądam się, rozpytuję, czy kto nie potrzebuje mego powozu do Brig. Aż tu patrzę — mój przyjaciel Ruprecht, wie może ciotka? On mnie tu nieraz odwiedza — starszy syn właściciela »Albergo Nazionale«. Biegnie przez plac wprost do mnie. »Pierluigi! — woła — wiesz już kogo?« »Nie — odpowiadam — chciałem w tej chwili u was zapytać, czy kto z gości nie zgłosi się«. »Właśnie, właśnie, mam coś dla ciebie — mówi — i to aż trzech, i dobrych, jeden Anglik, drugi Francuz, ale bogaty, trzeci, no, hołota z Ber-

lina, ale...« »I uważa ciotka, to *ale* tak ciągnie, z takim naciskiem i tak przytem palec podnosi w górę. »Cóż to za *ale*? — pytam. — Gadaj wyraźnie!« On mi na to: »Kiedy bo to rzecz ważna i sekret«. Bierze mnie tedy na stronę i opowiada...

— Opowiada, i cóż z tem opowiadaniem, nie marudź tak! — narzekąca ciotka Purga.

— Opowiada mi, że ci panowie przyjechali razem koleją z Gravellony i zakwaterowali się u jego ojca. Podczas kolacyi Niemiec się rozgadał, że pośle sprostowanie i zmiany jakies do Baedeckera, do którego pisuje i namawiał Francuza, aby zrobił to samo. Ten z początku ruszał ramionami, potem kiwnął głową, śmiejąc się. Podczas tej rozmowy nie było nikogo w sali, ale obok siedziała siostra Ruprechta i ta zaraz przybiegła z wiadomością do niego. Więc wzięli się na pazury, dali gościom najlepsze wino, matka zmniejszyła rachunek i kazała coprędzej, po cichu, przynieść do ich pokojów dywany, zwierciadła i fotele, jakie tylko były w domu! A Ruprecht miał już oko. I rzeczywiście udało mu się rękę położyć na Baedeckerze Niemca. Patrzy, a on cały poczerwiony notatkami, gwiazdki dodane, skreślone, ceny podpisywane, zmienione. Widzi, że Prusak nie blagował. Do Francuza, do tego nie łatwy dostęp. Książka w kieszeni, ani ją wyjmuje. Ale od czegoż siostra. Ta jak zaczęła zagadywać, na słówka wyciągać, uśmiechać się — Francuz zapomniał o książce i o notesiku i Ruprecht mógł im się przyjrzeć. W Baedeckerze nic — cały biały,

ale za to w notesie krótkie uwagi, widocznie dla francuskiego wydania, bo o podróży tylko jakieś takie górne, mądre, że Ruprecht, choć to i do kolegium kilka lat chodził, nic nie rozumiał. Tyle tylko, że o podróży była mowa, a o toż mu tylko chodziło. Więc naprzód potwierdził słowa siostry wobec rodziców, a potem zaraz poczciwy polecił szukać mnie, że nocowałem z końmi w Domo.

— Ale cóż to wszystko ma za związek z waszą sprawą? — przerwała ciotka, widocznie znużona i zawiedziona. — Nic ciebie nie rozumiem.

— Jakto, co za związek? Ogromny! Naprzód, uważa ciotka, ten poczciwy Ruprecht chciał mnie znaleźć, aby mnie naraić tym panom zamiast pocztowego omnibusu i w ten sposób nie tylko dać mi zysk, ale zapewnić zatrzymanie się ich w naszym hotelu w Brig, a nie w innym.

— Oczywiście — mruknęła stara — przecież nie mogło się to zdarzyć, aby ktoś inny z uczciwych chrześcijan miał kilka soldów zarobku i kilka słów pochwały w książkach, skoro jest tu signor Catinelli.

Pierluigi puścił przymówkę mimo uszu.

— Mnie jednak nie o to chodziło — rzekł. — Jak tylko mi przyjaciel opowiedział o tej sprawie, przyszło mi na myśl, że od podobnej historii zaczęła się nasza bieda, pamięta ciotka, kiedy to do mego ojca ten Niemiec zajechał, co do Baedekera pisywał i z tej gwiazdki nieszczęsnej wszystko dalsze poszło. I proszę sobie wystawić — kiedy

tych panów zobaczyłem, poznaję między nimi tego zacnego Niemca. Więc mnie zaraz jakby coś tknęło. Od jego przyjazdu przyszła bieda: nie może być inaczej, tylko teraz z jego powrotem musi nastąpić naprawa.

— Ale jak? jak? — niecierpliwiła się stara.

Chłopiec pomilczał chwilę, nie podnosząc oczu z ziemi. Wreszcie zaczął powoli:

— Otóż o to i chodzi — jak? Myśl w głowie ja mam, ale ledwie śmiałybym ją wyrazić, a dopiero wykonać... Dlatego też ja tu i przybiegłem. W Berisal zostawiłem konie i powóz i poleciłem chłopcu z oberży, żeby tam z nimi czekał na tych panów, którzy tymczasem dziś i jutro rano wybieczki stamtąd robią. Sam konia wziąłem i wpadłem tu do was po radę.

— Ale jakąż ja mogę dać ci radę i w czym? — spytała ciotka, nie rozumiejąc.

— Oto w czym. Ojcom naszym poszło o tę gwiazdkę nieszczęsną. Niechby teraz tak zrobić, żeby gwiazdka znów przeniosła się do oberży Stuerlego — skwitowaliby się starzy. Mój spuściłby z tonu, Stuerlemu złościłyby przeszła i można byłoby zacząć znów mówić o starych planach.

— Jak, jak to powiadasz? — spytała z nagłym zainteresowaniem stara. — Tak zrobić, żeby »Post« dostała gwiazdkę? Zapewne, zapewne... Więc to niby przez tych panów, przez Niemca i Francuza? Hm, hm... Dobra myśl, niema co mówić, dobra.

— Więc i ciotka mi to doradza?

Stara strzepnęła rękoma.

— Doradzać? Ja? Daj mi pokój! Kłąć zdrową głowę pod ewangelię nie głupiam! Posłuchać? Co innego. Ciekawa rzecz, ciekawa. Tuby twój ojciec miał za swoje, no!

Chłopak zniecierpliwiał się.

— Ależ nie o to idzie, aby mój ojciec miał za swoje, tylko, aby i nam, i jemu było lepiej, gdy ten jego upór przeklęty przewycięży się. Ja u niego jedynak, Gretli sama jedna u Stuerlego, więc kiedyś-by wszystko stało się wspólne. Inaczejbym przecie tego nie robił, na ojca sznura-by nie wiązał.

Ciotka Purga głową kiwnęła.

— Zapewne, zapewne... Synowi trudno. Ale cóż ja ci na to powiem? Ryzyko wielkie. Gdyby udało się i gdyby się nie wydało, mogłaby być korzyść, ale pomyśl: a nuż stary twój dojdzie prawdy?

Pierluigi spuścił głowę i zamyślił się ponuro.

— Nie wracać mi już do domu chyba — mruknął.

— A widzisz. Bo choćby staremu Sebastianowi dogodziło się, gołemu on przecie córki nie da, a ciebie ojciec gotów wydziedziczyć, gdyby się dowiedział. Co wtedy?

Chłopak machnął ręką rozpaczliwie.

— Do Argentyny pójdę. Co mi tam! Bez dziewczyny waszej i takbym żyć nie mógł.

— Et, głupstwa gadasz. Poco ci Argentyna? Nie możnaż to pocichu zrobić, tak, aby ani kozie, ani kapuście nie przynieść uszczerbku?

— Ależ jak, jak?

— Ot, widzisz. Niech to zrobi się niby przypadkiem, tak, żebyś ty w to nie był wmieszany.

— Ba, kiedyż bo właśnie w tem sęk. Jakże to zrobić? W naszym Brig zmylić oberżę — i kto? Furman i syn właściciela? Nie sposób. Myślałem, żeby furmana spoić i samemu udać pijanego, ale cóż? Gebhard ma głowę, jak mur — kiedy »Heuriges«¹⁾ sprzątają, on jeden ani się zachwieje — choć wszyscy leżą. Więc cóż?

Ciotka zamyśliła się, podsunąwszy na czoło okulary.

— Słuchaj, ja mam myśl — rzekła. — Kiedy przyjeżdżają tu ci »forestierowie«, jak ich wy Welschowie nazywacie?

— Jutro po południu.

— Wracajże do nich, a wyjeżdżając, pchnij do mnie chłopaka konno, aby uprzedzić, że ruszacie, bo to z tymi Anglikami nikt nie wie, kiedy im się zechce ruszyć albo zostać.

— Oj, to, to prawda! — wtrącił Pierluigi.

— A widzisz. Więc chłopak da mi znać, ja zabiorę Gretli i wyjdziemy naprzeciw. Gretli weźmie szarotek, poziomek, różyczek z alm w koszyk — i będziemy na was czekały koło kapliczki na zakręcie. Twoją rzeczą coś zrobić powozowi, żeby

¹⁾ Nowe wino, którego zbiór bywa w Alpach okazją do uczt, a nieraz (w niemieckich kantonach i prowincjach) do pijatyki.

ci panowie musieli wysiąść. My zaś ich zaprowadzimy — ale na »Pocztę«.

— Świetna myśl! — zawołał chłopak, klasnąwszy w ręce. — Ozłocić trzeba ciotkę za nią.

— A ot, masz dowód, że stara ciotka Purga na coś się przyda. Zróbże tylko, jak mówię, a będzie wszystko dobrze i ty wyjdiesz cało.

— Tak, ale... — zaczął Pierluigi i urwał.

— Co takiego?

— Ale, co za rolę w tem będzie grała Gretli?

— Mojej siostrzenicy! — zaśmiała się ciotka Purga. — Cóż ty myślisz, mazgaju, że ona sobie z kilku głupimi turystami rady nie da, albo, że jej przy mnie włos spadnie z głowy?

— Nie, nie — upewniał młody Catinelli i pochylił się do jej ręki.

VI.

Trzej turyści, przed kilku dniami jeszcze wybierający się na Simplon w tak wesołych usposobieniach, byli dziś zli, co się zowie.

Do Berisal powodziło się im świetnie. Pan Armin Swincke włączył się od rana do wieczora, opatrując każdy kamyk przy drodze, oskubując wszystkie almy z kwiatów, notując, pocąc się i sapiąc, żeby użyć za swoje pieniądze i przyprowadzając do rozpacz i wściekłości przewodników i spotykanych w drodze tuziemców swemi pytaniami, towarzyszków podróży — pouczeniami i opowiadaniem. Mr. Neaghton wdrapał się sumiennie

i flegmatycznie, z poczucia obowiązku, na tuzin szczytów, na których zazwyczaj dotychczas spacerowały tylko dzikie kozy. Francuz otrzymał w Domo d'Ossola olbrzymi pakiet gazet, które teraz pożerał przez drogę, zasłaniając się nimi od nudnych gór, łąk, lodowców i wodospadów i przenosząc myśl stęsknioną ku miłej atmosferze paryskich kawiarni i bulwarów.

Naraz zdarzyło się, o czym za ludzkiej pamięci nikt ze strony ekwipażu i służby hotelu Londyńskiego nie słyszał. Ekwipaż zawadził o kamień, koło się złamało — i trzeba było zostawić rzeczy na łasce jakiegoś przechodnia, podczas gdy woznica popędził do Brig, szukając pomocy.

Turyści poszli naprzód. Berlińczyk wielkim głosem wzywał sprawiedliwości, pomsty i pikielhauby na ucywilizowanie szwajcarskiego barbarzyństwa; Francuz klął kiedy niekiedy, Anglik nie mówił nic, tylko olbrzymiemi swemi nogami, przypominającemi strusia, robił kroki większe jeszcze, niż zwykle, co u niego było oznaką złego humoru.

Jego pierwszego ujrzała Gretli, siedząca od dwóch godzin przy gościńcu z ciotką Purgą.

— Kwiatki, poziomki, milordzie — rzekła półgłosem, podsuwając mu swój kosz o dwóch przedziałach.

Mr. Neighton wstrząsnął lekko ręką, na znak, że mu w tej chwili ani kwiaty, ani jagody nie były w głowie. Przytem jednak rzucił na dziewczynę spojrzenie obojętne i przelotne. Śliczna, świeża

twarzyczka z ognistemi oczyma i nieśmiałym a pełnym wdzięku uśmiechem zastanowiła go.

— Skąd jesteś, moje dziecko? — spytał.

— Z Brig, milordzie. Pan tam pewnie zdąży?

— Tak. Daleko?

— Niespełna trzy kilometry. Ot, widzi pan, tym gościńcem, wijącym się w dół prosto aż do samej bramy zamkowej. Niepodobna nie trafić.

W tej chwili nadchodzili dwaj towarzysze Neaghtona. Jeden śpiewał fałszywie kuplet jakiejś szansonetki, wprowadzony w modę tego sezonu przez Yvettę Gilbert, drugi straszliwym swym akcentem z nad Sprei próbował go zabawiać, opowiadając, jak to się dzieje *chez nous à Berlin*. Obaj, zobaczywszy Anglika przy Gretli, spojrzeli na siebie ze znakami porozumienia.

— Brawo, brawo, winszujemy zabawy — zawołał, śmiejąc się, pan Armin.

— Oto, co pana tak pędziło naprzód — rzekł Maryusz. — I ktoby myślał: taki zdawało się sensat, a gust ma dobry.

Gretli zaczerwieniła się, jak poziomka, i cofnęła się w tył ku ciotce.

— Chodźmy już, ciotko! — szepnęła.

— A poziomki? — zawołał Francuz, chwytając za koszyk. — A kwiaty? Hola, panienko, targ nie zrobiony jeszcze.

— Obejdzie się — odparła dziewczyna z urazą. — Targ nie dla takich, jak pan.

— Ale dla jakichże? Jak milord?

— Dla wszystkich, którzy są przyzwoici i dobrze wychowani — odcięła, odwracając się i zaczynając schodzić.

— A to dopiero panu przysoliła! — zawołał Swincke z grubym uśmiechem. — Ale to nic — z ładnych ustek nie wstyd. A mnie co się dostanie, panienko śliczna? Kwiaty, czy całus?

— Figa! — odparła. — A w domu, jak żona się dowie, jaki ze starego dziada głupiec, pantoflem po fizygnomii.

Kolej śmiechu była teraz na pana Thévesnil, a dopomógł mu nawet poważny pan Neaghton.

— Komedia skończona — rzekł. — Zapusćmy kurtynę i nie gniewajmy się nawzajem. Ty zaś, moja panienko, racz mi oddać koszyczek, a oto zapłata.

I kilka złotych monet rzucił jej w fartuszek.

— Dziękuję stokrotnie, milordzie! — odparła dziewczyna — to za dużo. Kwiaty i szarotki ogółem warte pięć do sześciu franków. Jeżeli pan koniecznie chcesz, abym zrobiła świetny interes, biorę dziesięć — reszta zbyteczna.

I pozostałe dziesięcio- i dwudziesto-frankówki oddała Anglikowi.

— Nie bądź-że nierozsądna — upominał ją Swincke. — Bierz, kiedy ci dają. Ten pan bogaty. Wstążek kupisz za to.

— Może to w Niemczech we zwyczaju brać jałmużnę od obcych ludzi. Mnie uczono inaczej.

— A co? I panu się dostało! — zwrócił się

do Anglika Swincke, obracając w żart przy-
mówkę.

Anglik ruszył ramionami, chowając złoto do
portmonetki.

— Bardzo słusznie robi — odparł spokojnie —
ale i ja nie zbłądziłem. Mnie wolno dać — jej
wolno nie wziąć. A w każdym razie dla wszyst-
kich nas nauka, że można być prawdziwą lady,
nosząc aksamitny gorsecik i góralską spódniczkę.

Dziewczyna zaczerwieniła się, ale zarazem
uśmiechnęła, rzucając na Anglika spojrzenie wcale
nie wrogie.

— Ona jest istotnie *ladylike* — szepnął pan
Neaghton do Francuza.

— Ładna bestyjka — odparł lekko Thévesnil. —
Istny ogień w niej. I te zębki, jak u młodego
wilczka. Znałem jedną w Chateau des-fleurs, na-
zywała się Herminia...

— Także imię dla śpiewaczki ogródkowej! —
zaśmiał się Swincke.

Ciotka Purga uznała teraz za właściwe wmie-
szać się, przerywając rozmowę nieco drażliwą.

— Panowie nocują w Brig?

— Oczywiście. Mamy zamówione pokoje.

— A znacie panowie miasto? Traficie do hotelu?

— No, ja tu przecie byłem — odpowiedział
z naciskiem i zadowoleniem pan Armin. — Ja tu
wszędzie, jak w domu. I tam zaprowadzę panów
tych, gdzie im dobrze będzie.

— Pewnie, pewnie — rzekła stara. — Tylko,

że to już wieczór się zbliża, nim dojdziecie, będzie noc, przechodniów nie łatwo dopytacie się, bo naszego *patois i schwyzertütsch* nie każdy rozumie, więc może...

Urwała i spojrzała, jakby radząc się, na siostrzenicę.

— Jak myślisz, Gretli, możebyśmy wskazały hotel tym panom? I tak pójdziemy razem i to nie tylko do miasteczka, ale do hotelu.

— Świetnie! — zawołał Francuz. — Jaka szansa dla nas mieć...

— Tylko bez tego! — przerwała ciotka. — To u nas nie we zwyczaju. Zgodnie, spokojnie, zdaleka... Rozmawiać można, ale bez głupstw.

— I ja tak myślę — dodał pan Neaghton, patrząc na towarzyszków swoim chłodnym, stalowym wzrokiem, w którym malowało się wyraźnie:

— Ja tak chcę, żądam tego i tak być musi.

Francuz ruszył ramionami i cofnął się o krok w tył, zasępiony.

Znaczyło to:

— A, jeśli tak...

Zarazem jednak i coś drugiego jeszcze:

— Niechże was wszystkich!

Pan Armin Swincke nie dał się zbić z tropu i szedł wciąż przy Gretli, sypiąc jej komplementa, pokrewne objętością i wagą działom jego ziomka Kruppa. Kiedy niekiedy jednak oglądał się na Anglika, czy go słyszy i uważa.

Ciotka Purga trzymała berło rozmowy. Jako

... ..

URZĘDNIK TOWARZYSTWA KRAKOWIE

SEKOYA IV.

osoba bywała i wygadana, opowiadała, jak *cicerone* i jak pisemko brukowe. Przesuwały się przez jej usta legendy fantastyczne i dziejowe obrazy, plotki małego miasteczka i historye o włoskich zbójcach.

Prusak słuchał uważnie, przerywając co chwila zapytaniami, Francuz trzymał się z tyłu, poświstując, w złym humorze, Anglik szedł w milczeniu, rzucając kiedy niekiedy wzrokiem na Gretli.

Ciemno już było, gdy minęli bramę miasteczka. Wielka masa murów zamkowych rzucała cień olbrzymi na dolinę. W wąskiej uliczce kręciło się, jak zwykle o tej godzinie, mnóstwo ludzi, rozmawiających wesoło po całodziennej robocie. Powietrze wieczoru pełne było śmiechów, krzyków, zapachu przypalonej oliwy, dzwonek kóz, wracających z łąki, urywków rozmów francuskich, niemieckich, włoskich, *schwyzertütsch, romansch i patois*. Kobiety w czarnych sukniach i koronkowych chustach na głowie, tu i owdzie z włoskim sztyletem srebrnym, przebijającym warkocz, stały we drzwiach otwartych, albo siedziały na niskich słomianych stołkach przed progami domów.

Tu i owdzie chłopcy, z kurtkami, narzuconemi na ramiona i z osadzonymi na tył głowy śpiczastymi kapeluszami, trzymając się za ręce szli we trzech lub we czterech przez całą szerokość ulicy i śpiewali na głosy pieśni ludowe lub kawałki oper.

Czasami dziewczyna, stojąca na balkonie lub wychylona z okna, podchwytowała pieśń albo gdy

przychodziła kolej na Gilde lub Rozyne, zaczynała z pamięci śpiewać jej rolę. Chłopcy stawali u okna, nucąc zcicha wtór orkiestrowy, potem zaczynały się duety i tria, a gdy przyszła chwila na *tutti*, ulica cała łączyła się w śpiewie, nie gorszym może, niż na deskach opery prowincjonalnej.

— Co za życie w tym narodzie! — szepnął do siebie Mr. Neaghton, przeciskając się z trudem przez tłum, ponad którym jego ruda broda, wyglądająca z pod szarego kapelusza, górowała i świeciła towarzyszom, jak pochodnia.

— I jak śmierdzi czosnek z oliwą! — dodał Francuz.

Swincke mały i pękaty został w tyle, oddzieleny od kobiet i od turystów falą ludzi, przez którą daremnie próbował się precisnąć, krzychał, pchał się, rzucał, rozglądając się przytem niespokojnie.

— Ależ to nie tędy do Hôtel de Londres! — wołał. — Panowie, panowie czekajcie! Mr. Neaghton i Monsieur Thévesnil! Żle nas prowadzą, błądzimy!

Czwórka jego towarzyszków nie słyszała wołania, czy może nie zważała na nie. Owszem, ciotka Purga przyśpieszyła kroku, zagadując po kolei Anglika i Francuza, jakby chciała odwrócić ich uwagę.

Wiedzieli już obaj, że prowadzi ich do gospody, której właścicielem jest ojciec Gretli.

Pan Armin precisnął się do nich wreszcie,

zlany potem i czerwony, jak szynka westfalska, i zaczął szarpać ich rozpaczliwie za poły od surdutów, wołając, że źle idą i że do Hôtel de Londres dawno trzeba było zboczyć na prawo.

— *Que diable!* — zawołał pan Maryusz, wyrywając mu surdut niecierpliwie. — *A bas les pattes, saligot!*

Ostatnie słowa, co prawda, wymówił przez grzeczność ciszej.

— Ależ my nie idziemy wcale do naszego hotelu!

— Więc cóż z tego?

Pan Armin Swincke osłupiał.

— Jakto... co z tego? — wybełkotał w najwyższym zdumieniu.

— Oczywiście. Tu czy tam, wszędzie będzie łóżko i kolacya. A gdzieindziej gospodarz nie ma takiej córki.

— To ta dziewczyna jest córką oberżysty?

— A jest. Teraz może już uznajesz pan, że nie zmyliliśmy drogi?

— Ale gdzież tam! Właśnie w tem dowód, żeśmy zmylili. Gospodarz Hôtel de Londres nie ma córki tylko jedynaka syna, który nas wiozł.

— Dlatego samego, że ma takiego gamonia, co na gładkiej drodze łamie powozy, warto u innego stanąć.

— A rzeczy nasze? A zamówione pokoje? A wieczerza?

— Pokoje będą na nas i tutaj czekały, wie-

czerzę zrobi nam ta śliczna Mädl, która nazywa się Gretli, uważasz pan? Jak to brzmi: Gretli! Jak muzyka! A co do rzeczy, nie skonfiskują ich nam przecie! Odeślą tam, gdzie będziemy.

— Ale akuratność, sumiennosc z naszej strony! Co pomyślą o nas?

— *Je m'en fiche pas mal* z tego, co o mnie oberżysta z Brig pomyśli!

Pan Armin był mocno zaniepokojony zachowaniem się Thévesnila i obrotem, jaki przybierały sprawy. Spróbował apelować do Neaghtona, który w ich spółce podróźnej reprezentował najwyższą instancję za milczącą ugodą. Biegł koło niego, zadychując się i próbując daremnie dotrzymać w biegu olbrzymim krokom, stawianym przez Anglika. Ten ostatni pozostał obojętnym zupełnie na jego przedstawienia.

— O co panu chodzi? — rzekł mu, odwracając rudą brodę do goniącego za sobą Niemca. — Możesz pan iść do Hôtel de Londres! Cóż za konieczność dla nas zatrzymywać się w tej samej oberży? Zrobisz nam nawet przysługę, odsyłając nam rzeczy, jak tylko nadejdą.

— *C'est ça, c'est parfait!* — potwierdził Francuz, nie umiejący ukryć radości wobec perspektywy pozbycia się pana Armina Swincke, choćby tylko na kilkanaście godzin.

Ale pan dyrektor wyższej szkoły *der Hausverwaltung* i tak dalej w Köpenick pod Berlinem był mężem niepożytej wytrwałości i granitowej woli;

a solidarność pojmował inaczej od synów przewrotnego Albionu i zepsutej Babilonii nad Sekwaną. Raz z nim związawszy się, odczepić się było trudno, żeby nie powiedzieć: niemożliwe. Narzekał więc na losy, zmuszające go kroczyć śladem lekomyślnych po krętych ścieżkach nieprawości, stawał na noc i na dzień jutrzejszy najstraszliwsze horoskopy, przepowiadał nawet, że piwa na wieczór nie będzie, ale szedł.

Pan Sebastian Stuerli musiał się czegoś domyślać, bo spotkał gości na werendzie, prowadzącej do jadalni, i powitał ich z uprzejmością wielką. W trzech najlepszych pokojach czekała już gorąca woda i pachnące ziołowym mydłem alpejskim ręczniki, w jadalni na osobnym stoliku przygotowane było nakrycie na trzy osoby, a w środku stał świeży bukiet kwiatów górskich.

Kolacya była doskonała. Pani Rieka przykładała do niej sama rękę, a jej omlety miały słuszną sławę od Brig do Domo d'Ossola. Złote, słodkawe wino krajowe iskrzyło się w kieliszkach, jak brylanty i perły. Nawet pan Armin Swincke rozchmurzył zasępione czoło. Przy piątym kieliszku rozwiązał krawat i rozwalając się w krześle, zawołał z przejęciem:

— *Nein, s'ist janz jöttlich hier!*

Francuz był także w dobrym humorze.

— Wie pan, że to świetny typ ta stara Szwajcarka — mówił do Neaghtona — A jak ona opowiada! *Ça a du cachet*, jakiś pierwotny, świeży

urok tkwi w tych historyach. Żeby to żywcem chwycić, ogłosić w »Figarze« lub jakiej lżejszej »Revue«, miałyby powodzenie ogromne.

— Zrób pan to — rzekł Anglik.

— Pan pisujesz? — spytał Swincke ze zdumieniem.

Francuz skinął od niechcenia głową.

— Czasami, *pour passer le temps*.

— A, tak! Ja też myślałem, że pan chyba nie może być literatem z profesyi, jak ja.

Anglik uśmiechnął się.

— Dlaczego pan tak myślałeś? — spytał.

Bo, bo... przecie literat musi być... No, panowie powinniście zrozumieć sami... Są pewne wymagania... warunki...

— Którym nasz przyjaciel Thévesnil nie odpowiada?

— Nie to, ale... co innego pisać tak, przy okazji... Korespondencya, artykułik, co innego zawodowo, pracować w literaturze, dzieła wydawać...

— Skądże pan wiesz? — zaczął Mr. Neaghton, ale urwał, widząc, że mu Thévesnil daje znaki.

— *Notre cher ami Swincke* ma może słuszność — rzekł ten ostatni, wymawiając nazwisko »kochanego przyjaciela«, jakby się we własnym jego języku pisało Sfingue. — Liczy się on przede wszystkim z charakterystycznymi cechami i temperamentem swoich rodaków. Usuwając jednak najzupełniej moją osobę z dyskusyi, zaznaczyć muszę, że u nas usposobienia są odrębne. Inaczej wygląda

całkiem książka nad Sekwaną, niż nad Spreą, inaczej i autor.

— Ależ przepraszam najmocniej! — zaprotestował gorąco Swincke. — Pan się najzupełniej myli, przypuszczając, że sędzę, jak ślepy o kolorach. Armin Swincke nie jest Bogu dzięki blagierem, a imię jego nietylko znane jest nad Spreą, ale i rodakom pańskim nie jest obce...

— Nie wątpię o tem wcale, — pośpieszył potwierdzić grzecznie Thévesnil.

— Nie dalej jak przed miesiącem, przed samym wyjazdem do Włoch, pomimo upałów i zajęć przy końcu roku szkolnego, wziąłem się do tłumaczenia pewnego francuskiego autora. O, bo my was, panowie Francuzi, lepiej znamy, studujemy bardziej, niż wy znacie samych siebie. Przyśwajamy sobie każdą myśl piękniejszą i wyższą, jaka u was się zjawi...

— Niewątpliwie bierzecie panowie upoważnienie od autorów?

Armin Swincke spojrział na Francuza zdziwiony.

— Nie; ale ja przynajmniej zawsze posyłam im w darze egzemplarz tłumaczenia i to oprawny w czerwoną okładkę ze złotymi brzegami, z własnoręcznym napisem na tytułowej karcie.

— I im to wystarcza?

— Jak któremu — odparł, ruszając ramionami. — Wie pan, te nieszczęśliwe nieporozumienia polityczne! Zawsze ta utrapiona Alzacya i Lotaryngia! Jeden mi odpisał z impertynencyą, za-

miast podziękować za trud i za chwałę, jaką mi zawdzięczał.

— Panu? Przepraszam, ale jabym myślał w mojej skromności, że przedewszystkiem sobie.

— A któżby u nas wiedział o nim, gdybym ja go nie tłómaczył?

— A, u was — zapewne.

— Ale ten, którego tłómaczę teraz, ten będzie inny. Żadnych uprzedzeń, żadnej nienawiści — a styl, a wdzięk, a poezya! Wart być Niemcem! U nas nawet, w naszej plejadzie literackiej tak świetnej, miałby poczesne miejsce.

— Któż jest tym szczęśliwcem? — spytał Thévesnil ciekawie.

— Autor ślicznej podróży do Maroko i drugiej do Japonii, kilku tomów poezyi i nowel -- ostatni tłómaczę: »Clartés et crépuscules« — przełożyłem »Lichter und Dämmerungen«. Nie znacie, panowie? Przeczytacie może tłómaczenie! Nazywa się Ramis, U. Ramis. Co to może być za imię, zaczynające się na U? Łamałem już nad tem głowę. Ubald? Ursus? Udalryk? Wszystko takie średniowieczne, dziwne — skąd on do takiego imienia przyszedł? Panowie nie znacie go?

Panowie, do których zwracał się Armin Swincke, spojrzeli na siebie, jakby porozumiewając się oczyma, potem ruszyli ramionami, nie odpowiadając.

— Szkoda — ciągnął dalej niez mordowany autor historyi miasta Köpenick w ośmiu grubych tomach. — Przepraszam za otwartość, ale u was

ignorancya nawet własnych waszych, francuskich rzeczy, straszna. Od nas dowiadywać się musicie o tem, co się dzieje we Francyi. Może nie tak?

— Oczywiście, że tak — potwierdził, kłaniając się z lekkim uśmiechem pan Thévesnil.

— Wracając jednak do tej starej Szwajcarki, o której pan mówiłeś... — zaczął Neaghton.

— Wygląda jak czarownica — podchwycił Francuz. — Włochy tu już czuć wszędzie w każdym profilu, w każdym domu, w śpiewie, w krzyku, nawet w zapachach kuchennych. A przytem — *chè vita, chè fuoco*, jak oni tam mówią! Miałbym ochotę sprowadzić jeszcze tę babulkę, żeby nam do poduszki opowiadała jaką straszną historję o walkach Walezańczyków z berneńskimi sąsiadami.

— Późno już — rzekł Neaghton, spoglądając na zegarek.

W teje chwili jednak, jakby przeczuła lub posłyszała, że o niej mowa, zjawiła się we drzwiach ciotka Purga.

— Panowie zostają przez jutro w Brig? — spytała z tą dobroduszną swobodą, której górale alpejscy nie umieją się pozbyć nawet wobec Anglików i Amerykanów.

— Zostajemy, zostajemy, oczywiście — odrzekł pan Swincke.

— Robicie panowie jaką wycieczkę?

— Oczywiście, oczywiście — potwierdził Niemiec, oglądając się jednak na Neaghtona.

— Ja jutro idę do Belalp i Sparhorn — rzekł ten ostatni tym samym flegmatycznym i stanowczym głosem, jakim wycieczkę tę zapowiadał przed tygodniem w Pallanza.

— Tak, tak, naturalnie. Idziemy na Belalp i Sparhorn — powtórzył pośpiesznie Swincke.

— A przewodnika nie będziecie panowie potrzebowali?

Anglik sięgnął do kieszeni, wyjął Baedeckera i zaczął przewracać karty, nic nie odpowiadając.

— Będę potrzebował przewodnika — rzekł po chwili, przeczytawszy o odległości i warunkach wycieczki.

— Będziemy potrzebowali przewodnika, oczywiście — powtórzył jak echo tłumacz nowel U. Ramisa.

— Jabym panom nastreczyła jednego, pewnego, doskonałego, ale...

Ciotka Purga urwała, wahając się, mierząc oczyma turystów, jak gdyby chciała w nich zapuścić sondę i zarazem oglądając się wkoło, czy ich kto nie podsłuchuje.

W swoim czarnym czepcu, otoczonym koronkami w kryzie nad wysokim stanikiem, z żółtą, zaschlą jak pergamin twarzą i oczyma świecącemi, jak węgle, siostra Rieki Stuerli wyglądała istotnie ciekawie. Artysta miałby z niej gotowy motyw do jakiegoś fantastycznego obrazu.

Frańcuz wpatrywał się w nią z widocznem zajęciem.

— Co za typ! — powtórzył przez zęby.

Stara zdawała sobie dobrze sprawę z tego, że ją słuchają uważnie i chętnie. Zdarzało się to zresztą nie pierwszy raz i dodawało jej pewności siebie.

Ileż razy za młodych lat dostawała srebrniaki za swoje opowiadania! I złoto próbowali jej dawać młodzi turyści — ale oczywiście nie udawało się im skłonić do przyjęcia uczciwą dziewczynę. I teraz jeszcze, pomagając siostrze w gospodarstwie podczas sezonu i napływu gości, spędzała z nimi nieraz na rozmowie i opowiadaniach słotne zwłaszcza wieczory.

Teraz jednak, mimo swej zwyczajnej śmiałości, ciotce Purdze robiło się mdło koło serca, jak to sama później przyznawała. Chodziło o rzecz pierwszorzędnego znaczenia, o szczęście jej ukochanej Gretli, może i o zapewnienie na starość własnego losu z pomocą wdzięcznych krewnych — a droga była tak niepewna, nawet niebezpieczna! Ostatecznie — ludzi tych ona nie знаła — czy mogła być ich pewną? Czy zechcą zrobić, o co ich będą prosili, czy nie zrozumieją fałszywie, nie posądzą o próbę wyzysku, o intrygę? Może wyśmieją, może nawet zdradzą?

Ciotce Purdze wszystkie te myśli i wątpliwości kręciły się w głowie i ścisnęły za gardło, nie dając głosu wydobyć. Ale że to była osoba rezolutna mimo wieku, zapanowała więc prędko nad swoją słabością.

— No, to musicie panowie wiedzieć, że chodzi o rzecz bardzo ważną, ale zarazem i ściśle poufną i niebezpieczną. Może od niej zależeć szczęście dwojga ludzi, spokój i zgoda dwu rodzin, ale zarazem może się to obrócić na złe, na nieszczęście, może na śmierć...

— Cóż to znowu za historia? — mruknął Thévesnil.

— Cóż to ma wspólnego z naszym przewodnikiem i z naszą jutrzejszą wycieczką? — zawołał Swincke.

— Zaraz. Opowiem wszystko. Bądźcie panowie cierpliwi, a zobaczycie, że możecie stać się dla nas poprostu narzędziami Opatrzności.

Francuz uśmiechnął się sceptycznie, ale słuchał uważnie. Anglik palił cygaro, patrząc przed siebie i nie dając odgadnąć, czy słucha i jakie to na nim czyni wrażenie. Pan Armin Swincke ruszał się niespokojnie na krześle.

— Byle to nie była apelacya do naszych kieszeni — mruknął półgłosem.

Ale Thévesnil dał mu niecierpliwie znak ręką, żeby nie przeszkadzał.

Ciotka Purga zaś opowiadała od początku historję dwu oberży i dwu serc, oraz wpływu na losy tych dwu serc — gwiazdki w Baedeckerze.

VII.

Trzej towarzysze podróży słuchali z coraz bardziej rosnącym zaciekawieniem.

Skoro tylko opowiadanie zaczęło przybierać wyraźniejsze kształty, Anglik spojrzął na Thévenila.

— Coś w sam raz dla pana — szepnął.

— *Tiens, tiens!* Prawda! — odparł zagadnięty, nie spuszczać oka z ciotki Purgi, żeby nie stracić wątku opowiadania, w niezupełnie dla obcych zrozumiałym dyalekcie.

— Ależ bo to ja w tem gram najwybitniejszą rolę — zawołał pan Armin Swincke, gdy opowiadanie doszło do korespondenta Baedeckera.

— *Deus ex machina*, przepraszam, *ex Köpenick!* — zaśmiał się Francuz.

— Nie — wtrącił Anglik — bo *Deus* wyskakuje *ex machina* dopiero przy rozwiązaniu, a nasz przyjaciel zawiązał tylko węzeł tragiczny. A kóż go rozwiąże?

Ciotka Purga, która na chwilę przerwała opowiadanie, ale przysłuchiwała się uważnie tej szermierce słów, wmieszała się teraz do rozmowy.

— Pozwólcie mi panowie skończyć opowiadanie — rzekła — a zaraz się dowiecie, kto może to nieszczęśliwe powikłanie rozciąć i skończyć, byle zechciał.

Ciągnęła więc dalej rzecz o kłótniach Stuerlego z Catinellim, o intrygach tego ostatniego, o opiece, jaką biedna, rozdzielona niemiłosiernie para znalazła u niej, ciotki Purgi; wreszcie — o projektach Pierluigiego.

— Od was zależy, zacni panowie, wrócić szczę-

ście tym biedakom i obu rodzinom zgodę — kończyła z przejęciem i zapałem. — Los mojej siostrzenicy w waszych rękach; wybaczcie intrygę, którą was tu ściągnęłam i otwartość, wywołaną waszą życzliwością, wybaczcie i pomóżcie nam, a Bóg wam zapłaci.

— Ale cóż my możemy zrobić? — zawołał Francuz zdumiony.

Ciotka Purga wytłómaczyła mu, o co jej i Pierluigiemu chodziło. Dodanie gwiazdki w Baedekerze — to rzecz mała, a dla nich będzie kotwicą ratunkową.

— Ale skądże my możemy to zrobić — odparł Thévesnil. — Przecie my nie jesteśmy korespondentami Baedekera: chyba ten jeden pan — dodał, wskazując na Prusaka.

Ciotka Purga zrozumiała, że jej się chcą wykręcić i z całą energią, leżącą w jej charakterze, powiedziała w duszy: »Nic z tego, mój panie« — zaczął się tedy nowy szturm. Ci panowie myśleli zapewne, że to ot sobie spekulacya hotelowa na reklamę. Ale są przecie ludzie, świadkowie...

Łatwo stwierdzić, w jakim stosunku zostaje ciotka Purga do szwagra oberżysty z »Post«. Na oczy się nie widują, nie znoszą. I teraz, jeśli ją Stuerli cierpi w domu, od gości nie pędzi, to dlatego tylko, że mu ich przyprowadziła! Inaczej: oho! nie puściłby jej do jadalni. I jej też o tego pasibrzucha, skąpca, zdziercę wdów i sierót nie chodzi. Niechby się darł zdrów z poganinem Wel-

schem; niechby się zjedli nawzajem. Ludziom byłoby lepiej bez nich na świecie. Tylko, że jest ta dziecina, panowie widzieli ją sami: kwiatek, perełka! A dobre to, a kochane — serce na dłoni; z ubogim ostatniem się podzieli; do pracy pierwsza, a pobożna, a skromna! Skarb jednym słowem — skarb. I to usycha, więdnije, a kiedyś ojciec ją zmusi wyjść za takiego gburą, jak on sam.

Francuz próbował znów protestować przeciw możliwości odegrania jakiejś roli w przyszłych losach Gretli, ale stara nie dała mu przyjść do słowa.

Ona nie jest głupia, jak się komuś może здаwać. Jej byle czem zbyć nie można. Trudno; zmusić tych panów nie może; ale gdyby chcieli, ileżby mogli zrobić dobrego! Ileż wdzięczności zachowaby dla nich. Parę notatek w angielskiem, francuskiem i niemieckiem wydaniu — to taka mała rzecz, a tyle od tego zależy.

Thévesnil chciał jeszcze coś odpowiedzieć, ale tym razem przerwał mu mr. Neaghton:

— Daj jej pokój — rzekł mu po angielsku. — Z głowy jej nie wybijesz przecie tego, co sobie uroiła.

— Więc cóż robić? — odparł niecierpliwie Francuz w tym samym języku. -- Przecież jej nie obiecamy rzeczy, których nie możemy zrobić, a odmówić, albo zmilczeć, to będzie u niej znaczyło, że nie chcemy jej pomódz. To zaś i nudne, bo końca nie będzie jeremiadom, i przykre, bo mi ich strasznie żal.

— Na wszystko jest sposób — rzekł spokojnie mr. Neaghton. — Naprzód po części przynajmniej żądaniu jej można zadośćuczynić. Nasz towarzysz podróży jest przecie naprawdę korespondentem Baedekera i może naprawić to, co sam popsuł.

— No, ten! — machnął lekceważąco ręką Thévesnil.

— Przepraszam. Od niego dużo będzie zależało. My zaś cóż możemy? Korespondentami przecie nie jesteśmy.

— Ale jesteśmy w stanie, każdy w swoim zakresie, więcej zrobić dla oberży »Post« i dla tej ślicznej dziewczyny, która mnie zainteresowała, od dziesięciu korespondentów. Temu przecież nie zaprzeczysz?

— Zapewne, zapewne; choć przyznam ci się, żeby mi to znów było tak jasne...

— Ależ to rzecz najprostsza, mówię ci! Jeden artykuł w dodatku literackim »Figara« z twoim podpisem i historią tej starej i jej siostrzenicy; jedno moje opowiadanie o tem podczas sezonu w Jockey i w Travellersclub, i podczas polowań w Neaghtonhall ze sprawozdaniem i komentarzami w *Pall-Mall*, albo innym jakim *high-lifepaper* — czy więcej potrzeba?

Francuz uderzył się w czoło.

— Świetna myśl! — zawołał. — Że mi to przedtem nie wpadło! I co za doskonały temat, jak to łatwo wyzyskać, ubrać... *Perfectly*, ani słowa...

Ciotka Purga podczas tej niezrozumiałej dla niej rozmowy rzuconą była na pastwę Armina

Swincke. Autor ośmnastu oryginalnych dzieł, czterdziestu trzech broszur i licznych tłumaczeń zasympywał ją biograficznymi i apologetycznymi szczegółami co do swej osoby, biorąc ją równocześnie co do obu hotelów, ich właścicieli i rodzin, oraz domowników tych właścicieli na tak ścisły, sumienny i szczegółowy egzamin, że osoba mniej energiczna i wygadana od niej, musiałaby niechybnie języka w ustach zapomnieć.

Ale ciotkę Purgę nie łatwo było zbić z tropu lub przegadać. Tylko terkocząc z Prusakiem na wyścigi podnieśli wkońcu taki krzyk, że Thévesnil nie wytrzymał. Urwał w połowie rozpoczęty frazes i zawołał do Anglika:

— Chodźmy, na miłość Boga! Głowa pęka!

Mr. Neaghton spojrział na zegarek.

— Trzy na dziesiątą — rzekł. — O dziesiątej w podróży, zwłaszcza przed wycieczką, zawsze się kładę. Za pięć minut byłbym się oddalił, ale że nasz przyjaciel jest tak głośny, więc idę zaraz.

— Ale cóż z przewodnikiem? — spytał Maryusz.

— Będzie, będzie — pośpieszyła objaśnić ciotka Purga. — Ale nie gniewajcie się, panowie. Spotkanie go za bramą, żeby ktoś nie zobaczył i ojcu nie doniósł, bo to właśnie ten Pierluigi, o którym mówiłam. Nikt lepiej nie zna wszystkich alm i ścieżeczek w górach, jak on, nikt od niego nie jest zręczniejszy, śmielszy. Wstyd powiedzieć, ale prawda: żaden z naszych chłopaków synowi tego Welscha nie dorówna. I skąd mu to się wzięło?

Bo przecie wiadomo, że co Włoch, to tchórz i ciemięga do wszystkiego, co nie jest pieniądzem i schrajstwem. Ale już mu to widać przeznaczone było zostać mężem mojej ślicznej Gretli, i w tem przewidywaniu dał mu Pan Bóg przymioty Szwajcara, zamiast wad jego pobratymców włoskich.

Z temi słowami ciotka Purga pożegnała turystów, a miejsce jej zajął pan Sebastyan Stuerli we własnej osobie i uchylając czerwonej czapeczki, zapytał uprzejmie, czy kolacya smakowała i czy wino było dobre, a następnie wziął świecę do ręki i sam poprowadził gości na górę, do przeznaczonych im pokojów.

VIII.

Cały następny dzień spędzili nasi podróżni, drapiąc się na alpejskie szczyty i schodząc z górskich dróg na kozie ścieżki wśród przepaści. Anglik był niestrudzony i nie zdający się pojmować, co znaczy niebezpieczeństwo lub trudność. Thévesnil miał odwagę wściekłą, a siłę zastępowały mu nerwy. Pan Armin Swincke narażać się bez potrzeby nie lubił, ale w potrzebie nie tchórzył, ani się cofał, zwłaszcza, gdy chodziło o zobaczenie lub dowiedzenie się czegoś. Robili też istne szaleństwa, kończące się jednak szczęśliwie, dzięki zimnej krwi i praktycznemu zmysłowi Anglika, któremu dzielnie dopomagał Pierluigi. Ten ostatni przypadł wszystkim do serca. Nawet pan Armin, z którym stał się śmiało, zaprzeczając jego szyderczej uwadze o bał-

wochwalczej czci, oddawanej przez katolików Matce Boskiej i Jej obrazom, pogodził się z nim niedługo.

— *Pfaffenknecht*, jak oni tu wszyscy, ale i my mamy u siebie nielepszyc — rzekł, wzdychając smutno na wspomnienie centrum i jego niegodziwości. — Zresztą jednak chłopak doskonały, zwinny, sprytny, miły, a przytem jest w nim *eine echt germanische Biederkeit*.

— Czy jest w nim germańska... jakto pan tę cnotę waszą nazwałś, tego nie wiem — odparł Francuz — to wiem, że ma typ włoski przedziwny, jak gdyby zdjęty z »Wiosny« lub z »Anielskich chórów« Sandra Botticelli.

— A przytem ta jego nieszczęśliwa miłość wzrusza mnie i napęlnia sympatyą dla biednego młodzieńca — dodał sentymentalnie laureat Harfy Eolskiej.

Wrócili więc w najlepszych usposobieniach do Brig późnym wieczorem. Przed miastem pożegnał ich Pierluigi, przepaszając, że z obawy o ojca dalej im towarzyszyć nie może i umawiając się co do następnej wycieczki nazajutrz. Dochodząc do hotelu, postyszeli rozlegający się w dziedzińcu gwar i hałas podniesionych głosów

— Zatrzymajmy się chwilę — rzekł mr. Neaghton, stając przed bramą.

Zdarzyła się rzecz, którejby nikt po aksamitnym i giętym Gianantonio Catinelli nie był przypuścił. Wyszedł z cierpliwości.

Czy jakiś niepowołany świadek dosłyszał ka-

walek narady ciotki Purgi z Pierluigim, a pochwyciwszy nie intrygi, dotarł po niej do kłębka, a potem pośpieszył donieść Włochowi o zdradzie? Czy podpatrzono przewodnika, oprowadzającego po górach tych samych turystów, którzy hotelowi jego ojca zrobili taki zawód i wstyd, przenosząc swe manatki do współzawodnika? Czy może nawet — czemu uwierzyć trudno i musiała to być plotka wymierzona przez zazdrosne siostrzyczki z błękitnej konfraternii przeciw przewodniczącej konfraternii szarej, słynącej co prawda z wielomówstwa — sama ciotka Purga nie umiała utrzymać w sekrecie swoich przewrotnych planów i sangwicznych nadziei?

»...Nikt o tem nie wiedział ni wówczas, ni potem«.

Jakkolwiekby i skądkolwiek plotka wyszła, signor Catinelli wiedział już, co się święci, a czego nie wiedział, tego się domyślał. I poraz pierwszy może od tych czasów, kiedy w młodych latach rzucał nożem w osteryi na towarzyszków zabawy, gdy się z którym posprzeczał przy winie lub przegrał parę soldów w morę, Gianantonio stracił zimną krew, a raz ją straciwszy, zawrzał jak wulkan.

U tych ludzi Południa dwa są rodzaje gniewu, jak i dwa całkiem od siebie różne gatunki temperamentów. Dwóch facchinów skacze do siebie na ulicy, jak dwa rozwścieklone walką koguty: z oczu ich lecą iskry, błyskawice, pioruny, z ust sypią się gradem przekleństwa i wyzywania, ręce wywijają młynka około twarzy przeciwnika — za

chwile, zdaje się, chwycą za nóż i ugodzą... Nie bójmy się. W kłótni tej niema nic straszego. Ręce, wygrażające namiętnie, nie dotkną się nigdy twarzy, a przekleństwa, gdy im się przysłuchać, obrażają tylko świętych pańskich, przeciwnika oszczędzają. Ta walka pozorna, to tylko objaw gorącego i bujnego temperamentu — od wszelkiego zapomnienia się, ubliżenia sobie nawzajem i grubiańskiej trywialności chroni obu krzyczących przede wszystkim wrodzona i wyrafinowana wykwinność ich starej kultury, poczęści zaś także bardzo silny instynkt zachowawczy, ostrzegający, że kto bije, bywa bitym, a kto łaje, naraża się również na niemiłą wzajemność. I dlatego, gdyby dobrze zważyć, jeden Niemiec w złym humorze przez jeden wieczór w knajpie, jeden Madiar w dobrem usposobieniu przez kwadrans więcej wkoło siebie rozsypie obelg i złorzeczeń i więcej nastęrczy okazyi do kułaków, niż dwudziestu Włochów przez rok.

Zdarza się jednak niekiedy inaczej. Takiego Włocha, zgiętego zawsze jak scyzoryk, z uśmiechem, nie schodzącym z ust, z nogami, stąpającymi bez szelestu i karkiem z gutaperki, ktoś obrazi, ale naprawdę, albo przyniesie mu szkodę, wówczas on nie piorunuje, nie krzyczy, ani skacze do oczu. Usta mu się tylko zaciskają, tak, że ich nie znać; twarz blednie, oczy zdają się, jakby zapadły gdzieś w głąb i jakby z jakiejś otchłani czarnej płomyk wydobywał się w górę, niedobry, a ostry, jak sztylet. Żle być wtedy w pobliżu, gorzej, gdy się ma

ostrze takiego wzroku przeciw sobie. Lepiej mieć przed sobą czterech angielskich bokserów, albo całą kupę niemieckich burschów, mających kolejno próbować na skórze przeciwnika swoich tępych rapierów, niż takiego jednego małego i czarnego jegomościa ze sztyletem w oczach i drugim w zanadrzu.

Signor Gianantonio Catinelli nie powiedział żadnej impertynencyi właścicielowi »Post«, choć z nim rozmawiał od kwadransa; nie podniósł nawet głosu. Mówił zwolna, sycząc trochę — oczy trzymał spuszczone ku ziemi. Ale kiedy je czasem na jedną chwilę podniósł, wtedy był poprostu straszny. Wiły mu się w oczach skorpiony i węże, czyhając, zdaje się, na to, aby rzucić się na swoją ofiarę i śmierć jej zadać.

Za to pan Sebastyan czerwony był, potem oblany, trzęsący się od złości. Talerzami rzucał, skorupy nogami miażdżył, klątwy najdosadniejsze dobierał. Pienił się. Wszystko, co miał przeciw Włochowi na wątrobie, ciskał mu teraz na głowę, bezładnie, urywkami, niezrozumiale. Więc i osiedlenie w Brig, i rywalizację, i intrygi, nie zapominając o najczarniejszej z Baedeckerem, i skupowanie gruntów od biedaków (choć Bogiem a prawdą Catinelli szedł w tem tylko jego własnym torem) i sprawę ciotki Purgi — czego tam nie było!

Gianantonio słuchał uważnie i spokojnie, chociaż z twarzą białą, jak płótno i z kurczowo zacisniętymi pięściami. Kiedy niekiedy odcinał się

jednem lekkim słowem — ale ono cięło tak samo, jak jego wzrok.

W ten sposób cisnął już Stuerlemu kilka zarzutów i kilka gróźb, które wiedział, że go trafią głęboko. Więc zapowiedział, że mu przeszkodzi być burmistrzem, co było od wielu lat tajemnym marzeniem pana Sebastjana, i dał mu do zrozumienia, że znalazł środki do podkopania jego kredytu od Lucerny do Werony. Że zaś Gianantonio nie groził na wiatr nigdy, wiedział dobrze, że groźba jego bez wrażenia nie przejdzie. Teraz jednak przygotowywał przeciwnikowi cios w samo serce.

Przez chwilę pozwolił w milczeniu fali inwektyw i zlorzeczeń toczyć się sobie ponad głową, Owszem, uśmiechał się, jak smakosz, gotujący się na spożycie delikatnego kęsa. Wreszcie usta otworzył i głowę podniósłszy, ogarnął nieprzyjaciela tryumfującym, nieprzejednanym spojrzeniem.

— Panu Sebastjanowi Stuerli słusznie przystoi obsypywać mnie obelgami — rzekł — skoro godna jego córka z rozkazu przezacnego ojca zapewne romansuje z moim synem, schadzki z nim miewa, uwodzi go i tak mu głupią jego głowę zawraca, że chłopak mnie, ojca, dla niej i dla pana zdradza.

Stuerlemu oczy na wierzch głowy wylazły z oburzenia i gniewu. Zachłysnął się, zająknął, zabelkotał niewyraźnie, nim zdobył się na odpowiedź.

— Co, jak? — zawołał. — Fałsz, kalumnia! Dowody!

Wówczas powoli, spokojnie, z pauzami, podkreślającymi efektu opowiadania, z szyderczymi błyskami w oczach, signor Catinelli zaczął opowiadać całą historię zdrady swego syna i intrygi ciotki Purgi i Gretli.

Znał ją, niestety, dokładnie, choć dla gorszego przygnębienia przeciwnika, opowiadał po swojemu, przesadzając, naciągając, koloryzując wedle potrzeby. Wczoraj jeszcze było to wszystko dla niego tajemnicą zupełną, ale ten dyabeł włoski, jak go nazywała ciotka Purga, miał dziwny dar orientowania się i kombinowania i raz wpadłszy na trop, wyszedł wszystko.

Że Sebastjana Stuerli w tej chwili nie zabiła apopleksya, to dowodzi, że mimo burakowej twarzy, wolego karku i trzech podbródków, można nie być do niej usposobionym.

I istotnie, oberżysta z »Post« nie domyślał się niczego; nawet intryga ciotki Purgi i Pierluigiego z turystami zrobioną była poza jego plecami. Domyślał się tylko, że mu szwagierka sprowadziła gości nie tyle przez życzliwość dla niego, ile z chęci splełtania przykrego figla Włochowi. Tem wściekleszy gniew go ogarnął, gdy zobaczył, że i jego wyprowadzono w pole. Zapomniał o korzyściach, jakie z tego mogły wyniknąć dla niego i jego oberży; zapomniał o szkodzie i złości Catinellego: jedno mu tylko stało w oczach, działając na niego, jak czerwona chusta na rozjuszonego byka: żona i córka i ta przeklęta wiedźma Purga oszukały go, wypro-

wadziły w pole i wbrew zakazowi próbowały nawiązać zerwane projekty z Pierluigim.

— Gdzie ona, ta dyabelska córka? — wrzasnął, rzucając się do kuchni.

Ale ciotka Purga przy pierwszych słowach Włocha uznała za właściwe usunąć się z pola dyskusji, przewidując nie bez słuszności, że może ona stać się łatwo polem bitwy i zwłaszcza dla niej miejscem pobicia. Przed odejściem jednak miała przytomność szepnąć siostrze przestraszonej słówko rady:

— Skoro już tak daleko zaszło, niema co cofać się i tchórzyć. Gorzej już wściekać się twój stary nie będzie, niż teraz, więc mu odrazu wszystko szczerze powiedz.

I pani Rieka zebrała się na odwagę.

— Siostry mojej już niema tu — rzekła spokojnie rozszalałemu mężowi. — Ale co ona robiła, to robiła w porozumieniu ze mną. Miałam nasze dobro na celu, a nadewszystko dobro dziecka. Nietylko zaś ono twojem jest: jest i mojem — mam więc i ja słówko do powiedzenia, kiedy chodzi o szczęście jego całego życia.

Niktby zahukanej i przestraszonej pani Rieki nie poznał w tej chwili. Nietylko wypowiadała śmiało i głośno swoje zdanie, ale nawet wypowiadała je nader wysokim i donośnym, choć piśkliwym dyszkantem.

Pan Sebastyan tak zdumiał się tym buntem

pokornej dotąd towarzyski życia, że w pierwszej chwili złość jego ustąpiła oszołomieniu.

— Niechże mnie zaraz trafi, jeśli rozumiem, *Kreuzhimmeldonnerwetter*... — zaczął, ale nie skończył tego długiego wyrazu, w którym mieścił zazwyczaj wszystkie nieprzyjemności, mające jego lub innych trafić, bo mu przerwał mr. Neaghton.

IX.

Wraz ze swoimi towarzyszami przysłuchiwał się on ciekawie i uważnie całej tej scenie, a szczególnie Catinellemu, równocześnie zaś porozumiewał się wzrokiem kiedy niekiedy z Thévesnilem, który widocznie się bawił włosko-niemieckim konfliktem.

Teraz jednak, kiedy wedle wszelkiego prawdopodobieństwa po chwilowej pauzie miał nastąpić ostateczny i najstraszliwszy wybuch rozigranych namiętności, uznał za właściwe wmieszać się.

— Zdaje mi się — rzekł do obu swych towarzyszków — że nadeszła dla nas chwila odegrania w tej tragedji roli *Dei ex machina*, skuteczniej jednak, niż to uczynił pan Swincke.

— Ależ jak? — spytał Niemiec.

— Zobaczysz pan zaraz — odparł mu i skiniawszy na Francuza, podszedł do kłócących się.

Był już ostateczny czas wmieszać się pomiędzy nich.

Pan Sebastyan, mimowoli opanowany elokwencyą żony, zostawił ją w spokoju, ale rozju-

szony do ostateczności, gotował się właśnie zwrócić wybuch swego gniewu wraz z ciężarem olbrzymiej maczugi, za którą chwycił, przeciw sprawcy wszystkich swych nieszczęść i kłopotów. Zaś Gianantonio stał spokojny, ale przed chwilą już wyjął nieznacznie z kieszeni składany nóż, otworzył go, i teraz obracał zwolna w rękawie.

Mr. Neaghton zbliżył się do niego i rękę mu położył na ramieniu.

— *Come sta*, Gianantonio? — spytał swym gardłowym, wyspiarskim akcentem.

Włoch drgnął nerwowo, obrócił się i w rozdrażnieniu miał na ustach, zdawało się, jakąś ostrą odprawę natrętowi, wbrew zwyczajnej swej grzeczności, ale w tejże chwili twarz mu się rozjaśniła, okrągła czarna czapeczka spadła mu z głowy i bogaty właściciel hotelu Londyńskiego rzucił się do ręki Anglika, podnosząc ją do ust.

— *Eccellenza!* — zawołał z nieklamana radością. — *Chè fortuna!* Skądże, kiedy, tutaj?

— To ja ciebie spytać powinienem, skąd się tu wzięłeś — odrzekł mr. Neaghton — myślałem, że siedzisz gdzieś między Weroną i Brescią.

— O! długoby gadać! Ale jeśli wola i łaska Ekscelencyi, opowiem wszystko przy kieliszku najlepszego Chianti albo Astispumante, jaki mam w piwnicy. No, przecie nie odmówi tej łaski książę pan...

Pan Armin Swincke przypatrywał się i przysłuchiwał z coraz większem zdumieniem, wreszcie nie wytrzymał.

— Książę! — zawołał — książę!... Ale jakże to? Jakim sposobem? Przecież ja mam kartę...

I zaczął gorączkowo szukać w pugilaresie biletu wizytowego, otrzymanego w Pallanza.

Francuz bawił się jego zdumieniem jeszcze lepiej, niż przed chwilą kłótnią oberżystów.

— Nie trudź się pan daremnie — rzekł wreszcie, śmiejąc się i próbując wstrzymać poszukiwania wśród papierów. — Na karcie naszego przyjaciela nie stoi nic więcej, niż to, co pan widział. Tylko, żeby pana uspokoić, powiem, co znaczą trzy litery przed jego nazwiskiem. Czy zgoda, Lesterze?

Mr. L. A. W. Neaghton ruszył tylko ramionami, nie odpowiadając.

— Otóż, panie Arminie Swincke, rektorze, prezesie, laureacie, literacie... przepraszam, że w szczególności pańskich nie wchodzę, bo na to mój bagaż umysłowy zbyt jest lekki, aby je zapamiętać. — L. znaczy Leicester i jest imieniem własnym, nadawanem zawsze starszym synom głównej linii tej rodziny; A. znaczy Archibald i jest także imieniem własnym; W. oznacza Westmoreland i jest nazwiskiem, z którem się łączy tytuł książęcy i mała bagatela, dwa czy trzy krocie tysięcy funtów rocznego dochodu, obok kilku tuzinów zamków w trzech królestwach wielkiej Brytanii i na kontynencie, wraz z odpowiednią ilością akrów ziemi pastwnej i uprawnej i tym podobnych rzeczy.

— Ale Neaghton? Dlaczego Neaghton? — wo-

łał w rozpaczliwym zaciętrzewieniu rektor z Köpenick.

— Neaghton, jest nazwiskiem rodziny, której naczelnik tylko nosi tytuł księcia Westmoreland, podobnie jak Howard jest nazwiskiem rodzinnem księcia Norfolk, a Berkeley księcia Northumberland. Nasz przyjaciel zaś, z bardzo zrozumiałych względów, woli go używać w podróży, żeby nie zwracać uwagi i nie odróżniać się od innych. Przecie to bardzo naturalne i pan na jego miejscu zrobiłbyś pewnie to samo.

— O, co to, to nie! — odparł z naiwnem i pewnem przeświadczeniem pan Swincke.

I zwracając się do księcia, zaczął go z wielką uniżonością przeproszać za dotychczasową śmiałość i bezceremonialność, trzymając kapelusz w rękę i tytułując co drugie słowo, w pomieszaniu, naprzemian jako Altesse, Your Lordship i Fürstliche Gnaden.

Mr. Neaghton, *recte* Duke of Westmoreland miał widocznie dosyć całej tej sceny, która robiła go punktem środkowym dla coraz większego koła gapiów w dziedzińcu i na ulicy. Odwrócił się bez ceremonii od kłaniającego mu się nisko i zabiegającego na prawo i na lewo z komplementami Prusaka i wziął z jednej strony pod rękę Catinellego, a z drugiej schwycił pana Sebastjana.

Ten był tak odurzony niespodzianym obrotem sprawy, że nie opierał się, milczał z wybałuszonemi oczyma i dawał robić z sobą, co chciano.

Mr. Neaghton wprowadził obu oberżystów do małego pokoiku, przytykającego do jadalni i stanowiącego, jak opiewał napis na tabliczce, *drawing-room* dla gości. Na progu odwrócił głowę i skinął na swych towarzyszków.

— Maryuszu, panie Swincke, chodźcie, panowie — rzekł im.

Swincke rzucił się z pośpiechem, spełniając książęce wezwanie, Thévesnil poszedł za nim wolniej, śmiejąc się z agitacji jego nerwów.

Audytoryum, stojące w dziedzińcu, próbowało zbliżyć się bodaj do drzwi, poza którymi zniknęli turyści. Cisnęła się więc na przedzie pani Rieka, zupełnie już uspokojona nie tylko co do obecnej chwili, ale i co do przyszłości Gretli, choć gdyby ją spytać, nie umiałaby nic innego odpowiedzieć, oprócz chyba: »Teraz, to już wszystko pójdzie dobrze«.

Szła za nią Gretli różowa, uśmiechnięta, choć drżąca jeszcze i z resztką łez w oczach, podobna do świeżo rozkwitłej różyczki, zwilżonej wiosennym deszczykiem. Pchała się i ciotka Purga, która w mig przeczuła wracającą pogodę, i gruba kucharka z chochlą w ręku i służący bez surduta, ale w białym krawacie i nawet chłopcy stajenni.

Kilkunastu gapiów ulicznych, zwabionych niedawną kłótnią i zaciekawionych jej oryginalnem rozwiązaniem, podsuwało się nieznacznie ku domowi.

Wtedy we drzwiach od jadalni pokazał się Armin Swincke, poważny, uroczysty, pełen poczucia swego dostojństwa.

— Przyjaciele moi — rzekł tajemniczo, podnosząc w górę palec — Jego Ekscelencya, milord, książę pan — ma teraz konferencyę w ważnej sprawie, w bardzo ważnej, o! szanujcie jego spokój, jego dostojną wolę... Obrady toczą się o sprawach, dobro publiczne mających na celu. Tyle wam tylko na teraz mogę powiedzieć.

Ale Szwajcarowie nie darmo są republikanami i szanują tytuły o tyle tylko, o ile mogą na ich podstawie podwyższać rachunki hotelowe.

Pojawienie się rektora laureata wywołało tylko głośniejsze szmery i wybuchy pozbawionej wszelkiego respektu wesołości. Prezes towarzystwa ochrony zwierząt w Köpenick pośpieszył zniknąć za drzwiami, mrucząc pod nosem.

— Bydło! Gdyby to u nas, bagnietami-by to wykłóć należało i szablami rozpędzić.

Nie potrzeba było jednak tak gwałtownych środków, bo niezwłocznie znów drzwi się otworzyły i ukazał się Thévesnil, który gestem bulwarowego łobuza pozdrowił ciekawe grono czapeczką i śmiejąc się, dał im znak pożegnania. Zaśmieli się wszyscy i za chwilę na werendzie nie było już nikogo.

A tymczasem w *drawing-room* toczyła się istotnie poważna konferencya.

Przewodniczył w niej Anglik. Pozbył się zwykłej swej chłodnej i milczącej powierzchowności, ożywił się i rozporządzał energicznie, sadzając obok siebie na wstępie obie wojujące strony.

— Cóż, Gianantonio? — zaczął, klepiąc Catinellogo po ramieniu z poufałością, którejby nikt w nim nie przypuścił — czy pamiętasz te czasy, kiedyśmy włóczyli się razem po twojej pięknej ojczyźnie?

— O, *Madonna mia!* — zawołał Włoch, uderzając w dłonie z zapalem — jażbym miał o tem zapomnieć! To były przecie najlepsze lata mego życia — i one stały się podstawą całego mego losu dzisiaj! Panowie tego nie wiecie — ciągnął dalej, zwracając się do towarzyszków podróży księcia. — Nim stałem się z łaski milorda tem, czem jestem, nędzny charlak był ze mnie. Dawne to dzieje: ówierć wieku temu. Miałem po ojcu trochę kapitaliku, straciłem cały w chybionych spekulacjach, jeszcze w długi zalazłem. Do więzienia mnie nawet wpakowano za to. *È vero!* Wypuścili potem, ale każdy uciekał odemnie. Głodem marłem i już, już miałem rękę na siebie nałożyć...

W panu Sebastyanie odezwała się przytłumiona na chwilę nienawiść.

— Tfu, poganin jakiś! — mruknął, spluwając.

Catinelli nie zauważył tego, czy może w swoim dobrym humorze nie chciał widzieć.

— Wtedy mnie obdartego, głodnego, zrozpaczonego spotkał milord.

Mr. Neaghton machnął ręką, jakby mu chciał przerwać.

— O, niech Ekscelencya pozwoli. Przecie uratowałeś mi życie i więcej niż życie, bo zbawienie

duszy! Milord mnie spotkał, opatrzył, pozapłacał długi, dał fundusz na utrzymanie matki, która żyła jeszcze, ale umierając z głodu jak i ja, wreszcie wziął mnie do usług i to nie jako zwykłego służącego, ale jako kuryera ¹⁾).

— Potrzebowałem go właśnie, bo mój dawny kuryer zachorował i musiał mnie porzucić.

— Tak, ale mógł książkę mieć za te pieniądze najlepszego i najświetniejszego od Medyolanu do Katanii. Tymczasem wziął mnie, który miałem tyle wyobrażenia o geografii i zabytkach Włoch, co o Chinach. Wziął mnie z pensją poprzednika, choć wiedział dobrze, że na nią, ani na żadną wogóle nie zasługiwałem.

— Zasłużyłeś prędko, boś miał zmysł orientacyjny, jakiego nie spotkałem u nikogo. Było to coś niesłychanego istotnie, jak w miejscu nowem człowiek ten odrazu wszystko wiedział, wszystko umiał wytłómaczyć, wszędzie zaprowadzić. Był przytem niezmordowany, a po całodziennej bieganiu nocami śleczął nad książką, ucząc się geografii, historii i artystycznych katalogów. Tak, tak, *caro mio*, miałem skarb w tobie prawdziwy.

¹⁾ Kuryerami nazywano dawniej przed ułatwieniem komunikacji kolejami, a po części i później, patentowanych przewodników dla bogatych turystów angielskich we Włoszech. Kuryerowie ci, wynajmowani w Londynie, obwożą swoich panów po półwyspie całym, zajmują się wszelkimi ułatwieniami podróży i spełniają przytem funkcję kamerdynerów.

— I długoś go miał przy sobie? — spytał Thévesnil.

— Dwa lata, do ożenienia.

— A po ożenieniu? — spytał Prusak.

Ale nie otrzymał odpowiedzi, więc nie zrażając się, powtórzył natrętnie pytanie.

— Potem... nie potrzebowałem — odparł Neaghton przez zęby, nie odwracając głowy.

Pan Armin Swincke miał już na ustach pytanie dlaczego jego książęca mość nie potrzebował dalszych usług Gianantonio Catinelli, ale Francuz spojrział na niego z ukosa i odciągnął go na bok.

— Dajże pan raz pokój z pytaniami swemi! — syknął niecierpliwie. — Milordowi żona chorowała, począwszy od ślubu, przez pięć czy sześć lat na Maderze, potem umarła — a on nie może znieść wspomnienia straty, której nie przeboleał dotychczas, chociaż ją stara się zagłuszyć włóczęgą po świecie.

Armin Swincke uderzył w ręce głośno i zaczął kiwać głową.

— *Wie romantisch!* — zawołał. — Cóż za ciekawa historia!

— Cóż się z tobą działo przez tych dwadzieścia lat? — spytał tymczasem Anglik Gianantonio.

— A cóż? Żyło się z łaski Ekscelencyi. Ożeniłem się za pieniądze, dane mi przez milorda, założyłem naprzód sklepik, potem oberżę w Campiglio, potem spróbowałem spółki — wreszcie tu osiadłem i szłoby nie źle, gdyby...

Urwał, patrząc z podełba nader wyraziście na swego współzawodnika, Stuerlego.

Ten ostatni poczerwieniał pod tym wzrokiem, zjeżył brwi i począł sapać głośno.

— Aha, gdyby — mruknął i chciał dalej mówić, ale mu przerwał mr. Neaghton.

— Słuchaj-no pan — rzekł, zwracając się równocześnie do obu przeciwników — i ty uważaj, Gianantonio. Mam dla was pewną propozycję.

Catinelli skłonił się z uśmiechem, przykładając rękę do piersi, Stuerli schylił również głowę niezgrabnie.

— Wedle rozkazu, najchętniej — wybełkotał.

Milord wyciągnął długie nogi przed siebie i oparł się wygodnie o poręcz fotelu, jak człowiek, przygotowujący się do dłuższej przemowy.

— Siadźcie, moi przyjaciele — rzekł do obu oberżystów.

Włoch skłonił się prawie do ziemi, wyrzekł z przejęciem: *Tante grazie, Eccellenza!* — i usiadł.

Stuerli uznał za potrzebne ceremonizować się wobec wysokiego dostojenstwa swego gościa, aż go zniecierpliwiał.

— Ależ bo mnie wygodniej mówić do pana, gdy siedzisz — rzekł wreszcie Neaghton.

Dopiero ten argument przekonał oberżystę z »Post«. Usiadł na brzeżku krzesła i swe ogromne wypukłe oczy wlepił w milorda z takim wyrazem, jak wół, słuchający muzyki Wagnera.

— Chcę wam obu zaproponować pewien interes — mówił dalej milord.

Obaj oberżyci znów schylili głowy.

— Pan, mości Stuerli, masz córkę śliczną, sprytną i uczciwą — znam ją od wczoraj, ale mogę śmiało powiedzieć, że mało spotkałem podobnych dziewcząt. Tobie, Gianantonio, można pozazdrościć syna. Dzieci stworzone dla siebie — wam starym byłoby sto razy lepiej obu, gdybyście przestali szkodzić sobie nawzajem i wspólnie dla dzieci zaczęli pracować. Ale cóż! Wyście obaj głupi, i ty, Gianantonio, i ty, mości oberżysto z »Post«, bez obrazy pańskiego honoru.

— *È vero, verissimo, Eccellenza!* — potwierdził Włoch, uśmiechając się i dorozumiewając się odrazu myśli mówiącego.

Ale pan Sebastyan miał zwyczaj myśleć powoli. Insynuacya milorda obruszyła jego republikańską godność obywatela wolnej Szwajcaryi, właściciela pierwszej (we własnem przynajmniej mniemaniu) oberży w Brig i kandydata na burmistrza tego miasta.

Próbował zaprotestować — ale oburzenie paraliżował wzgląd na dostojęństwo milorda.

— Śmiałym zwrócić uwagę waszej książęcej mości... — zaczął.

Książę przerwał mu skinieniem ręki.

— Powtarzam raz jeszcze: jesteście obaj głupi, kolosalnie głupi, moi panowie oberżyci.

Pan Sebastyan otworzył usta, ale nie znalazł w nich odpowiedzi.

— Kłóćcie się, kopiecie pod sobą dołki, staliście się pośmiewiskiem plotkarzy, dalej zaczniecie się czubić. Co z tego będzie — łatwo przewidzieć. Możecie obaj przepaść, w każdym razie poniesiecie szkód bez liku. A co najgorsze — skwasicie młodość, możecie zwichnąć życie waszym dzieciom, dobrym i miłym. Młodość zaś, ta nie wraca i życie zwichnięte nie naprawi się łatwo.

— Ten Neaghton jest paradny! — szepnął Thévesnil do Prusaka, nie mogąc wytrzymać. — Milczy, bo milczy, ale jak przyjdzie do gadania, *quand il s'y met!* Co za kazanie. Każdy z tych Anglików to urodzony pastor.

Tym razem stała się rzecz niespodziewana i całkiem nadzwyczajna. Armina Swincke tak zmieształ lekki ton, z jakim Francuz odzywał się o jego książęcej mości, że... pozostał dłużnym odpowiedzi.

Milord kończył rzecz swoją.

— Otóż, moi drodzy — mówił — ci młodzi podobali mi się bardzo. Ciebie Gianantonio, wiesz dobrze, żem nigdy nie zapomniał — no, a pan, mości Stuerli, także na złego człowieka nie wyglądasz, więc — powtarzam raz jeszcze — proponuję wam interes.

Chuda twarz Włocha i okrągła, jak słońce Stuerlego, wyciągnęły się pytająco ku niemu.

— Pożemny wasze dzieci — Gretli z Pierluigim.

Włoch znów z widocznem porozumieniem

uśmiechnął się i skinął głową, patrząc wciąż przenikliwie na Anglika, pan Sebastyan zachnął się i zaczął mocno rozmachiwać rękoma, belkocząc niewyraźnie z nadmiaru oburzenia, protestując.

Milord znów go uspokoił obojętnem skinieniem ręki.

— Pożeńmy ich — powtórzył — a ja wyposażę Gretli i drugie tyle dam Pierluigiemu na pierwsze zagospodarowanie się.

Deus ex machina wyskoczył. W małym pokoiku zahuczało, jak w ulu. Włoch z uśmiechem porozumienia, mówiącym wyraźnie: »Wiedziałem dobrze, że tak się skończy« — podrzucił w górę czapeczkę i okrywał ręce milorda pocałunkami.

Thévesnil śmiał się uszczęśliwiony, wołając:

— *Quels types! Cristi! Quels types!*

Prusak był rozczulony.

— Istny romans! — mówił prawie ze łzami. — Milord w roli Opatrzności! Jakie wzruszające! Jakie podniosłe! Ach! *Wie poetisch!*

Najmniej poetycznym okazał się pan Sebastyan.

Nie zrozumiał zrazu, o co chodzi. Jego współzawodnik musiał mu to objaśnić w kilku słowach, ściskając mu grube ręce, przed kwadransem zamierzające się z takim impetem na Gianantonia. Nareszcie udało mu się wzniecić iskrę w umyśle pana Sebastjana.

— *Nein, da sollen doch Tausendmalhundert-Milionen Teufel!...* — zaczął, ale nie skończył i padł wzruszony Catinellemu w objęcia.

Jakim sposobem, nim ktokolwiek z obradujących opuścił *drawing-room* hotelu »Post«, wszyscy mieszkańcy oberży wiedzieli o wyniku konferencji, z temi zmianami tylko, że wedle zdania kucharki, milord ustanawiał Gretli uniwersalną spadkobierczynią, zaś żółta pokojówka, chora na śledzionę, utrzymywała na złość ciotce Purdze, że dziewczyna wyjdzie za mąż nie za Pierluigiego, ale za Francuza, nikt tego nie wyszedził, ani potrafiłby wytłómaczyć. Dość, że w pięciu minutach dziedziniec pełny był ludzi, krzyczących: *Hoch! evviva! bravo!* milordowi, który stał na werendzie w kapeluszu przekrzywionym, z cygarem w ustach i z lekkim, napół ironicznym, napół dobrodusznym uśmiechem.

Ale ironia zniknęła całkiem i chłodna twarz z czerwonymi faworytami, podobna zazwyczaj do marmurowej maski, rozjaśniła się ciepłym i miękkim wyrazem, kiedy przez tłum, rozstępujący się przed nimi, przebili się i dotarli do swego dobroczyńcy Pierluigi i Gretli.

Zdyszani, drżący, a śliczni oboje, jak dwa majowe kwiaty, chcieli mu przypaść do rąk. Ale milord nie pozwolił na to. Uderzył po ramieniu chłopaka tak silnie, że Pierluigi, choć był rosty i zdrów, jak młody dąbeczak, przegiął się i przysiadł, potem zwrócił się do Gretli i objawszy ją, wycisnął ojcowski pocałunek na czole. Na zakończenie zaś kapelusz w górę rzucił i zawołał wielkim głosem:

— *God bless you, children! Hep, hep, hurra!*

X.

Ślub Gretli z Pierluigim odbył się we dwa tygodnie później w kolegiacie w Brig, przystrojonej jak na wielkie święta w makaty, gobeliny i wieńce choiny. Wielki ołtarz gorzał od światła, aż oczy bolały, a wielki pajak w środku zapalone miał wszystkie świece, jak na procesję Bożego Ciała.

Pannę młodą prowadził do ślubu milord z wielkim bukietem przy piersiach; za nim zaraz postępował uśmiechnięty, ale poważniejszy, niż zwykle, Thévesnil; a dalej znów czerwieniła się okrągła, piegowata twarz ze szczecinowatym zarostem Armina Swincke, który dla uczczenia tak romantycznej historii zdecydował się zostać dwa tygodnie i robić z milordem (na koszt ostatniego) ciekawe i pouczające wycieczki po kantonie Wallis. Jak wielkim był orszak weselny, jak wspaniałymi stroje, ile wystrzelano prochu z rusznic i moździerzy, ile wypito wina, jakie masy mięs i pieczywa wyszło z pieców, w których przez tydzień smażyło się i piekło bez ustanku dzień i noc; jakie piramidy jadła znikwały kolejno, wciąż zastępowane nowemi, ze stołów, otoczonych biesiadnikami przez trzy dni i trzy noce, zmieniającymi się i wracającymi wciąż nanowo do ciężkiej pracy przy stołach — tego nie potrafi wysłować żadne ludzkie słowo i trzebaby na to chyba języka Rabelais i natchnień, opiewających dzieła Gargantuy. Dość powiedzieć, że w trakcie uczyt pan Armin Swincke wyprzysiągł

się nienawiści do Erbfeinda za Wogezami i pijąc z Thévesnilem Bruderschaft, uroczyście mu oddał Alzację i Lotaryngię.

Milord zaś — ten był poprostu przedziwny, kiedy rzuciwszy na bok powagę księcia Westmorelandu i trzeciego z rządu para Wielkiej Brytanii, puścił się solo szkockiego giga i młodym, pełnym nadziei tancerzom zaczął dawać lekcję bokswania tak skutecznie, że po kilku godzinach cała męska połowa towarzystwa miała nosy pomiażdżone i oczy otoczone czarną mozaiką sińców.

Równocześnie jednak był tak serdeczny i miły, że wszystkim serca rosły, gdy go widzieli, a ksiądz dziekan, który go z początku niechętnie przyjął na świadka ślubu jako inowiercę i to tylko w nadziei rychłego nawrócenia, w końcu uczył tego samego dnia twierdził, że człowiek tak poczciwy, jak milord, jest katolikiem, sam nie wiedząc o tem, i absolutnie będzie zbawionym.

Ale Thévesnil... czyjeż pióro opiszę podziwu godną działalność jego w tych dniach wesela, które dzięki jemu stały się dniami szaleństwa? Kto zliczy dowcipy, żarty, figle, wybryki śmieszniejsze jedne od drugich, choć w gruncie nieszkodliwe, którymi ten godny syn, wychowaniec i przedstawiciel paryskich bulwarów, zachwycał i bawił prostodusznych gości weselnych z Brig i jego okolic, a czułe serce Armina Swincke przykuł do siebie nierozzerwalnym łańcuchem! Kto zwłaszcza potrafi opisać, co się działo z wrażliwą duszą laureata,

gdy naraz w podnieceniu uczyty i przy falach wina, ułatwiających zwierzenia przyjaźni, dowiedział się, iż jego przyjaciel Maryusz Thévesnil, ten Maryusz, któremu poprzysiągł przyjaźń dozgonną i darował Alzację i Lotaryngię, wypiwszy z nim *Bruderschaft*, jest ni mniej ni więcej, jak owym słynnym, znakomitym, genialnym U. Ramis, którego imię darmo próbował odgadnąć (Ubaldo? Ursus? Udalryk?), a którego utwory *Clartés et Crépuscules* doczekały się zaszczytu przyswojenia niemieckiej literaturze piórem i pracą Armina Swincke. Nie — to było istotnie kolosalne i piramidalne! I on, tłumacz *Lichter und Dämmerungen*, nie domyślił się tego przez całych trzy tygodnie!

Kto nie był zupełnie kontent, to ciotka Purga.

Więc jej kombinacje tak kunsztowne doprowadziły wprawdzie do celu, ale jakoś inaczej. Więc wprawdzie oni się nawzajem *haben's g'kriagt*, ale cały sztuczny plan z Baedekerami jakoś zawiódł. Milord był milordem, księciem, milionerem, dawał Gretli posag i prowadził ją do ślubu, ale do angielskiej edycyi Baedekera czy choćby Guide Murray'a korespondencyi nie pisał. Thévesnil okazało się, że pisał — i bardzo znakomite rzeczy — ale także nie do Baedekera. Jeden pan Armin, choć luter i Prusak, a lutrów i Prusaków ciotka Purga serdecznie nie cierpiała, nadziei jej nie zawiódł. Patrzała też na niego z uszanowaniem ogromnem, a on zauważywszy ten objaw czci i uznania, z wyżyn swej powagi zniżył się do biednej kobie-

ciny i zapewnił jej dla obu hotelów w Brig swą protekcję.

Ale na ciotkę Purę zapewnienie to wywarło wręcz przeciwne od zamierzonego wrażenie. Pogodzili się wszyscy wkoło niej, ona jedna Catinellemu nie mogła swej krzywdy darować i antypatyji przemódz.

— Protekcję dla obu oberży? Dla »Post« i dla tej... dla tej londyńskiej? To lepiej dla żadnej!

Ale pan Armin Swincke dotrzymał słowa. I dzięki jego potężnym wpływom, w najnowszym wydaniu Baedekera znalazły się dwie gwiazdki przy każdej ze współzawodniczących oberży, z dodatkiem *altrenomirtes, vorzügliches Haus* przy »Post«; *ganz modernes, hochelegantes Etablissement* przy »Hôtel de Londres«.

Mr. Neaghton przyjeżdża kiedy niekiedy odwiedzić swoich protegowanych w Brig. Jego chłodna i sztywna postać ożywia się widokiem cichego szczęścia młodej pary, najpiękniejszej od Sitten po Airolo. Robi wycieczki po okolicznych szczytach z Pierluigim, a wieczorami słucha opowiadań ciotki Purgi i swojskich pieśni, któremi Gretli usypia drugiego już chłopaka, podczas, gdy pierwszy wygląda z pod fartucha babki Rieki, niemożliwie tłusty i czerwony, ale prześliczny, jak anielskie główki Robbiów, ze swymi ciemnozłocistymi włosami i ogromnemi aksamitnemi oczyma ojca.

Catinelli i Stuerli już się nie kłócą. Niema zresztą o co. Zawarli spółkę i tak urządzili jej inte-

resy, że »Post« i »Hôtel de Londres« stały się odrębnymi częściami jednego przedsiębiorstwa, które doskonale idzie; pan Sebastyan, który ostatnimi czasy został burmistrzem, przynosi mu powagę swego stanowiska, starą rutynę i cenioną przez wielu turystów *Gemüthlichkeit*, Catinelli — niezrównany spryt i obrotność w interesach. Żerantem jednak obu hotelów jest Pierluigi, a Gretli nad jednym i drugim rozciąga naczelną władzę swych gospodarskich kluczy i nadzór swoich pięknych, ale praktycznych i przenikliwych oczu.

U. Ramis nie napisał swej noweli: nawet nie jestem pewien, czy posłał korespondencyę do »Figara«. Mniejsza o to jednak. Gości i tak nigdy nie brakuje w »Post« ani w »Hôtel de Londres«. Jeżeli jednak zamiar paryskiego literata nie został spełniony, turysta zachowuje w życzliwej pamięci swoich przyjaciół w Brig. Spotkaniu i znajomości z Maryuszem Thévesnil zawdzięczam wiadomość o nich i projekt wycieczki w tę stronę, a owocem pobytu u Pierluigiego i Gretli jest powyższa wiarogodna historia.

KTO ON?

I.

Mogę chyba powiedzieć o sobie bez obawy przesady, że kobiety i ich charakter znam gruntownie. Prawie tak gruntownie, jak asyryjską i meksykańską archeologię. Od czasu, jak zajmuję się archeologią, studuję przede wszystkim kobietę starożytną, o niej tylko piszę. Pomijam wiele artykułów, broszur i dzieł jednotomowych, które dla samej ciasnoty ram do naukowej powagi nie mogą rościć prawa; wspomnę jednak moją »Boginię Astarte i jej znaczenie w mitologii porównawczej« (4 tomy in 4-o u Cotty w Stuttgardzie); »Typy niewieście w sztuce i mitologii Azteków« (3 tomy in 8-o u Brockhousa w Lipsku); »Niewiastę u Fenicyan i dawnych Meksykanów« (dotąd wyszło 8 tomów in 12-o u Herdera we Fryburgu), wreszcie »Wspólne znamiona kultury aryjskiej z cywilizacją Azteków i Inkasów wykazane na podstawie słowiańskich i amerykańskich wykopalisk, a specjalnie ornamentów kruszcowych kobiecego stroju«, (Rozprawy krakowskiej Akad. Umiejętn., tomy CCLXXXVII, CCLXXXVIII, CCLXXXIX). Znam więc kobiety, to nie ulega kwestyi, między kobie-

tami zaś znam oczywiście najlepiej tę, którą znam najbliżej, znam, muszę znać jak nikt kuzynkę Wandę. A przecież zdaje mi się czasem, jakbym jej nie znał wcale...

I datuje się to od tak dawna...

W dzieciństwie, co prawda, rozumieliśmy się doskonale. Położenie nasze tak było podobne, a warunki życia tak nas zbliżały! Mnie odumarli rodzice w kolebce — jej została matka tylko, chora od kiedy pamiętam i niezdolna wiele zająć się jedynaczką, tem mniej zaś starszym o parę lat siostrzeńcem. Ale ogromny nasz pałac w Boratyczach był taki pusty, taki smutny, tak pełen wspomnień i strachów, a ja na łasce guwernerów, bon i służby, zdala od dojeżdżającego tylko stryja opiekuna, starego kawalera — taki byłem opuszczony i biedny! Więc ciotka Aniela wzięła mnie do siebie z całą gromadą nauczycieli i służby. Wyporzadzono jako tako lewe skrzydło sztydłowieckiego dworu dla naszego wyłącznego użytku i pozostał dla mnie na zawsze ten szereg wielkich pokoi z niedomykającymi się oknami i dymiącymi kominami, siedliskiem nudnych ludzi i nudniejszej jeszcze matematyki. Tam spałem, jadłem, uczyłem się, wegetowałem. Na prawem skrzydle dworu żyłem.

Było tam parę pokoików niewielkich, zapełnionych starymi meblami rococo i mnóstwem fraszek, cacek, porcelanowych gracików z saskich czasów. Najdalej stąd było do ciemnego zawsze pokoju ciotki, do którego nam dzieciom rzadko wolno

było się zbliżać i koło którego wszystko cichło i chodziło na palcach. Drzwi parapetowe prowadziły na ogród, nie takie paradne, ogromne jak z błękitnego salonu na terasę, ale małe, szklane, z mnóstwem kolorowych szybek, w sam raz dla nas dzieciaków. Angielka drzemała w kącie nad Tennysonem, Francuz wymknął się jak zwykle na karty i bilard do rządcy, a my z Wandzią chowaliśmy się jedno przed drugim za mahoniowe serwantki i japońskie ekrany, albo cicho, na palcach, wymykaliśmy się do parku.

Dziś nie wydaje mi się on tak wielki — ot, zwyczajny ogród wiejski na Podolu. U mnie w Boratyczach większy dwa razy. Ale wówczas! Wówczas my z Wandzią wyobrażaliśmy sobie wprost, że to las dziewiczy amerykański. Strumień stanowiący w głębi jego granicę od sąsiedniego lasu, zdawał się nam jakąś ultima Thule, do której w najdalszych wycieczkach nie śmieliśmy dotrzeć, a las wyobrażnia nasza zaludniała niedźwiedziami i tygrysami, choć było w nim tylko trochę zajęcy i saren. Gdyby zaś który z wodzów czerwonoskórych, naszych dobrych znajomych z Coopera i Mayne-Reida, wyskoczył ku nam naraz z zarośli, potrząsając piórami na głowie i tomahawkiem w rękę, byłibyśmy w strachu zapewne, ale nie zdziwiłoby nas to ani trochę.

Raz, pamiętam, goniliśmy się w gęstwinie, po zarosłych ścieżkach (park był zaniedbany całkiem za życia ciotki Anieli; dopiero później Wandzia

go wyporządziła) i zdało się nam, żeśmy zabłądzili. Naprawdę przez drzewa widać było lśniąca w słońcu sadzawkę, a za nią tuż blisko stał dwór — ale nam tak miło było bać się i wyobrażać sobie uczucia zbłąkanych nad brzegiem Rio-Grande lub u stóp Gór Skalistych. Przytuliliśmy się do siebie obok ogromnego kasztana i staliśmy przez chwilę drżąc, z otwartymi szeroko oczyma, wyglądając czegoś nieznanego.

— Słuchaj, Tadziu, a jak my nie znajdziemy domów? — spytała Wandzia, wpatrując mi się w oczy i przyciskając silniej do mnie.

— Zbudujemy sobie chatkę i będziemy żyli jak Robinson z Piętaszkiem — odparłem po chwili namysłu. — Ja będę chodził na myśliwskie wyprawy, będę przynosił zwierzynę i zabijał niedźwiedzie, a ty tymczasem nazbierasz dużo, dużo poziomek. A potem przyjdą dzicy.

— O, Tadziu, nie mów, ja się boję.

— Nie bój się. Ja ich rozpędzę. Będziemy się bronić, jednych zabiję, innych wezmę w niewolę.

— Ale oni tobie coś zrobią, gotowi cię ranić!

Trzęsa się naprawdę — w oczach kręciły się łzy.

— A choćby ranili? To cóż? A kapitana Harry nie ranili Komansze?

Chwyciła mnie rączkami za szyję i rozplakała się na dobre.

— Nie chcę, nie chcę, nie chcę, żeby cię ranili. Ciebie to będzie boleć! Niech lepiej mnie ranią!

— Ciebie? Ale ty jesteś dziewczynka, ty nie możesz mieszać się do walki.

— To ty także nie mieszaj się i nie daj się zranić.

— Ja? ja na to jestem mężczyzna!

Nie graliśmy wcale komedyi i coraz bardziej przejmowaliśmy się naszą rolą. Wandzia łkała głośno, a ja mimo rycerskiego animuszu, miałem ochotę pójść w jej ślady. Naraz rozległy się koło nas piskliwe krzyki. Miss Thompson czerwona, zdyszana wpadła do naszej kryjówki.

— Gdzież jesteście! Co za nieznośne dzieciaki! Szukam was od kwadransa po całym parku. Hrabia August przyjechał i chce was widzieć.

Był to stryj opiekun.

Wracając, Angielka wylewała na nas reszty złego humoru.

— I nie wstyd to panience dobrze wychowanej samej z młodym chłopakiem po parku biegać i kryć się przed starszymi?

Wandzia na te słowa poczerwieniała jak piwonია.

Kiedy na drugi dzień wołałem ją do parku, spuściła oczy i powiedziała, że bez miss Thompson nie pójdzie, bo to nieładnie. I już nasze amerykańskie przygody nie powtórzyły się więcej.

Chodziliśmy za to na spacer z Angielką, a ponieważ to była jesień, czas owoców, robiliśmy długie stacye w owocowym sadzie. Miss Thompson lubiła owoce i zjadała ich tak ogromną ilość, że

dziś jeszcze myśląc o tem, czuję, jak mi się robi ciężko w żołądku. Zbieraliśmy naprzód dla niej całą piramidę jabłek i gruszek, potem myśleliśmy o sobie.

Raz pamiętam otrząsaliśmy renklody. Jedna była ogromna, na którą razem rzuciliśmy się oboje. Wandzia schwyciła ją pierwsza.

— Nie dam, nie dam, — krzyczała, śmiejąc się przekornie, i trzymała śliwkę przy ustach, udając, że ją chce ugryźć. — Poproś pięknie, to oddam.

— Nie będę prosić, sam wezmę — krzyknąłem i próbowałem ustami schwycić śliwkę. Ale ręka usunęła się i twarze nasze się spotkały. I naraz, nie wiem, jak się to stało, usta moje zbliżyły się do jej twarzy.

Ona cofnęła się nagle, zaczerwieniona, i zakryła twarzyczkę rękami.

— Tadzium, nie rób tego, — szepnęła — to nieładnie.

Wtedy jej po raz pierwszy nie zrozumiałem.

Co dzień rano i wieczór całowaliśmy się przy ciotce i guwernantkach — i to nie było nieładnie. Dla czegoż miało być teraz?

II.

Niedługo potem jakoś rozstaliśmy się. Mnie oddano do konwiktu, a Wandzię zabrali krewni z Szydłowca po śmierci ciotki Anieli. Pisywaliśmy do siebie długie i serdeczne listy, to jest właściwie

pisywała je Wandzia regularnie, ja odpowiadałem czasami, kiedy miałem właśnie czas i ochotę.

Spotkaliśmy się po kilku latach u babci podkomorzyny. Zaledwie poznałem kuzynkę. Dorastała już, wyglądała prawie, jak panna na wydaniu. Ja, choć starszy, wstyd powiedzieć, byłem przy niej niezgrabnym, szkolnym żakiem. Czułem to — i stałem onieśmielony, czerwony jak rak, myśląc o tem, jaki nieszczęśliwy traf przyczepił człowiekowi parę rąk, z którymi niewiadomo co począć. Ale ona przybiegła do mnie i zarzuciła mi ręce naokoło szyi.

— Tadiusz mój, Tadiusz złoty, braciszku mój jedyny!

Śmiała się i płakała. Takie już ma żywe i wrażliwe usposobienie. A śliczną była już podobno wtedy, jak teraz. Tak przynajmniej słyszałem, bo ja z powodu mego bezprzykładnie krótkiego wzroku nie bardzo mogłem i mogę o tem sądzić. Zresztą nigdy mnie to nie interesowało.

Przywitaliśmy się tedy serdecznie. Wprawdzie miss Thompson zrobiła długą minę, ale uważałem, że Wandzia przestała z tem się liczyć.

— Chodźmy do ogrodu braciszku, po staremu, — zawołała, biorąc mnie za rękę — wiesz? jak w Szydłowcu, kiedy jeszcze mama żyła...

I poszliśmy. Nie był to park szydłowiecki, zarosły jak puszcza, pełen kryjówek i cienia, tylko staroświecki, francuski ogród o nisko strzyżonych szpalerach, otwarty i pełen słońca. Ale było nam tam

dobrze. Wandzia śmiała się, biegała, bawiła mnie i siebie i w kwadrans umiała mnie tak ośmielić i rozruszać, że czułem się z nią swobodnym, jak z kolegą z Kremsmünster. Miałem to uczucie, że jestem jej potrzebny i miły, a dotąd — wiedziałem to dobrze — ani bardzo miłym, ani potrzebnym nie byłem nikomu. Kiedy na uwagę Angielki, że zbyt ze mną jest poufała, odpowiedziała z rodzajem oburzenia: »But he is my brother!« czułem, że mówi szczerze i że naprawdę jestem jej bratem. Przytem było w jej stosunku ze mną coś jakby macierzyńskiego, jakaś dziwna troskliwość o mnie, chęć podniesienia mnie we własnych oczach i w cudzych, nieustanne dodawanie mi pewności siebie i odwagi, którą traciłem tak łatwo, nieustanne czuwanie nademną, abym nie popełniał zwykłych mi towarzyskich błędów. Na przejażdżce wiedziałem, że ją będę miał przy sobie, ile razy moja łacińska konna jazda spłata mi figła; w towarzystwie byłem pewny, że jej zręczny i śmiały dowcip ochroni mnie od złośliwego języka kuzynów i wyratuje ze śmieszności, na jaką moja dystrakcja, niezgrabność lub naiwność narażała mnie tak często.

Odtąd cieszyłem się zawsze nadzieją spędzenia z Wandzią kilku dni co wakacyi i dnie te stały mi się najmilszymi w roku. Uważałem ją i ja za siostrę i nie miałem dla niej tajemnic. Pewny byłem, że każda rzecz obchodząca mnie zajmie ją, że każde moje uczucie i wrażenie znajdzie w jej sercu oddźwięk, i że ta ostra, złośliwa, niemiło-

sierna dla młodzieży panienka, której bali się jak ognia wszyscy moi kuzynkowie, choć po kolei każdy w niej się kochał, dla mnie będzie miała zawsze ciepły, promienny, pełen przywiązania uśmiech siostry.

Nie dziw też, że kiedy w ciągu pewnego roku szkolnego (jeśli się nie mylę, w siódmej klasie) odkryłem naraz w sobie miłość bezgraniczną do złotowłosej i trochę tylko piegowanej Lieschen, siostrzenicy oberżysty z pod Złotego Jelenia w Kremsmünster, pospieszyłem wypowiadać się Wandzi z tej miłości. Wszyscy starsi uczniowie benedyktyńskiego konwiktu, wymykający się na piwo do ustronnej, najlepiej przed profesorami ukrytej knajpy za miasteczkiem, kochali się w tej Lieschen. Ja na nią nie zwracałem wcale uwagi, dopóki koleżdy nie zaczęli mnie nią prześladować i ona sama nie zrobiła awansów »dem polnischen Grafen« (miałem najwięcej kieszonkowych pieniędzy ze wszystkich kolegów). Wówczas przejrzałem, przeczytałem w sercu wielkie słowo »miłość« i powiedziałem sobie: »Ta, albo żadna«. A ponieważ zdawałem sobie z tego sprawę, że mój stryj będzie cokolwiek odmiennego zdania, horoskop przyszłości rysował się przede mną w tragicznych kształtach wszelkich możliwych zgonów, jakimi od początku świata nieszczęśliwi kochankowie szukali połączenia w śmierci, nie mogąc go znaleźć w życiu.

Byłem oczywiście najmocniej przekonany, że w Wandzi znajdę powierniczkę pełną zrozumienia

i współczucia. Tymczasem zadziwiła mnie ona znowu i to bardziej, niż za pierwszym razem. Doszedłem właśnie do kulminacyjnego punktu liryki w mojem opowiadaniu i nie miałem jeszcze czasu zwrócić się ku tragicznym horoskopom (coby po części mogło być usprawiedliwić zachowanie się mojej kuzynki), kiedy naraz Wandzia zerwała się cała w ogień, z błyszczącemi oczyma i zaciśniętymi ustami.

— Głupi jesteś i ty i twoja Szwabka — syknęła ze złością. — Trzeba było przy niej pozostać i piwo z nią szynkować.

I naraz, ni stąd ni zowąd, rozplakała się i wybiegła z pokoju.

Co to miało znaczyć, nie rozumiem dotąd.

Pogodziliśmy się wprawdzie z Wandzią, choć nie mam pojęcia o tem, co ją rozgniewało; zrozumiałem to jednak, że nie ze wszystkich tajemnic mego serca należy się jej zwierzać. I odtąd nie mówiłem już jej ani o Lieschen, która zresztą tego samego roku wyszła za mąż za ogrodnika klasztornego, ani o czarnej Mariele, która zajęła jej miejsce przy ładzie i w mojem sercu.

Skończyłem wreszcie konwikt, pożegnałem poczciwych profesorów, a zwłaszcza nieocenionego ojca Willibalda, który mi zaszczyił zamiłowanie do archeologii, i wróciwszy do domu, nie zastałem Wandzi. Oddano ją dla dokończenia edukacyi do klasztoru. Pamiętam, jak dziś, co to było dla mnie za rozczarowanie. Zająłem się jednak czem innem

i zapomniałem. Przyszedł czas studyów uniwersyteckich: genialny Lipphardt przykuł mnie do swego archeologicznego rydwanu. Powoli zapomniałem o świecie całym. Nie dziw: zacząłem zbierać materiały do mojej »Bogini Astarte«.

Minęło kilka lat. Przebyłem je przeważnie za granicą. W krótkich odwiedzinach kraju nie spotykałem Wandzi, nie słyszałem nawet o niej. Przychodziła mi jednak na myśl przy pisaniu mego wielkiego, mego pierworodnego dzieła. Jakby ona doskonale umiała słuchać, jakbym z nią mógł swobodnie i gruntownie rozprawiać o wykopaliskach assyryjskich i o strojach Azteków! Chciałem jej nawet o tem pisać, ale za obszerny-by to było na list. Dałem pokój. Ona bodaj czy nie pisała do mnie parę razy, ale na pewno nie wiem. Nie pamiętam.

III.

Wróciłem właśnie z dłuższej naukowej wycieczki do Azji Mniejszej i wpadłem do Krakowa na sam początek karnawału, oczywiście nic o tem nie wiedząc. Stryjowi artretyzmy nie dawały się ruszać — nudził się i z nudów uroił sobie, żeby mnie ożenić. Ledwie się przywitałem, zapowiedział mi, że muszę wejść w świat, bywać na rautach i balach, że dość już kwasić się wśród pobitych czerepów i starych szpargałów, że trzeba przestać być dziwolągiem, mumią i mamutem, a zacząć być młodym i tak dalej.

Miałem wielką ochotę zawrócić się, zabrać nierozpakowane jeszcze kufry i uciec na kolej. Ale chowany byłem w tradycyjnym poszanowaniu rodzinnej władzy, a przytem nie ma co obwijać w bawełnę: stanowczość imponuje mi u innych tem bardziej, im mniej sam jej mam w charakterze. Zostałem więc, przeklinając losy, i wieczorem zamiast wyjmować z kufra i porządkować zeszyty i notaty archeologiczne, poszedłem na bal do Morskich.

Być nieśmiałym, niezgrabnym, krótkowidzem — i iść z tem na bal, to już dość złego. Iść z przymusu, klnąc i myśląc o rozkosznych wieczorze, jakiby się mogło spędzić w pantoflach, przy kominku, herbacie i Bogini Astarcie — jeszcze gorzej o wiele. Ale nie módz się wśród tej powodzi światła, kwiatów, perfum, brylantów i koronek wcisnąć w jakiś ciemny kącik; — być przedmiotem uwagi i uwag większej części towarzystwa, wyróżniających grzeczności jednych a zapewne cichych złośliwości drugich, to już męka nie do zniesienia. Ale cóż — trzeba było ją przebyć. Przez pół godziny cioście, kuzynki i przyjaciółki nieboszczki mojej matki rzucały mną jak piłką, robiły wiwisekcyę zewnętrznych i wewnętrznych moich przymiotów, powtarzały dysputy o podobieństwie mojem do tych lub innych członków rodziny i robiły niemożliwe pytania i uwagi co do moich podróży, studyów i planów na przyszłość. Wreszcie najgorsza ze wszystkich przyjaciółka babci podkomorzyny, równie cie-

kawa i gadatliwa jak głucha kanoniczka, pochwyciła mnie za rękę i poprowadziła do oranżeryi, jak ofiarę, zapowiadając obszerniejszą rozmowę, kiedy naraz jakiś traf szczęśliwy rzucił na nas całą falę gości, płynących z głównego salonu. Fala nas rozdzieliła i spocony, zziajany, ledwie przytomny, znalazłem się w jakimś buduarze.

— Uf! — wyjąknąłem, ocierając chustką czoło. — A to łaźnia!

— Cóż, wymknąłeś się Smokowi? — zaśmiał się ktoś za mną.

Obróciłem się i poznałem kuzyna mego, Gucia.

— Strzeż się, aby cię znów nie złapała — mówił dalej, ściskając mi rękę. — Od godziny wszystkie mamy i ciocie mówią o tobie. Jesteś przecie najlepszą partyą. Pewnie z dziesięć maryażów kroi się dla ciebie. Ale Smok, *vulgo* ciocia kanoniczka, ta jedna była bezinteresowna. Prezentowali cię księżniczce Matyldzie?

— Być może, nie wiem napewno.

— Ale cóż znowu: nie wiem napewno. O czemże będziesz wiedzieć? Przecież to podobno napięte dla ciebie przez stryja Augusta i księstwo Henryków, chyba że... ale to już od ciebie będzie zależało. Ależ księżniczkę widzieć musiałeś? Ta w srebrnej gazie z niezapominajkami. Uważałeś?

— Nie... nie pamiętam.

— Gadaj-że z nim! Ręcę, że cię prezentowali, aleś ty pewnie myślał wtedy o swoich foliantach. A kuzynkę Wandzię widziałeś?

— Jest tu?

— Czy jest? Od godziny siedzisz na balu, na którym ona jest królową — i pytasz. O *simplicitas* — a raczej o archeologio! Ledwie przyjechała, pytała się o ciebie. A ty...

— Gdzie jest?

Gucio włożył cwikier i zaczął się rozglądać po sali, podniósłszy portyereę.

— Tam jej niema — rzekł powoli i posunąwszy się parę kroków, rzucił okiem na sąsiedni salon. Za chwilę był przy mnie.

— Jest, wyszła do oranżeryi — rzekł. — Idź do niej i przywitaj się. Byle to tylko nie zaszkodziło projektom księżnej Henrykowej — dodał, śmiejąc się.

W końcu oszklonej galeryi, pełnej palm, kamealii kwitnących i odorzającej woni hyacyntów stała młoda kobieta cała w bieli, z gwiazdą brylantową we włosach. Kilku mężczyzn otaczało ją, zdawała się ich nie słuchać. Oczy miała schylone na bukiet z parmeńskich fiołków, które jedne po drugich obrywała trzonkiem od wachlarza.

— Przyrowadzam kuzynce zgubę, — ozwał się, wchodząc do oranżeryi Guccio. — Wyobraź sobie, Tadzio nie wiedział, że tu jesteś.

Młoda kobieta drgnęła i fiołki posypały się deszczem na posadzkę.

— Co za szkoda, — ozwał się jeden z mężczyzn, pochylając się lekko ku jej dłoni; — złamała pani wachlarz.

— Prawda, — rzekł Guccio, weiskając głowę ponad jego ramię, — taki śliczny wachlarz. Patrz, Tadiusi, coś ty narobił.

— Ja? — wyjąknąłem zmieszany do najwyższego stopnia, — skądże ja?

Ale kuzynka Wandzia podeszła do mnie w tej chwili i rękę oparła mi na ramieniu.

— Jak się masz, Tadiusi! — rzekła — przejdźmy się trochę. Opowiesz mi coś przecie o sobie.

W pierwszej chwili nie mogłem się na to zdobyć. Byłaż to naprawdę ona, ta Wandzia, z którą bawiliśmy się w Robinsona, której później opowiadałem moje przygody w konwikcie? Ona, ta królewska piękność, przed którą pospiesznie rozstępowały się tłumy, za którą gonił szmer podziwu?

Ale tak — to była Wandzia. Olśniewająca i majestatyczna z pozoru, to prawda, ale taka, jak dawniej spokojna i dobra. Jedna chwila wystarczyła, aby mnie o tem przekonać. I oto siedzieliśmy w kącie na niskim szezlongu osłoniętym dokoła pomarańczowemi drzewami, ona słuchała mnie po staremu ze swym łagodnym, zachęcającym uśmiechem, a ja opowiadałem jej — o Bogini Astarcie i jej znaczeniu w mitologii porównawczej.

Przerywano nam dość często: nie zwracaliśmy uwagi. Słyszałem parę razy jakieś przypomnienia i dopominania się tańców, ufryzowane głowy z symetrycznym rozdziałem po środku pochylały się kilka razy nad nami i zawsze z naszej kanapki

szła ta sama, jednostajnie grzeczna i chłodna odpowiedź.

— Przepraszam najmocniej. Zmęczona jestem. Nie będę tańczyć z nikim.

Noc zeszła mi, jak we śnie. Ach, bo nikt tak nie umiał słuchać o fenickiej archeologii, jak ona! Wreszcie zaczęto się rozjeżdżać. Wandzia podniosła się, szepnęła mi, ściskając moją rękę: do jutra, prawda? — i popłynęła przez salony. Stałem trochę zmieszany jak zwykle, nie bardzo wiedząc, co mam z sobą zrobić. Nagle ktoś mnie uderzył po ramieniu. Obróciłem się: oczywiście Guccio.

— No wiesz, wiesz, — zaśmiał się. — Ale przynajmniej odkupże jej wachlarz.

— Cóż znowu? Dajże mi pokój z tym wachlarzem.

— No, no, w czepku się rodziłeś. Ale że księżna Henrykowa będzie zła, to będzie.

IV.

Poszedłem nazajutrz do Wandzi, jak jej obiecałem. Ciągnęło mnie tam zresztą. Pilno mi było pokazać jej najciekawsze przedmioty, przywiezione z Pamfilii i Fenicyi i umówić się, kiedy zacznę jej czytać moją Astarte. Miałem już, pamiętam, trzy pierwsze tomy gotowe.

Moja kuzynka zajmowała cały pałacyk na Plantach, urządzony bardzo wykwintnie. Dowiedziałem się później, że była tam wśród panien pod względem majątkowym, czem ja wśród kawalerów, po-

dobno nawet szala jej przeważała parę razy moją, mimo, że Boratycze warte milion. Babcia podkomorzyna zapisała jej wszystko. Ale zdaje mi się, że jej to było równie obojętne jak mnie, którego zapis ominął. Wśród wspanialszych niż przedtem ram, ona sama o tyle wspanialsza i piękniejsza, była przecie dawną, poczciwą Wandzią. Wstała na moje przyjęcie i podała mi obie ręce.

— Poczciwy braciszku, rzekła. Jak dobrze, żeś przyszedł. Wczoraj w tym gwarze i ścisku tak mi źle było spotykać się z tobą po tylu, tylu latach.

Teraz nikt nam nie przeszkadzał. Miss Thompson spoczywała w grobie dzięki nadmiernej ilości spożytych naraz brzoskwiń. Stara zbankrutowana hrabina, zajmująca jej miejsce, pojmowała rolę swą całkiem biernie: robiła w milczeniu siatkę. A my gawędziliśmy.

Jakkolwiek uniwersytet od dawna skończyłem i nie byłem już młodzikiem, karnawał ten był niejako pierwszym moim występem w wielkim świecie, od którego dotąd udawało mi się wymykać. Musiałem składać wizyty, bywać w teatrze, który mnie nudził, i na balach, które mnie wprost zabiły. Jedyłą pociechą dla mnie była myśl, że znajdę i tu i tam Wandzię i że rozmawiając z nią, zapomnę o tem, co się dzieć będzie na scenie i w balowej sali.

Powiedziałem to jej raz. Siedzieliśmy o szarej godzinie w małym pokoiku u niej. Hrabina poszła na nieszpory. Światła jeszcze nie podali, tylko

poza wielkim salonem, przez drzwi otwarte, widać było lampę w jadalni, w której nakrywano do obiadu.

Ona przez chwilę milczała.

— Więc naprawdę jestem ci na coś potrzebna? — szepnęła wreszcie. — A ja myślałam inaczej. Tak długo nie dawałeś znaku życia, nie odpisywałeś mi... tyle lat. Zdawało mi się, żeś zapomniał zupełnie.

Zacząłem się usprawiedliwiać. Przerwała mi, kładąc rękę na mojem ramieniu.

— Ale dajże pokój, Tadiusi mój. Na myśl mi nie przyszło cię obwiniać. Czyż nie wiem, jak byłeś zajęty, jak czas twój drogi? I cóż zresztą korespondencya ze mną, rozumiejącą tak mało, mogła ci ciekawego przynieść?

— Ależ nie, owszem. Właśnie, że miałem zamiar pisać do ciebie, zbierałem się na bardzo długi list i dlatego bodaj nie napisałem. Odkładałem z dnia na dzień i tak jakoś zeszło.

Poruszyła się.

— Doprawdy — rzekła — nie żartujesz?

— Cóż znowu? Chciałem ci opisać cały plan mojej Astarty.

— A — tak!

— Nie uwierzysz, jaką ty masz zdolność do archeologii, jak ją rozumiesz, jak umiesz słuchać o niej! Między fachowymi archeologami nikogo równego tobie nie spotkałem. I skąd się to tobie wzięło?

— Dobry z ciebie nauczyciel, mój Tadius — odparła, śmiejąc się cicho. — Zresztą, — dodała poważniej — czyż nie wiesz o tem, że jeśli kogoś... że jeśli ktoś nas obchodzi bliżej, nie może nam być obojętne to, co mu jest blizkie i drogie. A cóż dla ciebie bliższe i droższe na świecie od archeologii?

— Pewnie, że nic, — odrzekłem z przekonaniem.

Rozmowa urwała się jakoś. Po chwili milczenia Wandzia zwróciła ją na inny przedmiot. Ale zbyt mi ciążyła na sercu wdzięczność dla mej kuzynki, abym do przerwane go wątku nie wrócił.

— Czy wiesz, Wandziu, — rzekłem — że mnie wprost przestrasza stosunek mój do ciebie?

Smuga światła płynąca po posadzce z jadalni przez ciemny salon do buduaru rzucała błądy odbłask na fotel, na którym siedziała Wandzia. Odsunęła go w głąb pokoju niezwykle u niej szybkim i nerwowym ruchem i dopiero wtedy odpowiedziała mi.

— Dlaczego tak myślisz?

— Bo za wiele miejsca zajmujesz w moich myślach, w moich uczuciach, w całym moim życiu. Stałaś mi się potrzebą życia i nie wyobrażam sobie jak teraz bez ciebie potrafiłbym istnieć, obracać się w świecie, pracować.

— Tyle lat dawałeś sobie rady przecie.

— Bo ciebie nie spotkałem, przynajmniej taką, jaką dziś jesteś. Ale teraz... Nie, wierzaj mi, strach

mnie wprost przejmuje na myśl, że prędzej czy później stosunek nasz się zmieni, że ciebie stracę.

— Dlaczego stosunek nasz miałby się zmienić? — szepnęła cicho.

— Dlaczego? Ależ dla bardzo prostej przyczyny. Wczoraj jeszcze Gucio mi mówił, że masz pół tuzina starających się, i dawał mi do zrozumienia, że zrobiłaś już wybór. Mówił nawet, że tego, kogo wybrałaś, znam doskonale, choć ja, otwarcie powiem, nie domyślałam się wcale, kto to może być. A może mi powiesz?

Wandzia milczała przez chwilę, wreszcie odpowiedziała jakimś zduszonym głosem, jakby jej brakowało oddechu.

— Gucio, jak zwykle, pozwolił sobie niemądrych żartów. Nie powinienes być brać tego na seryo.

— I mnie się też tak zdawało. Cieszę się, że ci o tem wspomniałem i dowiedziałem się prawdy, bo mi kamień z serca spadł. Ale co nie jest dziś, może być jutro. Wyjdiesz za mąż, a ja...

— Ależ ja wcale nie mam zamiaru wychodzić za mąż...

— A przecież możesz wyjść, a wtedy komuż ja będę czytał moje archeologiczne prace, kto ich zechce słuchać, jak ty słuchasz?

Wstała i podeszła zwolna do mnie, potem zaś jak dawniej, kiedy skarżyłem się na różne niedole konwiktu, oparła się jedną ręką o poręcz mego krzesła, a drugą lekko przesuwając mi po włosach, odgarniając je z czoła.

— Bądź spokojny, Tadius — rzekła powoli — ja nie wyjdę za mąż. Będę ci zawsze siostrą dobrą, gotową ci osładzać smutki, krzepić ducha i... słuchać dziejów Bogini Astarty.

Służący wniósł kandelabry do salonu i lampę do buduaru. Wstałem i wziąłem do ręki zeszyt otwarty, leżący na stosie całym innych.

— Stanęliśmy właśnie na rozdziale osiemnastym czwartym, — rzekłem, przeglądając zapisane arkusze.

— Nie, odłóżmy to na wieczór, — rzekła cicho, siadając w ciemnym kącie saloniku, napół ukryta za ekranem lakowym. — Obiad będzie za chwilę, szkoda byłoby przerywać. Przeczytaj mi lepiej coś ze Słowackiego. Masz go pod ręką na stole, obok twoich manuskryptów.

Wyznaję, że nie lubię poezji, która niepotrzebnie ludziom zabiera czas, dający się daleko pożyteczniej użyć. Proszę tylko pomyśleć: gdyby Słowacki skierował talent swój i prace ku archeologii! O ile więcej pociechy miałyby z niego ojczyzna, o ile więcej korzyści nauka! Ale kto ma tyle, jak Wandzia, uczucia i zrozumienia dla mitologii porównawczej, temu słabostkę dla Słowackiego można wybaczyć.

Odsunąłem więc z tłumionem westchnieniem rękopis i otworzyłem mały tomik w eleganckiej oprawie. Trafiłem na Anhellego.

Hrabina nie wracała — byliśmy sami. W domu cicho było i pusto, z zewnątrz, od Plant przycho-

dziły rzadkie odgłosy miejskiego ruchu i gwaru, dalekie turkoty powozów, zwrotka pieśni nuconej przez rzemieślników, wracających z roboty i smętny, przeciągły jęk wiosennego wiatru, wstrząsającego gałęzie drzew w pobliżu. Wandzia siedziała nieruchoma, z twarzą ukrytą w dłoniach.

Przyszedłem wreszcie w czytaniu do Ellenai i do jej rozstania z Anhellim i z życiem.

»Obróciwszy ku Anhellemu oczy zalane łzami wielkimi, rzekła Ellenai: Umiłowałam ciebie, bracie mój, i opuszczam.

»A powiedziawszy, gdzie ją miał pochować, że pod sosną, która była w smutnym parowie, rzekła: Czemże ja będę po śmierci?

»Oto chciałabym być jaką rzeczą żyjącą przy tobie, Anhelli, pajączkiem nawet, który jest miły więźniowi i schodzi jeść z jego ręki po złotym promyku słonecznym.

»Jam się przywiązała do ciebie jak siostra, i jak matka twoja, i więcej jeszcze«...

W tem miejscu musiałem przerwać. Z za ekranu, za którym siedziała Wandzia, wychodziło łkanie tłumione, wrywające się rozpaczliwie z piersi i ust.

Podbiegłem do niej. Siedziała skulona, pochylając się naprzód spazmatycznym drganiem i starając się chustką zdusić łkanie.

— Wandziu, — zawołałem przestraszony, — co tobie?

Mocowała się przez chwilę z sobą. Wreszcie

otarła oczy nerwowym ruchem i próbowała się uśmiechnąć.

— Nic to, — szepnęła. — Nerwy kobiece. Nie zwracaj uwagi. Czytajmy dalej.

Ale ja już postanowiłem Słowackiego jej nie czytać.

V.

Stryj August leżał z obandażowanymi nogami przy kominku, na którym mimo ciepłego kwietniowego słońca palił się wielki ogień. Aksamitny szlafrok zapięty był na wszystkie guziki, krawatka związana w nieposzlakowany węzeł na śnieżnym gorsie koszuli. Na stoliku nie było żadnej flaszeczki z lekarstwem ani pudełka z proszkami, tylko świeże książki i dzienniki, kilka cacek salonowych i parę wazonów z kwiatami. W tym pokoju chorego, który od roku nie podnosił się z mechanicznego fotelu, wszystko lśniło się od elegancji i wielkoświatowego zbytku. Nawet w ciężkiej chorobie stryj był tem, czem zawsze — gentlemanem.

Kiedy wszedłem, wskazał mi fotel naprzeciw siebie, potem odchrząknął i otworzywszy złotą bonbonierkę, dostał z niej dwie pastylki. Był to nieomylny znak, że konferencja trwać będzie dłużej.

— Oho, małżeństwo moje jest na porządku dziennym, — pomyślałem.

Nie myliłem się.

— Masz lat dwadzieścia sześć, kochany Tadius, od lat pięciu skończyłeś studia...

Było to zwykle zagajenie tego rodzaju przemów. Stryj był wielce systematyczny i zwyczajów nie zmieniał. Wiedziałem z doświadczenia, że wstęp potrwa dziesięć minut, potem przyjdzie argumentacja, mogąca dociągnąć do pół godziny i że przed jej ukończeniem wszelkie uwagi i argumenta z mojej strony nie są dopuszczalne.

Zapaliłem papierosa, którego rezerwuję sobie na takie uroczyste chwile dla utrzymania jasności umysłu, bo zwykle nie palę — i słuchałem cierpliwie. Po kwadransie nastąpiło to, co przewidywałem z góry. Dowiódłszy mi jak dwa a dwa cztery, że żenić się muszę i to żenić prędko, stryj wysunął naprzód kandydaturę matrymonialną księżniczki Matyldy.

Panna była przystojna, miła, dobra itd., jak wszystkie zresztą panny, któremi mnie traktowano. Posag nie był wielki, prawda, ale sytuacja towarzyska niepospolita, splendor imienia, koligacye. »Sam wiesz przecie: tytułu nie mamy. Odrzuciliśmy go niemądrze i niepotrzebnie, gdy go ofiarowywano po rozbiorze, potem, gdy synowie naszych podstarościch pozostawali barónami i hrabiami, starać się nie wypadało, przytem i twój ojciec i ja ciągle chorzy, nie mogliśmy wziąć udziału w życiu publicznem, pchnąć się naprzód — i trochę zapomniano o nas. Rodziną naszą zesła z pola. Alians z księżętami i to takimi, podniesie ją. A przytem są w tem małżeństwie warunki szczęścia dla ciebie«.

Mówił w ten sposób jeszcze kwadrans, przekonywająco, ale bardzo spokojnie. Uderzyło mnie nawet, że spokojniej i obojętniej, niż zwykle. Zdało się, jakby spełniał obowiązek, nie wkładając w to serca.

Skończył nareszcie i znów otworzył bonbonierkę. Był to znak, że mogę odpowiadać.

Odpowiedziałem krótko, że wszystkie uwagi stryja uznaję za słuszne, ale z księżniczką żenić się nie mogę, bo mi się nie podoba.

Ku memu wielkiemu zdziwieniu, przyjął tę odpowiedź, jakby był na nią przygotowany. Zrobił kilka zarzutów pobieżnie, obojętnie prawie, żeby się zbyć, wreszcie podniósł na mnie swe stalowe oczy z zapytaniem:

— Więc może masz kogo innego na myśli?

— Nie mam nikogo.

Popatrzał na mnie chwilę zimnym swym, przenikliwym wzrokiem.

— Ani nawet Wandzi? — spytał wreszcie powoli.

— Wandzi?

Nie mogłem przez chwilę myśli zebrać. Ostąpiłem poprostu. Żebym ja miał wobec Wandzi występować w roli konkurenta? Ja i ona? I coś podobnego mogło przyjść komuś na myśl!

— Powiedz szczerze — indagował dalej stryj — nie myślałeś o niej?

— Ależ stryju — wybąknąłem wreszcie; — my z Wandzią jesteśmy jakby rodzeństwo!

Stary poruszył się niecierpliwie w fotelu.

— Co za głupstwa gadasz, — wybuchnął; — nieboszczka Aniela była przyrodną siostrą twojej matki. Piękne mi rodzeństwo. A zresztą od czegoż są dyspensy? Przytem, powiem ci otwarcie, byłaby to dla ciebie lepsza partya od księżniczki, o wiele lepsza. Jeśli z tamtą wyszedłem naprzód, to dlatego tylko, że miałem wobec Henryków, hm, pewne zobowiązania, *par acquit de conscience*, rozumiesz. Ale nie oczekiwałem rezultatu. Wiem przecie co się dzieje, słyszę o Wandzi i o tobie...

— Zaręczam stryjowi, że ani Wandzi, ani mnie nie powstało w głowie...

Ruszył ramionami z coraz większą niecierpliwością.

— Nie bądź-że dzieckiem i nie graj ze mną komedyi... Toż całe miasto mówi o was i o tem, że jesteście sobą zajęci. Ty asystujesz jej ciągle i nie wychodzisz od niej, ona tańczyć przestała dlatego, bo ty nie umiesz.

— Ależ przysięgam mój stryju, że między nami niema nic podobnego... że jeśli bywam, to dlatego, że czytam Wandzi moją Boginię Astarte, z której stryj żartuje zawsze, a na której ona umiała się poznać.

Stryj zaśmiał się.

— Nie jestem ja doktorem filozofii — rzekł — i nie wiem, jak wy młodzi w waszem uczonej pokoleniu odbywacie konkury. Może teraz taka moda, żeby to robić za pomocą nudnych szparga-

łów. Ale co Wandzia, to ta chyba lepiej się poznała na autorze Astarty, niż na Astartcie samej.

Czułem, że należy raz wyprowadzić mego stryja z dziwnych uprzedzeń, w jakich się znajdował.

— Żeby stryja przekonać, jak się myli i jak odmiennym jest stosunek mój z Wandzią, powtórzę stryjowi to, co przed kilku dniami jeszcze z ust jej słyszałem.

Stryj podniósł na mnie znów pytający wzrok swój.

— Wandzia zapewniła mnie, — mówiłem dalej powoli, uroczystym tonem, — że nigdy za nikogo za mąż nie pójdzie.

Stryj poruszył się tak silnie, że aż noga mu się uraziła i jęknął z bólu.

— Nie może być — rzekł wreszcie. — Przesłyszało ci się. Nie rozumiałeś.

— Proszę spytać jej samej.

— Ależ ja wiem, mam dowody, a przynajmniej poszlaki... Nie, to niemożliwe.

Powtórzyłem mu naszą ostatnią rozmowę. Ruszał ramionami, uśmiechał się ironicznie, a potem rwał gniewnie siwe faworyty.

— Nie rozumiem ja was, — szepnął wkońcu. — *Vous cherchez midi à quatorze heures*, — a tak byłoby łatwo...

Nie mówiliśmy o tem więcej tego wieczora. Kilka razy tylko uważałem, kiedy zrobiła się pauza w rozmowie, że stryj podnosił oczy na mnie, wzdychał zcicha i ruszał ramionami.

W parę dni potem był raut u księstwa Hen-

ryków, na którym stryj kazał mi być koniecznie właśnie dlatego, że układy matrymonialne nie przyszły do skutku. Wandzi nie było, wymówiła się zmęczeniem, co, jak uważałem, zdarzało się jej coraz częściej. Tem nudniejszą była dla mnie ta pańszczyzna.

Stałem na boku i przysłuchiwałem się muzyce, zakryty wielką wachlarzową palmą. Naraz nazwisko Wandzi obito się o moje uszy.

Oglądałem się. Trzech młodych ludzi, rozwalonych na ottomanie, paliło papierosy, prowadząc głośną i ożywioną rozmowę.

— Bo proszę was, co ona w nim mogła znaleźć? — kończył ten sam, który wymienił nazwisko Wandzi. — Ona śliczna, rozumna, pełna życia, istne słońce wśród naszych gwiazd wielkoświatowych, a on, ten mól książkowy...

Zacząłem słuchać uważnie. Czy może przypadkiem o mnie była mowa? I znów w połączeniu z nią?

— O to słońce bodaj opaliłeś sobie skrzydła, mój Fredziu, — ozwał się drugi; — dlatego taki zły jesteś i surowy w sądzie.

— Jeśli opaliłem skrzydła, to chyba w dobrym towarzystwie. Przyznajcie sami, komu z was ona nie zawróciła głowy?

— Nie mnie...

— Zapewne, bo odkąd twoje serce wzięła w arendę Fanny, poza cyrkiem i woltami swej wybranej nie miałeś oczu na nic.

— Mniejsza z tem, — zaczął trzeci, zachowujący dotąd milczenie. — Podobała się moja piękna kuzynka Fredziowi, podobała się i mnie. Ale pal dyabli, głowy sobie nie rozbiłem i nie rozbiję, przekonawszy się, że z tej mąki chleba nie będzie. Toż prosta rzecz, że za wszystkich nas nie mogła wyjść razem. Gdyby jednak zrobiła rozsądny, możliwy wybór! Nie byłoby choć żal. Ale pomyśleć sobie, że mając tylu nas, zawróciła sobie głowę tym niezdarą...

— Co to niezdarą: powiedz skończonym głupcem, idyotą.

Odetchnąłem z pewnem uspokojeniem. Oczywiście nie chodziło o mnie, skoro wybranego Wandzi nazywali idyotą. Ale któż to mógł być? Zachodziłem w głowę daremno. I zrobiło mi się bardzo przykro. Więc ona, moja mądra, dobra siostrzyczka, byłaby w stanie tak źle umieścić swe uczucie?

Kilka razy w następnych dniach będąc u Wandzi próbowałem zwrócić na to rozmowę. Robiłem aluzye bardzo wyraźne. Nie pomogło. Śmiała się, przerywała mi lub obracała słowa moje w żart. Nic się nie dowiedziałem.

Tak minął zielony karnawał, nudniejszy od białego, bo umartwienia balów, koncertów, rautów, skomplikowały się trudniejszą jeszcze do zniesienia przykrością, jaką dla mnie było słuchanie rozmów i dysput o turfie, koniach, dzokiejach, zakładach. Wyrwałem się z tego piekła i uciekłem na wieś. Wandzia wyjechała do wód.

Spotkałem się z nią dopiero w jesieni. Wody nie posłużyły jej. Była bledszą, niż zwykle i cokolwiek mniej ożywioną i wesołą.

W kilka dni po moim przyjeździe chodziliśmy razem nad wieczorem długą kasztanową aleją, ciągnącą się w głębi szydłowieckiego parku ponad stawem. Słońce zachodziło czerwone, luną jaskrawą barwiąc wodę. Od lasu załatywał ciepły, wilgotny powiew — i pachło mokrą zielenią. W polu śpiewały, zawodząc, dziewczęta kończące żniwo i turkotały głucho wozy obładowane snopami.

Mówiliśmy o obojętnych rzeczach, ale rozmowa się rwała. Kilka razy zaczynałem mówić o kobietach w Fenicyi i Kartaginie (zbierałem właśnie materiały do dzieła, które w dwa lata potem wyszło u Brockhousa), ale wbrew zwyczajowi moja kuzynka nie zdawała się tem interesować. Posądzam ją, że nawet nie słyszała mnie. Odpowiadała półsłówkami, nie do rzeczy, zamyślona dziwnie. Kiedy wreszcie podrażniony tem zamilkłem, szliśmy obok siebie dość długo, nic nie mówiąc i patrząc w ziemię.

— Czy wiesz, Tadius, — rzekła wreszcie cichym głosem, nie podnosząc oczu, — że pan Mściśław oświadczył się w Kissingen o moją rękę?

— Hrabia Mściśław? — powtórzyłem zdumiony, — największy magnat w Galicyi i najświetniejsza partya w całej Polsce. Ależ to nadzwyczajne! Mówiono, że żeni się z Branicką?

— Zdaje się, że nie, jak na teraz przynajmniej.

Nie odstępował nas przez cały czas pobytu w Kissingen, przed wyjazdem zaś...

— A ty cóż odpowiedziałaś mu? — przerwałem niespokojnie, — czy go przyjęłaś?

Spojrzała na mnie szeroko rozwartymi oczyma, które nie wiem czemu wydały mi się w tej chwili bardzo smutne.

— A ja mu... odmówiłam — rzekła powoli.

— Bój się Boga, — zawołałem przerażony, — ależ to szaleństwo! Drugiej partyi takiej nie znajdziesz! To był dla ciebie wielki los!

— Być może, — szepnęła, — ale cóż, kiedy mi do tego wielkiego losu nie tęskno!

→ Może nie wiesz, kto jest Mściśław? Mniejsza, że bogaty, jak nikt u nas, że piękny, że wykształcony, jak mało kto, ale to charakter czysty jak łąza, a dzielny, jakby w marmurze kuty. Znam go przecie od lat tyłu, słyszę o nim tyle. Spytaj zresztą kogo chcesz o niego.

Szła koło mnie ze spuszczoną nisko głową.

— Być może, — szepnęła — ciotka Felicya powtarzała mi to słowo w słowo, i wuj Wiktor, i Marynia, i Lola. Przez sześć tygodni rano i wieczorem nie słyszałam nic innego.

— I pomimo tego odmówiłaś?

— Odmówiłam... Ale uspokój się. Pan Mściśław udał się do ciotki Felicyi, jako najbliższej krewnej, a ona wzięła mnie w istne obłączenie i wymogła...

— Że przyrzekłaś?

— Nie, ale... że decyzję odroczę.

— Na długo?

Podniosła na mnie znowu oczy swoje, te śliczne, ogromne modre oczy, głębokie i lśniące, jak morze. I znów zdało mi się, że kryje się w nich jakaś skarga, jakiś smutek bezbrzeżny, choć cichy.

— Dopóki nie zobaczę się z tobą i... nie zapytam cię o zdanie.

Głos jej głuchy był jakiś i bezdźwięczny. Ale nie zwróciłem na to uwagi, uradowany tem, co powiedziała.

— Poczciwa siostrzyczko, — zawołałem, ściskając jej rękę, — myślałaś o mnie, nie chciałaś sobą rozporządzać bezemnie! Dziękuję ci, dziękuję z serca. Wielki to wprawdzie obowiązek i trudna odpowiedź.

— Nie dawaj jej odrazu, — przerwała szybko, — rozważ, namyśl się...

— Ale cóż tu się namyslać, — zawołałem — byłbym szaleńcem, gdybym ci dał inną odpowiedź, jak...

Znów mi przerwała słabym, jakby zmęczonym głosem.

— Proszę cię, czekaj jeszcze. Nie odpowiadaj mi — do jutra przynajmniej. I pomyśl, nim odpowiesz...

Zatrzymała się przez chwilę i zdało mi się, jakby się mocowała z sobą.

— Pomyśl sobie, co z tobą będzie, Tadziu, — kończyła szeptem prawie, jakby słowa nie chciały jej przecisnąć się przez gardło. — Przypomnij sobie, coś sam mi kiedyś mówił, że się tak boisz

mego... mego zameżcia, że ono cię zrobi samotnym i smutnym na świecie. Przypomnij sobie, jak się cieszyłeś, gdy ci powiedziałam, że nikim... nikim z tych, o których myślałeś, nie jestem zajęta, że za mąż nie wyjdę i po staremu będę ci dobrą, wierną siostrzyczką...

— Ależ to zupełnie co innego, — zawołałem, zapalając się własnymi słowami — Mściśław nie jest wcale jednym z tych salonowych fircyków, jak ci, co się starali o ciebie w Krakowie... Byłbym niepoczciwym egoistą, gdybym cię chciał takiego męża pozbawiać.

— Nie spytałeś mnie, czy go kocham, czy go kochać potrafię?

— Ale potrafisz z pewnością. Wierz mi, ma on wszystko, co może wzbudzić miłość. A zwłaszcza... Bo najważniejszego jego przymiotu zapomniałem ci wymienić.

— A tym jest?

— Archeologia, wyobraź sobie, archeologia! I to assyryjska, fenicka, kartagińska — akurat to samo, co jest moją specjalnością. I w dodatku ten człowiek nie wchodzi mi w drogę, owszem pomaga. Czyż zapomniałaś, że jeździł ze mną do Tarsu i Tyru? Że razem ze mną robił wykopaliska w Pamfilii i Syrii? Prawda, że głównie z zamiłowania sztuki a może i wrażeń turysty. Prawda, że jest raczej amatorem, niż uczonym, ale przecież rozumie się, interesuje... O Astarcie napisał artykuł w *Przeglądzie* — jedyną krytykę mającą wartość,

...COTERA

ORZĘDZ. TOW. WZAJ. UB. w KRAKOWIE

SEKOJA IV.

jaka dotąd się pojawiła. Wydając cię za niego, nie tracę cię wcale...

Układałem już sobie w myśli — jak będę moją »Niewiastę fenicką« czytać im dwojgu — jak z nimi razem będziemy urządzać archeologiczne wyprawy i zbierać wspólnie wykopaliska.

Doprawdy, ślicznie-by to było. Nie traciłbym Wandzi, gdyby wyszła za Mścisława — owszem — zbliżyłbym się lepiej do tego ostatniego, a to wyszło-by niewątpliwie na dobre moim pracom.

Mówiłem w tym sensie dość długo. Ona nie odpowiadała mi nic i nie podnosiła oczu. Byłem pewny, że ją przekonałem. Poszedłem spać w różowym humorze i śniło mi się, że we troje odkopujemy wśród ruin Kartaginy skarb królowej Dydony, wobec którego odkrycia Schliemana są dziecinną igraszką.

Nazajutrz rano służący, przynosząc śniadanie do mego pokoju, — oddał mi bilecik od Wandzi.

»Piszę do ciebie, żeby cię zawiadomić o mojej ostatecznej decyzji we wiadomej sprawie. Wysłałam w tej chwili posłańca do hrabiego z odpowiedzią stanowczą — odmowną. Wybacz mi — argumenta twoje choć tak wymowne, nie przekonały mnie. Będziesz musiał po staremu zadawałniać się jedną słuchaczką prac twoich. Proszę cię, nie wspominać o tym przedmiocie. Poco tem psuć nasze gawędy, skoro zdania nasze się różnią? Dlatego piszę ci o tem«.

I proszę mi powiedzieć, czy nie mam racyi

w mojem zdaniu o kuzynce Wandzi i czy nie słusznie twierdzą, że znając kobiety tak dobrze jak je znam, a ją lepiej chyba od innych kobiet, przecież czasami przyznać muszę, że jej nie znam, że jej nie rozumiem?...

VI.

Dwie godziny temu przyjechała do mnie moja kuzynka z pożegnaniem. W tej chwili wracam z przedpokoju i przez okno widzę jeszcze zdaleka, na gościńcu jej kabriolet i siwki, niknące w kurzawie. Rozstajemy się na czas dłuższy. Towarzystwo wielkiej naukowej wyprawy, jaką urządzam do środkowej i południowej Ameryki w celu zebrania materiałów do pomnikowego dzieła »O wpływach Fenicyan na kulturę Azteków i Inkasów«, są już w Londynie lub czekają na mnie w Wiedniu. Wyjeżdżam tam dziś wieczorem, a wrócę... Wyprawa obliczona jest na trzy lata, ale trwać może cztery, pięć... któż wie?

I oto uściskałem ręce mojej poczciwej siostrzyczki, patrzyłem na łzy jej, dwoma cichymi strumieniami płynące, słyszałem ostatnie: »Bóg niech cię prowadzi i przyprowadzi, braciszku! I to wszystko może po raz... Ona była taka blada, taka przezroczyta, tak od jakiegoś czasu słania się chodząc i zdaje się, jakby topniała w oczach. Czyżby broń Boże... Ale nie. Nie myślmymy o smutnych rzeczach i nie psujmy sobie pierwszych wrażeń po-

dróży, od lat tylu upragnionej, wymarzonej, wciąż odkładanej aż dotąd!

Nie wiem czemu jednak nie mogę o niej myśleć, cieszyć się nią. Wandzia stoi mi wciąż w oczach, słowa jej ostatnie brzmią w uszach bez ustanku.

Kiedy wczoraj wieczorem żegnałem się z nią na tarasie sztylówieckiego pałacu zeszła na dół aż do powozu i ściskając mi rękę ostatecznie raz, szepnęła mi:

— Do widzenia. Jeszcze do widzenia przed wyjazdem, Tadziu. Ja tam jutro na chwilkę do Boratycz wpadnę, żeby... żeby ci dać krzyżyk ostatni na drogę.

Przyjechała. Zaprowadziłem ją zaraz do lewego pawilonu, w którym się mieszczą moje archeologiczne zbiory. Zostawiam je pod jej opieką i chciałem dać jej na wyjeździe kilka wskazówek, o których przedtem zapomniałem. Ona słuchała mnie w milczeniu, z oczyma spuszczone i z zaciśniętymi nerwowo ustami.

— Tadziu, — rzekła naraz, kładąc mi rękę na dłoni — to wszystko, co mówisz i co chcesz powiedzieć, słyszałam od ciebie wiele razy. I wierz mi, słuchałam uważnie, pamiętam dokładnie. Nad twymi zbiorami, które tak kochasz, będę czuwała dniem i nocą, dlatego, boś w to serce swe włożył, bo one są częścią duszy twojej, czemś, co mnie łączyć będzie z tobą, gdy ty będziesz daleko. Oko moje, myśl moja będą tu ciągle, póki starczy sił

i życia. Nie bój się więc. I... nie mów dziś o tem. Dziś chciałabym, abyś do mnie należał, abym o tobie tylko mogła myśleć i mówić.

Przerwała i oddychała ciężko, trzymając się ręką alabastrowej kolumny, przywieszonej z Balbeku. Spojrzałem na nią i przeraziłem się.

— Wandziu, ty chora jesteś! — zawołałem.

Była bardzo blada, prawie tak blada i przezroczysta, jak alabaster, o który opierała się ciężko. Przypatrzyłem się jej wtedy po raz pierwszy uważniej i przeraziłem się jeszcze bardziej. Co się stało z tej królewskiej piękności, przed którą dziesięć lat temu klęczał cały Kraków! Cień został ledwie, jeszcze idealnie piękny, ale jakiś nieziemski, wyzuty niemal z ciała jak anioły Fra Angelica, i z pasmami srebrnych nici wśród bujnych, ciemnych warkoczy.

I wtedy przyszło mi na myśl, że może wróciwszy, nie zastanę jej już, że może zamkną się na zawsze, nim wrócę, te oczy patrzące na mnie, odkąd je pamiętam, tak słodko, pełne cichego a tak gorącego dla mnie uczucia. I zrobiło mi się straszno i przykro, prawie tak straszno i tak przykro, jak wtedy, gdy skarb bez ceny, perła moich azyatyckich wykopalisk, statua bogini Astarty rozbiła się na kawałki w Tryeście przy wypakowywaniu jej z okrętu.

— Wandziu moja, — jęknąłem, otaczając jej wątłą i nikłą postać ramieniem — Wandziu moja najdroższa, jedyna!

Przytuliła się do mnie i biedną swą główkę

oparła mi na piersiach, jak zmęczona śmiertelnie ptaszyna.

— Już mi dobrze, — szepnęła bardzo cicho — nie bój się, już przeszło.

Ale nie przeszło widać, bo kolana pod nią ugięły się, i gdybym jej nie trzymał, upadłaby z pewnością.

— Ty naprawdę nie jesteś zdrowa — rzekłem niespokojnie — ja cię tak nie mogę pozostawić, ja...

Urwałem. Cisnęło mi się na usta: »Nie mogę jechać w tej chwili«, ale oczywiście o wstrzymaniu wyjazdu nie mogło być mowy. Ona zrozumiała mnie.

— Gdyby tak daleko rzeczy nie zaszyły, i moi towarzysze podróży nie czekali na mnie w Londynie...

Przerwała mi z uśmiechem, kładąc żartobliwie swą rękę na moich ustach.

— Nie wstyd to takie dzieciństwa mówić, członkowi Akademii Umiejętności? — rzekła. — Czy myślisz, żebym pozwoliła na wstrzymanie wyjazdu twego, na pokrzyżowanie planów i nieobliczone szkody dla nauki, dla ciebie? Choćbym konała, ostatnim wysiłkiem wyprawiałabym cię. Ale zresztą o czym tu mówić? Ja przecież jestem zdrowa, całkiem zdrowa! Twój wyjazd nerwy mi poruszył trochę, ale ta odrobina osłabienia przejdzie prędko bez śladu.

Spojrzałem na nią z wdzięcznością i mniejszym już niepokojem.

— Jakaś ty pocziwa, Wandziu moja — szepnąłem — jaka pocziwa!

— Dajże mi spokój — rzekła, starając się uśmiechnąć — jestem tylko szczerą i nie chcę cię martwić bez żadnej racyi. Ot, podaj mi rękę i chodźmy do ogrodu, bo tu stęchlizna oddech zapiera.

Szliśmy powoli aleją, ale rozmowa nie kleiła się. Mnie w myśli wciąż się kręciła moja biedna Astarte połamana z rysami Wandzi na twarzy. Ona wracała do wspomnień lat minionych, do chwil razem spędzonych i przypomniawszy jedną z nich, urywała nagle.

— Czy wiesz — rzekłem po jednej z takich pauz, ażeby przerwać milczenie — że Mściśław ma mi towarzyszyć w pewnej części mej podróży?

— Doprawdy? — odparła obojętnie. — Nie mówiłeś mi o tem.

— Bo w ostatnich dniach dopiero napisał mi o swoim zamiarze, a wśród kłopotów i pakowań przedwyjezdnych wyleciało mi to z głowy. Plan wyprawy zainteresował go, chce przez pewien czas towarzyszyć, jako wolontaryusz.

— Cieszę się z tego — rzekła — będziesz miał miłego towarzysza, a wyznaję, że i spokojniejszą będę, wiedząc, że będziecie razem.

— Jeśli mam być szczerym — odrzekłem, uśmiechając się — to wolałbym was dwoje zostawiać razem.

Ruszyła lekko ramionami.

— Wiesz przecież, mój Tadiusiu, że go nie kochałam, nie mogła więc być z nas para.

— Możebyś pokochała kiedyś.

— Nie mogłabym nigdy — odrzekła z naciśkiem, stłumionym, ale stanowczym głosem.

— Czy wiesz, Wandziu, że mi czasem przychodzi na myśl, czy to, co słyszałem przed laty o tobie, nie było prawdą? Inaczej nie umiałbym sobie wytłumaczyć odmowy danej Mściśławowi, nie mówiąc już o innych.

Podniosła głowę i spokojnie ale łagodnie spojrzała mi prosto w oczy.

— Mówili ci ludzie, że jestem kimś zajęta? Kiedyś, przed laty, wspominałeś mi o tem.

— Czy nie mieli racji?

Uśmiechnęła się niewyraźnie jakoś i odwróciła odemnie głowę.

— Może i mieli rację — szepnęła.

— A więc to była prawda — zawołałem — a ja myślałem... Ale teraz przynajmniej powiesz mi, kto to był... musisz mi powiedzieć!

Odsunęła się zlekka, unikając mego wzroku i potrząsając głową w milczeniu.

Czyżby się tej miłości wstydziła? Więc prawdą było to, co o tem ludzie gadali przed laty? Więc on nie był jej wart, tak dalece, że przez tyle czasu mnie, najbliższemu bratu, nie odważyła się wymienić jego nazwiska?

A może go kochała jeszcze?

Myśli kotłowały mi się w głowie, krzyżując

się i łamiąc. Zrobiło mi się niezmiernie przykro i ciężko.

— Wandziu — rzekłem do niej, przyciskając ją do siebie. — Wandziu moja, ja mam prawo wiedzieć, ja brat twój, najbliższy tobie. Któż cię więcej kocha niż ja? Komuż powiesz, jeżeli nie mnie?

Wyrwała mi się i niepewnym krokiem zaczęła iść sama po drugiej stronie alei.

— Nikomu, nikomu — rzekła wreszcie, nie patrząc na mnie.

— A gdybym cię prosił, jak przyjaciel najlepszy, gdybym żądał jak brat... nie powiedziała byś?

— Nigdy!

Robiło mi się coraz przykrzej.

— Czy wiesz, Wandziu, że twoje milczenie dziwne może budzić podejrzenia... że może potwierdza ludzkie gadania o tem... takie dziwne.

Zwróciła się do mnie po raz pierwszy błada, z palącemi się oczyma.

— Cóż ludzie mówili?

— Nazywali go niegodnym ciebie.

Wstrząsnęła się.

— To nieprawda — rzekła gwałtownie. — Jestto człowiek honoru, zacny i prawy, jak niewielu.

Dzięki Bogu i za to, pomyślałem.

— Ale zarzuty ich były innego rodzaju.

— Mianowicie?

— Wedle nich był to mól książkowy, niezdarą i...

— I? Mów szczerze?

— Przepraszam cię, ale sama chcesz: idyota.

Ku memu niemałemu zdziwieniu kąty ust, ściągnięte nerwowo przed chwilą, zaczęły nagle u Wandzi drgać, jakby z ochoty do śmiechu. Ale było to zapewne coś spazmatycznego.

— Słyszałeś to naprawdę?

— Niestety!

— Słyszałeś wielki nonsens, mój Tadius. Ten, który... o którym słyszałeś, jest rzeczywiście trochę... trochę ekscentrycznym, trochę jednostronnym, może nawet odrobinę... dziwakiem.

— A widzisz! I ty takiemu mogłaś oddać serce!

Uśmiechnęła się smutnie, ale znów jakby zagadkowo czegoś.

— Poczekaj — kończyła — jest on takim, ale dlatego tylko, że jest człowiekiem wielkiej myśli, wyjątkowego talentu i wyjątkowej pracy. Serce jego ukochało ideał bardzo wysoki i bardzo promienny, oczy zapatrzone w słońce nie zwracają się na małości życia, nie dziw, że czasem noga mu się potknie o jaki czczy-konwenans światowy, nie dziw, że go nie rozumieją, nie oceniają mniejsi i gorsi od niego.

Mówiła z zapalem, rozogniona, drżąca. Cała dusza jej była w tych słowach, Słuchałem zdumiony, przerażony prawie.

— Ależ moja Wandziu, ty go kochasz dziś jeszcze! — zawołałem.

Spojrzała na mnie swym miękkim, aksamitnym wzrokiem i zwolna pochyliła głowę.

Nie wiem czemu, poczułem w tej chwili niechęć do tego nieznanego człowieka, który umiał tak zupełnie zawładnąć tem sercem, dotąd, myślałem, oddanem mi wyłącznie.

— Więc tak go kochasz, tak bardzo, nade wszystko? Więcej odemnie?

Uśmiechnęła się znowu.

— Więcej od ciebie? Nie, mój Tadius. Jak ciebie.

— Ależ przez litość, dlaczego? Takie uczucie, tyle lat — ty piękna, bogata, czarująca... i ...dlaczego?

Przez chwilę nie odpowiadała mi.

— Bóg nie chciał — szepnęła wreszcie.

— Ależ on wiedział o tem?

Wstrząsnęła głową.

— Nie — odrzekła — ani się domyślał. Nie wie o tem nic... aż do dziś.

— Więc żyje dotąd? I jest wolny?

Skinęła głową w milczeniu.

— Ale w takim razie... Dlaczegoż nie zwierzyłaś mi się... Może on nie śmiał, może niżej stał od ciebie, może jakie przeszkody... Możebym mógł pośredniczyć, zapewnić ci szczęście...

— Niechże Bóg broni — rzekła poważnie. — Któż wie, czy ta miłość dałaby mu szczęście? Zresztą — on mnie nie kochał... przynajmniej nie tak. Czy sądzisz, że moja godność pozwoliłaby na połączenie z nim w takich warunkach? A przytem — on szczęśliwy tak jak jest...

— Ale ty!

— Ja, cieszę się jego szczęściem, żyję i żyć będę myślą o nim, modlitwą za niego — tak jak żyję modlitwą za ciebie i myślą o tobie, mój Tazdzu.

Przez chwilę szliśmy w milczeniu. Miałem takie wrażenie jakby przedemną otwarła się przepaść. Żal za tą biedną kobietą, najlepszą towarzyszką i przyjaciółką od lat tylu, rozpierał mi prosto piersi.

— Więc on nigdy nie będzie wiedzieć, więc ty z nim nigdy, nigdy...

Podniosła rękę w górę i uśmiechnęła się łagodnie.

— Ależ któż to być może? — krzyknąłem niemal z rozpaczy. — Przecież ja znam prawie wszystkich, których ty znasz i znać możesz. A tymczasem biedzę się, szukam, kombinuję — i nikogo podobnego, nikogo.

Położyła mi rękę na ramieniu.

— Nie szukaj i nie męcz się daremnie. Nie trafisz. I na co tobie?

— Czy go choć znam?

Znów uśmiechnęła się, ale nic nie odpowiadała.

— Dajmy pokój temu — rzekła wreszcie. — Wierz mi, niepotrzebnie się tem zgryzłeś. Był to sen lat moich młodych, sen złoty, ale sny nie sprawdzają się. Zostało mi z niego więcej, niż zwykle sny zostawiają: trochę jasnych wspomnień i spokojne, siostrzane uczucie, którego nie zmieni

ani zmniejszy nic w życiu a skończy — śmierć chyba.

W chwilę potem rozstaliśmy się. I oto ona już odjechała odemnie, a ja stoję wciąż, myśląc o jej ostatnich słowach, i wciąż bije mi się w mózgu pytanie, kto jest ten człowiek, którego ona ukochała tak gorąco, od tak dawna, w tak zupełnej tajemnicy przedemną? Chodzę po salach muzealnych i po galeryach napelnionych podróżnymi kuframi, słucham z roztargnieniem pytań i uwag służby, gotującej wszystko do drogi, a w myśli mam jedno i jedno:

— Kto on?

W OTCHŁAŃ!

SZKIC Z ŻYCIA

— I cóż woźnemu powiedzieć?

— Co powiedzieć?

— Czy pan profesor będzie mógł przyjść na tę konferencję? Bo pan dyrektor kazał prosić o odpowiedź.

— O odpowiedź? Powiedz jemu... powiedz tercjanowi, żeby ruszał i żeby go razem z konferencją dyabli wzięli.

Dzień był obrzydliwy, jak tylko u nas w Polsce może być obrzydliwy dzień marcowy. Deszcz, połączony ze śniegiem, padał od rana. Wiatr siekł w twarz, jak biczami, zimno wilgotne przenikało do kości, ale ani wiatru było dosyć, aby porozpędzać chmury, ani zimno było dość silne, aby śnieg topiący się stęzał. A przytem miasto ohydnie brukowane — na chodnikach błoto po kostki, środkiem ulic, w kałużach olbrzymich, czarnych jak przepaście — po kolana i dalej.

Jednem słowem — ohyda. W piecu zapalić, w szlafrok watowany wleźć i siedzieć z fajką przy kominku — i tyle.

Miałem zrana w gimnazyum trzy godziny. W klasach było zimno, jak w psiarni. Chłopcy ochrypli i zakatarzeni, aż wykładu słyszeć nie było od ka-

szlu i kichania. Porozdawałem dwójkę na prawo i na lewo, ile weszło, paru zapisałem do katalogu i kazałem w niedzielę siedzieć po dwie godziny... Wróciłem do domu zziębnięty, przemokły do nitki, w błocie cały, a zły...

Na szczęście żonka, przewidując, co ze mną dzieć się będzie, przygotowała na obiad ulubione moje sznycelki wiedeńskie, kazała dobrze napalić, a po obiedzie sama przyniosła mi do kominka kawę, fajkę własnoręcznie nałożoną i ciepły plaid do okrycia nóg.

— Poczytaj sobie trochę, ja zaraz przyjdę z robotą, tylko porządki porobię. Dobrze przynajmniej, że popołudniu lekcji nie masz i wychodzić nie potrzebujesz.

Pocziwa Kostusia! Oczywiście, że nie myślałem wychodzić na szarugę i zimno. Był to czwartek — a we czwartek przez dziesięć miesięcy na dwanaście, przychodzą do mnie sąsiedzi z drugiego piętra, emerytowany radca sądowy z żoną i bratem, starym kawalerem, który przy nich mieszka. Kostusia nam przyrządza kawę, tak, jak to ona umie, z wiejską śmietanką i domowym pieczywem, a my sobie przy kominku robimy partyjkę wiścika.

Bo, trzeba wiedzieć, wiścik to moja słaba strona, a i radcy także, i jego brata również.

Więc tak przez cały rok; we czwartek u nas, w niedzielę u nich partyjka. Niedroga — parę szóstaków różnicy bywa, byle jakiś interes miała gra. I tak miło czas poobiedni schodzi...

Właśnie myślałem sobie o partyjce i o obowiązku zrewanżowania się na radczyni, która mnie haniebnie ogrywa, kiedy naraz — dzwonek. Myślę: może wcześniej dziś przyszli goście, to i owszem; czemu nie? Ale gdzieżtam! Tercyan z wezwaniem na konferencję po skończonych lekcjach wieczornych o piątej. Jakaś sprawa dyscyplinarna, niecierpiąca zwłoki.

Sprawa dyscyplinarna... Pewnie znowu którego z tych nicponiów złapali w knajpie, albo też który palnął jakąś impertynencję profesorowi. Osły! Nie mogli to sobie cieplejszego dnia wybrać na swoje głupstwa!

Ale cóż? Nie było rady! Tercyana posłałem do tysiąca dyabłów, ale dyrektora — nie mogłem, choć chciałem, dalipan chciałem! Trzeba było ruszać do szkoły w deszcz, śnieg i błoto. A gimnazjum odemnie o dobre dziesięć minut, i to po takich wertepach iść trzeba, że Boże zachowaj!

Niema co. Biorę buty i kalosze, surdut i płaszcz futrzany. Żona mi usta szalikiem zasłania, żebym się nie zaziębił. Czapka na uszy, głęboko, żeby wiatr nie zerwał i — w drogę.

Idę — a tu już ciemno się robi, a wiatr, i śnieg, i deszcz lodowaty kole wciąż w twarz szpilkami i zasypuje oczy. Idę i ślizgam się, potykam, wpadam w kałużę. A w domu ogień tak ślicznie pali się na kominku, kawa pachnie i lada chwila goście zadzwonią.

Bodajże tego hultaja, który mi tę biedę spro-

wadził! Ale czekaj-no bratku, czekaj! Dam ci ja! Popamiętasz, co to znaczy starego profesora na taką szarugę z domu wypędzać! I to we czwartek! We czwartek!!

W sali konferencyjnej zastałem już kilku profesorów, klnących jak ja, bo lekcyj po południu nie mieli i w błocie brnąć musieli umyślnie. Stary Wilmer szczególnie, gniewający się o mniejsze rzeczy niż ta, był teraz wściekły.

— Otóżto młodzież nasza! — wołał, wymachując rękami i wysuwając naprzód, do twarzy najbliższej stojących, kościste swe palce — otóżto nasi uczniowie! Żadnego poszanowania, żadnej dyscypliny, żadnego nad profesorem miłosierdzia! W taki czas psa-by nie wypędził, a ten hultaj Sikora ściąga nas tutaj gwałtem.

— To o Sikorę chodzi?

— A jakże! O kogożby, jak nie o tego nicponia! I pomyśleć, że ja już byłem w pantoflach i szlafroku, i dla fantazyi tego urwisza musiałem aż tu się wlec!

— Akurat, jak ja!

Właściwie tam o tej fantazyi Sikory byłoby dużo do powiedzenia, i przypuszczam, że hultaj chłopak wolałby widzieć nas siedzących po domach przy kominie, niż tu, sądzących jego sprawę... Ale cóż? On był naprawdę powodem. Nikt, tylko on! Więc kolega Wilmer miał rację.

Dzwonek się rozległ; za chwilę cichy gmach szkolny zatrzęsł się hałasem kilkuset chłopaków,

wybiegających z klas, z książkami pod pachą, ze śmiechem, gwarem, krzykami, nie troszcząc się o śnieg i błoto.

Sala konferencyjna zapełniła się profesorami wracającymi z lekcyj. Była to podłużna, sklepiona izba, niegdyś refektarz klasztorny, o wązkich oknach i brudnych, nagich murach, okrytych pleśnią i ciemnymi, mokremi plamami. Lampa, zawieszona w pośrodku sklepienia, rzucała niepewne światło na długi stół, okryty zielonem suknem i zarzucony papierami, a dokoła stołu na kilkanaście twarzy, schylonych nad nim z wyrazem znużenia i niechęci. Resztę sali zalegały cienie szare, posępne, od których wiało pustką, zimnem i wilgocią.

Ach! Jakże to inaczej wyglądało w tej chwili u nas! Na kominku pali się ogień, pryskając wesoło i rzucając iskry. Żona nakryła stoliczek obrusem z kolorowymi szlakami, poustawiała talerzyki, koszyki z ciastami i pieczywem, garnuszki ze śmietanką. Ona to wszystko tak ładnie i zgrabnie urządza, aż popatrzeć miło. Teraz kawę wlewa w stare saskie filiżanki wyprawne, a radczyni woła:

— Dosyć, ach, dosyć! U pani doktorowej kawa taka wyborna, ale taka mocna! Gotowam dostać palpitacyi serca!

Jak im tam ciepło i dobrze! A nam, jak tu zimno, i smutno, i wstrętne — i jak ohydnie wracać będzie po nocy! Przeklęty Sikora!

Dyrektor zajął miejsce w końcu stołu i dotknął dzwonnka. Rozmowy się uciszyły. On ręką musnął

siwe faworyty, poprawił okulary, świecę przysunął do samej twarzy, za świecą, zdaleka, rozwinął szeroki arkusz kancelaryjnego, szczelnie zapisanego papieru, i zaczął czytać bezdźwięcznym swym, monotonnym głosem.

Byłto protokół zajęcia, jakie wydarzyło się wczoraj rano, na pierwszej godzinie, w oddziale *A.* siódmej klasy, podczas lekcji profesora Kuderkiewicza.

Zeznanie profesora brzmiało w protokóle, jak następuje:

»Dnia 13 marca 1893 r. odbyłem przez pierwszych dwadzieścia minut, jak zwykle, wykład nowej lekcji, następnie zaś, dla powtórzenia jej i objaśnienia na podstawie tego, co zadałem, lekcji poprzedniej, wezwałem do tablicy ucznia Stefana Sikorę. Sikora z początku odpowiadał gładko i przytomnie, potem zaczął się plątać i męsząć. Starałem się naprowadzić go na dobrą drogę, parę razy podpowiadałem mu sam — nie pomogło nic. Przytem w trakcie pytania Sikora zdradził zupełną nieznajomość form gramatycznych i widoczny brak podstaw naukowych, co tembardziej mogło zadziwiać, że uczeń ten uważany był aż do ostatnich czasów za bardzo pilnego. Kiedy zwróciłem na to uwagę Sikorze, że jego odpowiedzi każą mi wątpić o możności przepuszczenia go do ósmej klasy, Sikora zadał mi naprzód rozdrażnionym tonem parę bliższych pytań w tym względzie, domagając się stanowczej odpowiedzi, czy ma przecie jakąś

szansę promocyi, czy nie, a gdy mu powiedziałem, że nie mogę mu czynić nadziei z mego przedmiotu, tembardziej, że, jak okazało się przy ostatniej konferencyi, szanse jego równie słabe są w kilku innych przedmiotach, a specjalnie w matematyce, łacinie i niemieckim, Sikora rzucił z impetem kredę o ziemię i odszedł na miejsce samowolnie, wołając głośno: W takim razie niema potrzeby pytać mnie lekcyi.

»Zawezwany przezemnie dwukrotnie, aby wrócił do tablicy, odpowiedział mi, z miejsca nie wstając, że słuchać nie myśli i że mu wszystko jedno. A gdy wtedy zwróciłem jego uwagę na konsekwencye, na jakie się naraża podobnem wykroczeniem przeciw szkolnej dyscyplinie, odpowiedział mi podniesionym głosem, że go mogą wypędzić i nawet zabić, i że to jest ostatnia usługa, jaką mu może wyrządzić gimnazyum, bo mu już życie obrzydło.

»Ponieważ czas, przeznaczony na lekcję, miał się ku końcowi, a rozdrażnienie ucznia Sikory tak było bijące w oczy, że musiało wywoływać obawę jakiegoś gwałtownego kroku z jego strony, uznałem za właściwe dalej sprawy nie podnosić i nie zwracałem się już więcej do niego. Niezwłocznie po skończonej lekcyi, po której Sikora nie wstał wraz z innymi, jak tego przepis wymaga, udałem się do Dyrekcyi, aby jej fakt wyżej opisany zakomunikować.

»Uczeń Stefan Sikora, wezwany przez Dyrektora

do wyłómaczenia swego postępowania, zeznał co następuje.

»Słowa, zarzucone mi przez pana profesora Kuderkiewicza, wymówiłem istotnie, i to w tensam sposób, jak to pan profesor przedstawia. Zarówno z ich obraźliwego znaczenia, jak ze skutków, jakie dla mnie mogło pociągnąć zachowanie się moje, zdawałem sobie sprawę. Nie miałem jednak specjalnej intencji obrażenia pana profesora, przeciw któremu nienawiści nie czuję i którego o niesprawiedliwość względem mnie nie posądzam. Byłem rozdrażniony i chory. Od kilku tygodni, wskutek zbyt forsownej pracy, całkiem sypiać nie mogę po nocach. Miałem też inne osobiste przykrości w tych czasach. I to jedno mogę na usprawiedliwienie moje przytoczyć«.

Dyrektor skończył czytanie, papier położył przed siebie, świecę odsunął, gładząc faworyty i rozejrzał się przez chwilę po naszym gronie. Poczem zaczął w ten sposób:

— Przedstawiłem panom *speciem facti* i nie mam wcale zamiaru wpływać na decyzję konferencji w tej sprawie. Dla informacyi jednak tych panów, którzy w siódmej *A.* nie wykładają, uważam za mój obowiązek dodać, że Stefan Sikora, uczeń naszego zakładu, od pierwszej klasy należał zawsze do najpilniejszych i najporządniejszych chłopców, nie był aż do tego roku ani razu na konferencji wykazany, co sam przed chwilą w katalogach sprawdziłem: obyczaje miał wzorowe i by-

wał zazwyczaj stawiany za przykład innym uczniom. Nie było przeciwko niemu dotąd nigdy skargi. W tym roku zaczął się opuszczać, jak się zdaje, nietyle z lenistwa, co z przeładowania pracą, bo ma podobno na utrzymaniu rodzinę. W pierwszym półroczu z dwóch przedmiotów otrzymał niedostateczny postęp w końcu kursu i wskutek tego musiał uiścić opłatę szkolną, ze względu jednak na jego dotychczasową pilność i dobre zachowanie, pozwoliłem na wyasygnowanie dla niego połowy tej sumy z kasy pomocy dla biednych uczniów. Tak więc stoją rzeczy. Tem smutniejszym jest fakt, im mniej spodziewany, im mniej zwykły w naszym zakładzie, w którym, dzięki Bogu, na karności nigdy nie zbywało. Raczież teraz, panowie, wyrazić o tem swe zdanie.

Odchrząknął, okulary poprawił i skinął głową w przeciwną stronę stołu. Przez chwilę panowało milczenie.

— Fakt smutny niezaprzeczenie — zaczął powoli i z namysłem kolega Kościejewski, profesor nauk przyrodniczych.

— Szkoda, że kolega Wiliński chory — dorzucił jego sąsiad — jako gospodarz siódmej A., onby najwłaściwiej mógł sąd wydać w tej sprawie.

— Karność jest kamieniem węgielnym wychowania, a cementem dla szkoły — ozwał się profesor ojczystej literatury, kochający się w sentencjach.

— Nie należy zapominać jednak, że chłopak

przyznał się do winy i że ją tłumaczy rozdrażnieniem i przepracowaniem — wtrącił, łagodząc, katecheta.

— Najmocniej popieram zdanie księdza kanonika i przyłączam się do niego — dodał, wstając profesor Kuderkiewicz.

Wszystkich oczy zwróciły się ku niemu.

— Nie dziwcie mi się, panowie — mówił dając — i nie posądzajcie o zbytnią pobłażliwość. Ja jestem nieszczęśliwym powodem tej sprawy, a choć oczywiście nie mogłem jej puścić płazem ze względu na dyscyplinę szkolną, nie mogę jednak zbyt surowo obwinić Sikory. Jest on istotnie przepracowany i roznerwowany do ostateczności. Uważałem to od dłuższego czasu i żałuję serdecznie, że mi to nie przyszło na myśl wczoraj rano. Może ostra uwaga była iskrą, co zapaliła ten palny materiał. Niechże panowie pozwolą mi prosić o wyrozumienie dla biedaka.

— Bez kary ujść nie może przecie — mruknął Wilmer niechętnie, kręcąc siwą głową.

— Bez kary... nie, ale sądzę, że karcer wystarczy.

— Szesnaście godzin i niech pana kolegę wobec klasy przeprosi — zdecydował senior grona, łysy matematyk Neuhäuser.

— Możeby wystarczyło dwanaście — wtrącił katecheta.

— Kara nie powinna się mierzyć długością trwania, ale wpływem na duszę karanego — ozwał

się *magister sententiarum*, jak lubiliśmy nazywać profesora literatury. — Wnoszę ośm godzin.

— Możeby i sześć wystarczyło — dorzucił jakiś pobłażliwy głos z kąta.

— Ja z mojej strony jestem zdania... — zaczął powoli kolega Kościejewski.

Nie skończył. Okiennice uderzyły gwałtownie o szyby, które pękły i z łoskotem rozbryznęły się w kawałki. Wszyscy drgnęli i zerwali się. Wicher wpadał do sali przez rozbite okno, miotając śnieg z deszczem lodowatym zmieszany, jęcząc i świszcząc przeraźliwie.

Prąd zimnego, wilgotnego powietrza rozbiegł się po izbie. Lampa zakołysała się, rzucając w górę czerwone połyski. Któryś z młodszych panów podbiegł, aby okno naprędce zasłonić.

— Jestem z mojej strony tego zdania — rozpoczął nanowo przyrodnik.

Przerwałem mu, zrywając się z krzesła.

— Za pozwoleniem. Proszę o głos.

Kolega Kościejewski przystanął i wypatrzył się na mnie swemi wypukłemi oczyma. Przywykł do tego, że mu przerywano, nie czekając końca powolnej i rozwlekłej mowy.

Mnie ten prąd zimna i świst wichru śmignął, jak batem.

To my mamy po nocy na taką wicherę dla jednego błazna lecieć przez pół miasta, grzęznąć w błocie, topić się w kałuży, trząść się od zimna, zamiast sobie wiścikiem się bawić przy kominku

i kawie? I temu hultajowi nie za to nie będzie?
A, niedoczekanie!

— Za pozwoleniem — powtórzyłem.

Wszyscy umilkli i zwrócili się w moją stronę.

— Moi panowie! Zaszedł fakt, u nas dotąd, Bogu dzięki, niebywały. Uczeń wyższej klasy odmówił profesorowi posłuszeństwa, odmówił ze świadomością winy, jaką popełnił, a do tej obrazu dodał szyderstwo, propozycję wypędzenia go z gimnazjum. Nie wchodzę w motywy faktu; żałuję nie-szczęśliwego, jeśli zbytek pracy, a może i nędza rozstroiły mu nerwy. Faktu to ani zmienia, ani może zatrzeć. Szanuję wyrozumiałość obrażonego kolegi, ale niech mi pozwoli sobie powiedzieć, że tu nie o niego chodzi. Chodzi o godność zakładu, chodzi o nasze bezpieczeństwo i naszą powagę, chodzi o karność wśród młodzieży. Karność i dyscyplina są kamieniem węgielnym wychowania, powiedział słusznie jeden z kolegów, a dość jednego wypadku pobłażliwości nie w porę, aby karność znieść, młodzież rozzuchwalić, a nas wydać na pastwę znie-wagom pierwszego lepszego urwisza. I dlatego, ażeby temu niebezpieczeństwu zapobiedz, aby szkołę ochronić od upadku, młodzież od wykolejenia, nas od awantur, wnoszę o ukaranie przykładne winnego i proponuję wypędzenie. Kto z panów nie chce zguby zakładu i młodzieży, będzie głosował za mną!

Przez chwilę zaległa cisza, potem odezwały się tłumione szmery i szepty. Nie spodziewano się

tego, tem mniej odemnie. Tyle razy bronilem na tem miejscu młodzieży, zwłaszcza gdy chodziło o karę, mogącą złamać całą przyszłość ucznia. Tyle razy klóciłem się o to zajadle z suchym, pedantycznym Wilmerem, który sam jeden między nami reprezentował stale system bezwzględnej represyi. Teraz on jeden kiwał energicznie siwą, szpecinowatą czupryną i patrzył na mnie potakując, nie bez zdziwienia, ale z widocznym zadowoleniem. Inni profesorowie, zdziwieni także, kręcili się niespokojnie i ruszali głowami.

Zaledwie skończyłem, ozwały się protestacye.

Przecież to był uczeń wzorowy! Przecież ja sam zajmowałem się nim tak szczerze, starałem się dla niego o lekcyę, wyrabiałem mu stypendyum! Przecież to było pierwsze jego wykroczenie w gimnazyum!

Odpowiedziałem na to jednym słowem:

— Zasada!

— Zasada, zasadą! Ale my tu przecież nietylko sędziami jesteśmy, ale i ojcami być powinniśmy.

— Kolega sam młody byłeś, nerwowo... Pamiętasz, jakieś to figle płatał staremu Stecewiczowi w Bernardyńskim gimnazyum? A teraz chcesz za głupstwo biedakowi świat zawiązywać?

— Kolega sam masz przecie dzieci — szepnął dyrektor, łagodząc mnie.

Na to wstałem i zacząłem mówić.

Nie chwając się, dość jestem wymowny. Teraz zaś byłem rozdrażniony, cały w gorączce. Nie wiem

już, jakich dobierałem argumentów, to pamiętam, żem cofnął się do przyczyn ogólnego upadku, żem z kolei dotykał różnych ran i nędz społeczeństwa i żem najróżnorodniejszych dobierał włókien, aby z nich spleść sznur na biednego Sikorę.

Z początku przerywano mi, protestowano ruchami ręki i głowy. Powoli uciszano się, patrzano na mnie z coraz większym przejęciem, zaczynało potakiwać i przyzwalać. Wkońcu usposobienie zostało zmienione całkiem, gdy przytoczyłem fakt, zaszły niedawno w jednym z zakładów, gdzie po paru wypadkach tolerowanej niekarności doszło do tego, że jeden z uczniów strzelił do profesora.

— Ha, trudno; masz kolega słuszność.

— Tak, tak; biję się w piersi... myliłem się. Przekonałeś mnie.

— Niema co. *Dura lex sed lex*. Trzeba dać przykład. Trzeba zabezpieczyć się.

Katecheta jeden próbował sytuację ratować.

— Ależ on ma matkę starą, którą utrzymuje, a zbyt wielki biedak, aby gdzieindziej się przenieść!

Zakrzyczano go.

— I ja mam matkę, a prócz matki żonę i dzieci. Czy chcecie, księżusiu, aby mnie taki nicpoń kiedy zastrzelił i zostawił matkę, i żonę, i dzieci bez opieki i kawałka chleba?

Dyrektor już nie gładził faworytów, ale markotny widocznie, raz po raz nerwowo poprawiał okulary.

— Przystępujemy do głosowania — rzekł —

skoro nikt więcej nie żąda głosu. Wniosek dalej idący, propozycję wykluczenia, poddaję pod głosowanie naprzód. Kto jest za tem?

Wszystkie ręce podniosły się, z wyjątkiem katechety i paru innych profesorów. Niektórą z wahaniami i niechęcią, ale podniosły się. Czternaście przeciw czterem.

— Wniosek przyjęty — rzekł dyrektor spokojnie i dodał, zwracając się do prowadzącego protokół: — Chciej pan zapisać.

Potem pochylił się nad papierami i zaczął w nich coś szukać zawzięcie.

Może mi się przesłyszało, ale zdawało się, że z ust starego wyrwał się szept tłumiony:

— Biedny, biedny chłopak!

— Ależ to z kolegi Demostenes prawdziwy!

— Takie zwycięstwo oratorskie! Najlepszy adwokat nie powstydziłby się. No, no!

— Mieć wszystkich przeciw sobie, prócz jednego Wilmera, i wszystkich przeciągnąć na swoją stronę przez kwadrans, przekonać...

— Ależ to z doktora surowy sędzia! Niech cię nie znam!...

— Nie daj Boże z wami się kłócić!

Frazesy te, krzyżujące się wkoło mnie przy wychodzeniu ze szkolnego gmachu, były mi dziwnie nieprzyjemne. Czułem niesmak i rozdrażnienie. Czemu? Nie wiedziałem. Naprawdę powinienem

był cieszyć się, postawiwszy na swoim i otrzymawszy tak świetne powodzenie. Ale... nie cieszyłem się wcale. Przeciwnie.

Pożegnałem kolegów przy bramie i szybkim krokiem poszedłem w moją stronę. Wicher ustał zupełnie. Na niebie podniósł się księżyc w pełni, jasny, srebrny; dokoła przeciągały szybko jedne za drugimi chmury rwąc się i strzępiąc, przeganiając się nawzajem i łącząc na krańcach widnokregu w szare, matowe mgławice.

Rzuciłem w górę roztargnionem okiem i szedłem przed siebie, nie spiesząc, z głową zwieszoną na dół. Zdawało mi się, jakby jakiś ciężar mnie przygniatał i w dół pochylał. Co to było? Co się działo ze mną? I jak to przyszło?

Stefana Sikorę pamiętałem od pierwszej klasy, uczyłem od drugiej. Od czwartej do szóstej włącznie byłem jego klasowym gospodarzem. Interesowałem się jakiś czas tym chłopakiem. Potem jakoś przestał mnie zajmować. Kiedy się ma sześćdziesięciu w klasie...

Stanął mi teraz w oczach taki, jakim widziałem go raz pierwszy, posepny, milczący, pokorny, wzorowy. Przypomniałem sobie, ile razy tak go nazywałem wobec jego kolegów. Zdolności nie miał, ale wytrwałość żelazną i poczucie obowiązku rzadkie. Przychodził często do klasy niewyspany, żółty, z fioletową obwódką dokoła oczu, krwią zaszłych.

— Znów nie spałeś, Sikora? — spytałem go kiedyś. — Nie szanujesz się.

— Lekcyj trzeba było się uczyć, proszę pana profesora, a ja z korepetycyi dopiero koło dziesiątej wracam.

— I późno spać poszedłeś?

— Ja całkiem spać się nie kładłem.

Było to coś przed rokiem, może przed dwoma. Chciałem nawet zwrócić na to uwagę kolegów na konferencyi, chciałem dowiedzieć się o powodach tej nadmiernej pracy, ale wyleciało mi z głowy jedno i drugie. Tyle miałem roboty! Czyż byłem w stanie zajmować się domowymi sprawami każdego z uczniów?

I naraz, w tym roku straciłem Sikorę z oczu. W siódmej nie wykładałem. Obiło mi się o uszy jego nazwisko raz i drugi, z dodatkiem, że się zaniedbał, że nie dostanie promocyi. Miałem ochotę spytać o to jego samego, albo gospodarza klasy, ale kolega Wiliński rozchorował się i przestał bywać w szkole, Sikora nie nawijał mi się na oczy. Zresztą, co mówić? Zapomniałem poprostu.

I teraz... Chłopczysko wypędzone, wypędzone nietylko z jednego gimnazjum, ale ze średnich szkół wogóle, bo gdzie taki biedak znajdzie środki utrzymania się w obcym mieście i to po wypędzeniu od nas? Wypędzony i złamany — i to przezemnie.

Przezemnie, oczywiście. Gdyby nie moja fili-pika i nie moje oratorskie sukcesy, chłopak dostałby karcer, na jaki zasłużył — i na tem skończyłoby się. Ale nie. Laury Demostenesowe i Cy-

ceronowe nie dały mi spokoju — tylko, że zamiast Katyliny i Filipa kosza płacić miał biedak z siódmej klasy...

Wszystkiemu winien był ten ohydny wicher marcowy — no, i wiścik przy kominku...

Zakląłem pod wąsem, i spuściwszy głowę jeszcze głębiej, szedłem naprzód, nie uważając jak i którędy, brnąc w błocie, ochlapując się czarną wodą kałuży. Naraz posłyszałem za sobą szybkie kroki i głos jakiś, zdyszany, stłumiony, zawołał na mnie z tyłu:

— Panie profesorze! Proszę pana profesora!

Przystanąłem i obejrzałem się. Za mną stał Sikora.

Światło księżycowe padało mu na twarz, robiąc ją jeszcze bledszą. Był bardzo wysoki, kościsty, ale niezmiernie chudy i przygarbiony tak, że głowa chowała się w ramiona. Mimo zimna, miał na sobie tylko lekką surducinę, wiszącą na nim, jak na szaragach. Włosy jasne, długie, sterczały w górę pozlepianymi kosmykami. Czapki nie miał na głowie. Trzymał ją w ręku; drugą rękę trzymał przy ustach, chwytając powietrze.

— Przepraszam — wyjąkał — biegłem... tak prędko... żeby dopędzić... koniecznie.

— Czegoż chcesz? — spytałem go sucho.

Miałem w tej chwili bardzo nieprzyjemne uczucie. Chłopca było mi żal, bardzo żal... Doświadczałem, patrząc na niego, pewnego wyrzutu sumienia. Z drugiej strony byłem trochę niespokojny. Taki

chłopak nieszczęsny, rozdrażniony, rozszalały... Bóg wie, co mu do głowy przyjdzie... A tu noc, pustka... i on dwa razy większy odemnie.

Ale Stefan Sikora nie zdawał się mieć złych zamiarów. Stał bardzo pokornie z czapką w ręku, przyciskając piersi rękami i próbując oddech złowić. Oczy jego, wpadłe w głąb, daleko, patrzyły na mnie z trwożliwym wyrazem ptaka, nad którym krąży, hypnotyzującego swym wzrokiem, jastrzęb.

— Proszę mi darować — zaczął urywanym głosem. — Czekałem na pana profesora w gimnazjum... bałem się przystąpić... więc teraz dogoniłem... Proszę mnie posłuchać, powiedzieć, poratować... Pan profesor był dla mnie zawsze dobry, a teraz... nie wiem, do kogo się udać; a tu takie nieszczęście, takie nieszczęście...

— Czemużeś wcześniej do mnie nie przyszedł?

— Pana profesora w szkole nie było.

— A do domu?

— Do domu nie śmiałem.

— Cóż ci mogę zrobić, czego chcesz odemnie?

— Oni mówią, że mnie wypędzą, a dla mnie to... gorzej śmierci. Pan profesor mnie zna, wie, że to nie ze złości. Każdą karę, byle nie to...

— Zapóźno już. Konferencja już się odbyła.

— Ależ to nie może być! Ja sam nie wiedziałem, co robiłem! Ja przeproszę!

Ruszyłem ramionami i westchnąłem mimowoli.

— Konferencja odbyła się... klamka zapadła.

Chłopiec zatrzymał się i wpatrzył się we mnie szklistemi oczyma, jakby skamieniały.

— A cóż z matką będzie, z bratem? — jęknął ochryplym głosem. — Co ja zrobię?

Spuściłem głowę mimowoli, aby wzroku jego uniknąć.

— I niema ratunku... żadnego?

Milczałem, nie podnosząc oczu.

— Żadnego? żadnego? — powtórzył, zaciskając dłonie i kurcząc się cały, jak chory w bólach.

— Po ludzku... niema — rzekłem z trudnością. — Ale Pan Bóg...

On zatrząsł się nerwowo.

— Pan Bóg — syknął — Pan Bóg... Oni mówili, że niema Boga, że Go niema, bo gdyby był, nie byłoby takiej niesprawiedliwości na świecie, nie byłoby takiej nędzy, takiego ucisku...

— Oni? Kto to: oni?

Machnął ręką.

— Kto są, to są. Mniejsza z tem. Gorzej to, że widać ich prawda, nie moja.

— Bój się Boga, Sikora, co ty mówisz?

Zaśmiał się przykro.

— Co mi tam! Mnie już wszystko jedno.

Szedł koło mnie ze spuszczoną głową, z zaciśniętymi kurczowo pięściami. Długie włosy wiatr mu rozwiewał. Wiły się w trupio bladym świetle księżyca, jak węże.

Straszny był. Nie mogłem teraz oka z niego spuścić, ale nie bałem się o siebie. Ten nieszczę-

śnik w rozpaczy coś okropnego musiał mieć w myśli.

— Słuchaj, Sikora — rzekłem, zatrzymując się — słuchaj... Stefanie.

Imię chrzestne, którem go nazywałem, wydało mi się w moich ustach czemś dziwnem. Tak przywykłem nazywać moich uczniów tylko po nazwisku! Tak wyłącznie urzędowe miałem z nimi stosunki i rozmowy!

— Słuchaj, Stefanie — powtórzyłem, kładąc mu rękę na ramieniu — nie rozpaczaj! Coś obmyślimy dla ciebie. Pomówię jeszcze z panem dyrektorem, z panami profesorami... Może się da to nieszczęście odwrócić. A w najgorszym razie... ja ci nie dam zginać... Ja będę starał się coś zrobić...

On spojrział na mnie i przez chwilę cieplejszy jakiś promyk błysnął w jego oczach, ale w tejże chwili zastygły znów i zmartwiały.

— Dziękuję panu profesorowi — rzekł — ale... nie wiem, czy na co się już to przyda. Ja i tak już zgubiony. Nie płynąć mi już dalej przeciw wodzie. Koniec, i tyle.

— Ależ, zlituj się chłopcze! Co ty mówisz? A jeśli cię zostawią w gimnazyum, w czemże twoją zgubę widzisz? Myślisz może o szkolnej opłacie, którą kazanoby ci teraz uiszczać? I na toby się poradziło, tylko nie trzeba rozpaczać.

Byłem cały rozgorączkowany, mówiąc to. Nie zastanawiałem się nad trudnościami, żeby nie powiedzieć nad niepodobieństwem odrobienia tego,

co się stało, i cofnięcia dopiero co zapadłej uchwały, ani też myślałem nad rolą dziwną, jakaby mi przytem przypadła w udziale. Ogarnęła mnie jedna myśl i zaciężyła naraz na duszy, jak zmora, przeniknęła mózg, wbiła się cierniem okrutnie bolesnym w serce.

Ten chłopak złamany, stracony, wydany na pastwę rozpaczy bez granic — złamane istnienie całej rodziny, zniszczona bezpowrotnie nadzieja tylu lat, dźwignia i pociecha tylu ofiar i smutków. Za godzinę, za dwie, stanie się może nieszczęście, jedno z tych, na które lekarstwa i ratunku niema, może zgasną te oczy, patrzące na mnie tak ponuro, takiego bólu pełne. Jak kwiat, zerwany przed czasem, zwiędnie, złamie się to młode życie... I to przezemnie, przezemnie, z mojej winy.

On mnie słuchał obojętnie prawie, o tyle apatyczny, o ile przed chwilą był podrażniony.

— Ja panu profesorowi bardzo dziękuję — rzekł — ale tak mi się zdaje, że dla mnie już niema ratunku. Widzi pan... ja wiem, co pan profesor myśli o mnie teraz. Myśli pan, żem zwaryował. Tylko co prosiłem o pomoc, o radę... pan profesor mi ją daje łaskawie, a ja, ja ją odtrącam i desperuję. Ale... ja nie wiem sam, jak to mam powiedzieć, mnie się zdaje, że ze mną tak się dzieje, jak z człowiekiem, co szedł w nocy po omacku i naraz mu błysnęło przed oczyma, na jedną chwilkę, ale dosyć, aby drogę rozjaśnić. Może on myślał, że dobrze idzie, aż naraz zoba-

czył, że nie wyjdzie, że mu ani w tył, ani naprzód, ani w bok. Moczary wszędzie. Kłąć się i ginąć. Tak i mnie. Ja od wczoraj jak waryat chodzę, błędny, rzucam się na prawo i na lewo, i tak rzuciłem się do pana profesora, myśląc: a nuż się uratuję? Pan profesor pocziwy, widzę, chciałby pomódz... aż tu mi jasno naraz, że to wszystko na nic.

— Ależ dlaczego? — przerwałem. — Wytłomacz mi, dlaczego?

On mi nie odpowiadał przez chwilę. Oparł się plecami o słup latarni i stał z twarzą zwróconą ku księżycowi, który go oblewał smugą smutnego światła, jakby go owijał przejrzystym całunem. W świetle tem blada twarz młodego chłopca, zamysłona i posępna, zdała mi się inną całkiem od tej, którą znałem od dawna. Koło tego wysokiego, chudego chłopaka, o kanciastych ruchach i ostrych, niekształtnych rysach, przechodziłem od tyłu lat, nie zwracając na niego uwagi, nie widząc go prawie. Był dla mnie jedną z dwóchset czy trzechset pozytywek, które miałem nastroić tak, aby nakręcone, recytowały żądane zwrotki. Przypatrzylibym mu się może, gdyby robił jakie awantury, albo narażał cierpliwość moją na zbyt twarde próby. Ale nie. Był zawsze cichy i pilny, nie wybijał się naprzód, nie zostawał w tyle. Stał zawsze taksamo wyprostowany, poważny, czasem trochę zdenerwowany i bojaźliwy, bez uśmiechu, z oczami spuszczone na dół, ale niezmiernie uważny i pełen uszanowania. Wypełniał jedno miejsce w klasie,

jak kamyk w mozaice, a któż uważa na pojedyncze kamyki? Chyba — gdy który wypadnie.

On — jakby odgadł myśli moje. Zwrócił ku mnie twarz powoli i zaczął zcicha:

— Dlaczego, pyta pan profesor? Trudno to powiedzieć. Nie wiem, czy mnie pan zrozumie. Czy to panu zdaje się może, że chłopak, jak w szkole siedzi i uczy się, i z klasy do klasy przechodzi, to już wszystko? Ja wiem, że niejeden z panów profesorów to myśli. A przecie człowiek nie machina. Choć do rana nad książką ślęczy, to mu przecie w mózgu kotłuje, w sercu kipi, i raz ptakiem poleciałby w górę, to znowu z żalu i gorzkości skryłby się pod ziemię, sam siebieby zagryzł. Ale czy to panowie wiedzą? Czy przyjdzie to panom na myśl? Kto z panów spyta którego z nas o co innego, niż o lekcję zadaną? Kto spyta ucznia, czy zjadł obiad, czy miał kącik spokojny, aby się wypaść i lekcyi nauczyć, czy zimną znalazł się choć ogarek, aby przy nim preparacyę szkolną zrobić? Kto ciekawy wiedzieć, z kim on przestaje, co słyszy przez cały dzień, czego się nauczy oprócz lekcyi zadanej, co mu się kręci w głowie i w sercu? Byle cicho siedział i lekcję wydał. Umiesz? masz pierwszą. Nie? dwójka! A dlaczego nie umiał? Co to kogo obchodzi! A może nie tak jest, jak mówię?

Zamilkł, czekając odpowiedzi. Ale ja milczałem także. Cóżbym mu odpowiedział? Mógłbym mu zaprzeczyć? Co ja wiedziałem o nim — o nich wszystkich? Że miał matkę wdowę, że jej kore-

petycyami pomagał? Wiedziałem to samo o tylu innych. Ale co więcej o nich wiedziałem? Naprawdę nie. Ten się uczył, tamten nie; ten był karny i spokojny, tamten zuchwały, ten się od roku zaczął opuszczać, tamten chorował, inny z wesołego stał się ponury, jak wilk — dla czego to wszystko? Kto z nas o to się troszczył? Przy konferencji rzuciło się pytanie, ubolewanie — i zapominało się o tem zaraz.

Zapewne. Mogłem powiedzieć na usprawiedliwienie moje, że wina ciężyla raczej na warunkach, w jakich byłem, w jakich byliśmy wszyscy, niż na mnie samym; faktu nie zmieniało to wcale. Prawda! Miałem po sześćdziesięciu uczniów w klasie, po dwadzieścia godzin lekcyj w gimnazyum, dziesięć godzin prywatnych wykładów, żonę z czworgiem dzieci i matkę staruszkę na utrzymaniu, a na to wszystko dwa tysiące guldenów rocznie i trochę krwawo zapracowanego grosza za lekcyje prywatne. Nieraz wchodziłem do klasy, nie wiedząc, jak dotrwam do końca godziny, tak mi ze znużenia pękała głowa i paliło wyschłe gardło. Czyż mogłem w tych warunkach wiedzieć i pamiętać o tych setkach biedaków, którzy mego wykładu słuchali? Czyż mogłem z nimi się zapoznać w szkole, w której czas nigdy na przerobienie lekcyi nie wystarczał? Czyż mogłem im poświęcać parę wolnych godzin wieczorem poza szkołą, tych parę godzin, które należały się rodzinie własnej — a tak często były dalszą pracą, nie — wytchnieniem? Więc nie byłem winien? Ale miałem przecie wo-

bec moich uczniów obowiązki — po ojcu najwyższe obowiązki nauczyciela — a czy spełniałem je, nabiwszy młode głowy aorystami i supinami, czy je spełniałem, nie dając nic ich sercom, nie troszcząc się o ich sumienia, nie pytając o zdrowie ich ciała i o zdrowie ich dusz? A więc była wina... Czy moja? Czy warunków, w jakich się znajdowałem? Czy społeczeństwa i sfer rozstrzygających, które takie warunki wytworzyły? Któż wie? To pewne, że na wyrzut, zawarty w pytaniu Stefana Sikory, nie miałem, nie mogłem znaleźć odpowiedzi. To pewne, że i dla mnie trzeba było błyskawicy piorunu, aby rozświecić wnętrze jednej z tych dusz, które Bóg stworzył przecie na coś więcej, niż na maszyny do recytowania frazesów greckich i formułek algebraicznych.

Sikora tymczasem mówił dalej po chwili milczenia:

— Pan profesor kiedyś był łaskaw wstawić się za mną o to stypendyum; w piątej dostałem od pana lekcję, w szóstej drugą lekcję. Pan profesor dobry był dla mnie, ale gdyby pan o moim życiu wiedział, możeby stał się jeszcze lepszy. Bo że ciężkie było moje życie, to ciężkie. Ojciec mój był rzemieślnikiem w Kleparowie, wie pan? To miasteczko na podgórzu, z jakie dwanaście mil stąd. Domu swego nie miał, tylko warsztat, ale roboty nie brakło. Radnym był w mieście i raz go do Rady powiatowej wybrano, tak go ludzie szanowali. Człowiek był nieuczony, ale prawy

i ambitny. Do mnie, od kiedy zapamiętam, mówił: »— Ucz się, chłopcze, ucz się. Nauka, to będzie twój fach. Młodszemu bratu oddam warsztat, ty będziesz księdzem albo doktorem«. Dostatku u nas w domu nie było, ale biedy tak dalece nie znaleźmy również. Ot, grosz grosza dopędzał. Potem jednak szło gorzej. Ojciec wdał się w jakąś spekulację, na której stracił co miał, i dług zrobić musiał; irytacja przyczyniła się do powiększenia choroby, na jaką dawno cierpiał. Powoli długi rosły, rosła i nędza. Nie było za co trzymać czeladzi. Nie było też i roboty. Ojciec jednak nie dawał za wygraną swoim planom co do mnie, choć mu odradzali ludzie: »— Niech będzie, co chce, ja chłopaka do szkół odwiozę. Będzie biedę cierpiał, niech cierpi. I w domu niema zbytku. Kiedyś mi podziękuje, jak panem zostanie«. Bo już to, proszę pana, o to mu chodziło najwięcej, żebym się wybił z tej kondycyi, w jakiej sam zostawał. »— Niech już ja haruję całe życie, powiada; niech się męczę i poniewieram, byle choć jedno dziecko zaznało lepszego życia, niż moje. A że mu tam przyjdzie pracować o głodzie i chłodzie, w poniewierce i smutku, nie to. Byle dopchać się kiedyś«. Ja się tem przejąłem od małego. Ambicyę miałem, jak ojciec, twardy byłem i uparty. Niech co chce się dzieje, niech będzie głód, bicie, poniewieranie, ja swoje zrobię. Zdolności tak bardzo nie miałem, ale nauka szła mi dobrze. Musiała iść. Prędzejbym umarł, niż dał się zawstydzić. Ojcu, bywało, aż oczy się świecą,

gdy świadectwa kwartalne ze szkoły przegląda. » — Moja krew, mówi, klepiąc mnie po twarzy, moja krew; twarda bestya. Ten pokaże ludziom, że nie do dratwy stworzony«. Kiedy mnie miał do gimnazjum odwozić po raz pierwszy, ojciec zaprowadził mnie do księdza proboszcza na pożegnanie. Ksiądz kanonik znał mnie dobrze, bo sam w szkole normalnej mnie uczył. Pogłaskał mnie, pochwalił, dał obrazek i książeczkę, potem zaś ojca odprowadził trochę na stronę. Ale ja, jakto zwyczajnie dziecko, ciekawy, słyszałem wszystko. » — Uparliście się przy swoim, panie Sikora, mówi ojcu; niech wam Bóg pomaga i bodajbym fałszywie prorokował. Pamiętajcie jednak, co wam mówiłem. Nie radzę, nie radzę«. Ojciec rękami tylko rozłożył. » — To już późno odmieniać, księżę kanoniku dobrodzieju. A i gdybym mógł, nie chciałbym. Jaż się też ze wszystkiego ściągnę, wykosztuję, ale niechże choć ten chłopak szydła i hebla do ręki nie bierze«. » — Będzie-ż mu z tem lepiej? spytał ksiądz, kiwając głową; — i będzie-ż on od was dlatego lepszy, szczęśliwszy?« » — Ha, mam nadzieję, powiada ojciec. Czemuż nie miałby być? Młody jest, zdrow, głowę ma otwartą. Gorszi od niego zdobywają sobie pieniądze i stanowisko. Czemu jemu niema się udać?« » — A wy obrachowaliście się z siłami? pyta dalej kanonik. Bo to, pamiętajcie, kosztuje. Wy zdrowia nie macie, żona także, drobiazgu czworo czy pięcioro, chłopak jeden kaleka — jak wydołacie?« » — E, proszę księdza kanonika, co

tam? Chłopca byle pchnąć, sam dalej pójdzie. I tak też mnie pchnęli. Ojciec mnie umieścił na stancyi u znajomego szewca. Było nas czterech chłopaków: dwóch uczniów i dwóch z warsztatu. Spaliśmy na siennikach w warsztacie, a do uczenia się my dwaj mieliśmy kącik przy kuchni, gdzie był skład starych rupieci. Jak tam z tą nauką szło? Od rana do nocy w ciasnej stancyi gwar, hałas, krzątania jak w ulu. Czeladnik bije chłopca w warsztacie, gospodyni krzyczy w kuchni, dzieci płaczą się pod nogami, płaczą i wrzeszczą wniebogłosy, do sklepiku raz po raz ktoś przychodzi. Aż w głowie kręci się od tego hałasu i w uszach szumi. Ale niema co. Uszy, bywało, zatkam sobie kułakami, przycupnę w kątku, książkę na kolana położę i kuje, kuje. Nicby to jeszcze nie było. Ale na nieszczęście moje dostał się do majstra naszego nowy chłopiec, starszy trochę, zdrow i tęgi, ale nicpoń. Był on w gimnazjum, ale uczyć się nie chciał, więc go ojciec do terminu oddał. On jednak i terminu się nie trzymał. W czterech coś był, nim do nas przyszedł. I ledwie przyszedł, pokazał co umie. Znienawidził mnie, za to widać, że choć biedak, przepychał się przez gimnazjum, w którym on sam nie wytrwał, i że mogłem dobić się czegoś lepszego, niż on. I zaczęło się dla mnie piekło. Niktby nie domyślał się, co taki chłopak zły i mściwy może drugiemu chłopcu złego wyrządzić, gdy nikt go nie broni. A o mnie któż się troszczył? Że bił mnie po kilka razy dziennie, bez

żadnego powodu, to jeszcze może było mniejsze, choć Bóg jeden wie, jak mnie bolały nietyle kułaki, co niesprawiedliwość. Nikt bardziej nie czuje niesprawiedliwości od takiego dziecka, jakim byłem wtedy. Siedzę sobie, bywało, w moim kąciku nad książką, on wypatrzy chwilkę, kiedy nikogo niema, nadbiega, i dalejże na mnie, jak wilk. Za uszy, za włosy, po twarzy, po karku, gdzie trafi. Ja z początku prosiłem go, płacząc: »— Franek, Franek, com ja tobie zrobił? Za co mnie męczysz? Czy zabić chcesz? A on do mnie: »— A prosz, a prosz, panicyku, a skowycz, to może ci parę kułaków mniej wlepię. A będziesz tu nad swemi bibliami ślęczał, a będziesz pana udawał! Masz, masz za to!« Próbowałem skarżyć się. Nikt nie słuchał. Bronić się nie mogłem, alem później przynajmniej już nie prosił się. Zęby zacisnę, bywało, i tyle. Potem, jak sam zostanę, to mi tak czarno robi się na sercu, jakby mnie żywego zasypali ziemią w grobie. Schowam się w ką, zatkam usta, żeby nikt łkania nie słyszał i godzinami tak trzęsę się tam, jęcząc pocichu i pytając, czemu to śmierć nie przychodzi po mnie... Bóg wie, coby ze mną się stać mogło. Ale widzi pan, umiałem wtedy modlić się. Więc jak mi bardzo już ciężko i źle, to klęknę w tym samym kąciku i wołam do Matki Bożej, żeby mnie ratowała, żeby miała choć Ona litość nademną. I zaraz mi lżej, zaraz już czuję, że nie jestem całkiem sam, że ktoś jest, co widzi moją niedolę i pomoże mi prędzej czy później.

Zawsze też, bywało, nim pójdę do szkoły, zabiegnę przedtem po drodze do kościoła, choć na chwilkę. Tak mi zdawało się wtedy, proszę pana, że mi cały dzień dobrze pójdzie, jak go zacznę pacierzem. Zwyczajnie — dziecko! Było mi jednak z tem dobrze. Frane kto zobaczył. — »Gdzie on łązi przed szkołą?« pyta raz mego kolegi z gimnazjum. Kolega ten — już go dawno w szkołach niema — głupi był, ospały, obojętny na wszystko. Mamałygą nazywali go w klasie. Franka bał się, jak ognia, choć ten nic mu złego nie robił. Na mnie wszystko krupilo się. Oczywiście, że objaśnienie żądane pospieszył dać Frankowi. »— Aha, to tak, już wiem! Panicz na księdza się kieruje!« Zaczął mnie jakiś czas tym księdzem i nabożeństwem dopiekać. Choć naprawdę, co mu to szkodziło? Ale taki już był. Potem naraz dał spokój. Dał spokój i zmienił się dla mnie. Jak przedtem dokuczał, bił, męczył, tak teraz stał się spokojnym, prawie dobrym. Ale nie na dobre mi to wyszło. Widzi pan, byłem do tego czasu czystym i uczciwym. On mi i tego pozadrościł. Pozadrościł i tej chwilki spokoju i pociechy, jaką mi dawała modlitwa. Odtąd i tego już nie miałem. Stałem się, jak tyle innych dzieci — zwierzęciem. I to były moje pierwsze trzy klasy.

Innemu dziecku choć czasem słońko zaświeci. Najbiedniejszy chłopak ze wsi ma choć trochę śmiechu, zabawy, wesela w życiu. Ja od tego odwykłem całkiem. W czwartej dostałem pierwszą lekcję. Ostatni czas był, bo i tych parę centów,

które przedtem ojciec dawał, choć tak rzadko, przestały całkiem przychodzić. Trzeba było o sobie myśleć samemu. Miałem czterech chłopaków. Jeden zdolny, ale leniwy, tak, że każdą preparację trzeba było z niego kleszczami wydusić. Reszta łby zakute, jak kawałki drewna. Choć łopata im wkładaj do głowy, choć obuchem wbijaj... nic i nic. Wstaję, bywało — jeśli wogóle położę się w nocy choć na krótko — o piątej, żeby jeszcze trochę własne lekcye powtórzyć. O szóstej — do chłopców. » — Wstawać! Do roboty!« » — Zaraz, zaraz! Jeszcze chwilkę!« odpowiadają. » — Już wstaję!« » — Jak tylko tamci wstaną, to i ja«. Jednego wyciągnę, drugi się nazad kładzie. Takie nygusy były! Wreszcie powyciągałem, pozasadzałem. Do lekcyi: nieszczęście! Żaden nie umie. Męczyłem się z nimi w wilję pięć, sześć godzin... zdawało się, umieją; teraz... nic! Więc prędzej, naprzemian do jednego, do drugiego. Ten łacinę zapomniał, ten matematyki nie rozumie, tamten nie powiedział mi nic o zadaniu niemieckiem. Więc od jednego do drugiego. Z tym powtarzaj jedno, tego pytaj o drugie, tamtemu znów coś innego tłómacz. » — Proszę pana, a ja nie rozumiem jeszcze tego!« » — Proszę pana a co to znaczy?« Tak wkółko, a tu gospodyni na śniadanie woła i łaje, że wczoraj nie przerobiłem wszystkiego... i już, już zapóźno będzie do szkoły. Wróć do domu... lekcye poobiednie przerabiają z chłopakami. Z jednym zaczniesz, dwaj drudzy już się pobili w kącie, trzeci na ulicę poleciał. Leć, łap,

bij... Ledwie skończysz, i do własnej preparacyi chciałbym spojrzeć — znów czas do szkoły. Wieczorem to samo. Nieraz, bywało, dziesiąta już a ja jeszcze korepetycyi przeklętej nie skończyłem, a tu własnych lekcyj kupa, do uczenia się huk, a na to... noc tylko. A jak taka nauka idzie po całodziennem wymęczeniu! Plamy czerwone i czarne płatki latają przed oczyma, a litery w książce tańczą i kręcą się, jak szalone: w uszach szumi, jak pod kołem młyńskim, a w mózgu młotem wali. Gdzie mi preparację robić? Zlewam, bywało, głowę zimną wodą raz po raz, nie pomaga nic. W oczach ćmi, w głowie rwie, w uszach huczy... i ani rusz, choćby zdanie jedno zrozumieć. A tu nie żarty! Trzeba zrozumieć, trzeba się nauczyć, inaczej — dwójka i co za tem idzie. Oj, panie profesorze! Słyszałem ja, że litują się dziś ludzie nad różnymi nędzarzami, ba, nawet towarzystwa opieki nad zwierzętami zakładają podobno. A przecie niema chyba nędźniejszych, niema tak nędźnych, jak my. Parobek, żołnierz, terminator u szewca, więzień w kryminale, oni mają królewskie życie w porównaniu z życiem ubogiego ucznia. A jednak... nad uciśnionemi bydłętami jest ochrona, nad takim biedakiem zaś...

Tak mi przeszła czwarta. W piątej miałem inne lekcye, po dwie naraz, nie lepsze od tamtych. Czasem uczeń był zdolniejszy, ale za to nieraz nie płacili i tych paru papierków, za które się zgodziłem. A ile wymówek, pretensyj, niechęci!

Cóż? Człowiek oswoił się z tem, w tem wyrósł, a przecie bolało. A jeszcze w dodatku jeden i drugi uczeń dostał złą klasę w końcu kursu, choć Bóg widzi, że pracy i męki nie żałowałem dla niego. Co wtedy trzeba było nacierpieć się, jak mi tem w innych miejscach, gdzie uczyłem, ludzie dopiekali! Ale to wszystko nic nie było jeszcze, póki ojciec żył. Bieda była, bo była, ale moja własna. Nikt na mnie nie ciążył. Głód cierpiałem, to sam, a kąta zabrakło, to jeszcze znalazłem na to radę. Gorzej przyszło. I przyszło za tem, co było, żałować. A to, co było, nie było przecie wesołe. Choć o mnie mówią, że mam skryty i chowam się w sobie, jak jeź, oczy mam przecie i widzę innych ludzi, widzę, jak inni żyją. Słyszę, jak mówią o wiosnie życia, o złotych latach młodości, o prawach do szczęścia, do rozkoszy, do pełnej czary życia. Słyszę o porwach młodzieńczych, o wzbijaniu się orlimi lotami w górę, o jasnych niciach, jakie młodość wplata w życie człowieka. A moja młodość, jakąż była i jest, proszę pana? Czy ja miałem chwilę wolną i szczęśliwą, chwilę na marzenie, na zabawę, na przyjemność? Czy mogłem znaleźć przyjaciela i związać się z nim, serce z sercem? Przeczytać, zaśpiewać, choćby powietrzem świeżem odetchnąć swobodnie? Nie i nie. Parę pierwszych wakacyj spędziłem prawda w domu, wśród żydów i błota, wrzasku rodzeństwa, łajania i klątw matki, i stękań chorego ojca. Potem i tego nie miałem. Co lato szukałem korepetycyi, żeby

parę groszy zarobić na niezbędne wydatki, bo z domu nie dostawałem nic już zgoła. Męczyłem się z łaciną i matematyką dziesięć miesięcy szkolnych, męczyłem się z niemi i dwa miesiące feryi. A przeczytać coś, a dowiedzieć się o świecie Bożym... Skąd? Jak? Podczas szkoły — nie było na to ani chwili. Gdy nie miałem ani uczniów przygotowywać, ani własnej preparacyi na głowie, padałem na siennik jak kłoda, i spałem jak zabity. W lecie bywałem u ludzi prostych, bo panowie innych korepetytorów brali, niż ja. Choć i była chwilka wolna, skąd książki dostać? A mnie na nią nie było stać. Burzan co w stepie rośnie, i pokrzywa w lesie, i te mają rosę, mają soki w ziemi, którymi żyją, patrzą na słońce Boże i na Boży świat. Ale ja — nie. I ot przyszło tak, że tej nędzy trzeba było żałować.

Ojciec umarł. Zostały same długi. Pogrzeb zapłacił ksiądz kanonik. Dobrzy ludzie dali chleba na parę tygodni. A potem matka przypomniała sobie, że ma ośmnastoletniego syna. I słusznie. Więc trzeba było i ją i pięcioro rodzeństwa utrzymywać. Ale jak, jak? Gdybym był taki zdolny, jak inni, albo taki obojętny, albo taki gładki w obejściu, mógłbym i potrafił. Nie byłem. Pan mnie zna, jakim jestem. Nie miałem też nigdy szczęścia wielkiego ani z lekcjami, ani z ludźmi. Ot, z biedą się żyło samemu, nic więcej. A teraz trzeba było wyżywić sześcioro... Matka tu się przeniosła. Próbowwała szyć, bieliznę brać do prania — ale gdzie-

tam! Roboty nie było, a gdyby była, nie byłoby sił. Dzieci — maleństwo. Jeden starszy, piętnastoletni, ale ten kaleka na obie nogi. Więc żadne nie może zarobić nic. A każde jeść musi. I każde do mnie woła: daj!

Jak ja panu opiszę ten rok ostatni? Ale poco opisywać? Ot, spojrz pan na mnie. Miałem jeszcze trochę sił i zdrowia przed paru laty, a teraz, oto co ze mnie ten rok zrobił! Dawniej męczyłem się, ale i odpoczywałem, choć czasem; teraz dzień i noc, jedno i jedno. W dzień lekcye, w nocy przepisywanie. A jeszcze mogłem się nazwać szczęśliwym, bo mi choć roboty nie brakło, jak innym. Ale sił zabrakło. Całkiem zamroczyło mi głowę w końcu. Przestałem rozumieć lekcję. Drugiemu jeszcze wytłómaczyć potrafię, ot, więcej z przyzwyczajenia; sam nauczyć się czegoś — niesposób. I com już robił, jakem się męczył... nie i nie. I stało przedemną jak widmo: drugi rok w siódmej klasie, utrata lekcyj, bo któż repetentowi da korepytycę; opłata szkolna, na którą nie miałem centa, nie to — guldena. Zacząłem tracić całkiem głowę, z rozdrażnienia, znużenia, niepokoju, bywałem czasem po prostu nieprzytomny. Tak i wczoraj...

— Ja to wszystko przedstawię gremium profesorów — rzekłem, biorąc go za rękę i ściskając go z całej siły. — Ja będę starał się... ja, ja... Ach! Gdybym był o tem wiedział wcześniej!

On potrząsnął głową w zamyśleniu.

— Czy to ja jeden taki? — rzekł powoli. —

Teraz każdy się ciśnie do szkoły, a ledwie dziesiąty ma czem łyżkę ciepłej stawy zapłacić i kącik jakiś, choćby pod schodami. Pan profesor wszystkich nie może wspomódz, nikt tego nie potrafi. Chyba... oni...

— Któż to, ci *oni*? — spytałem. — Drugi raz już o tem wspominasz. Któż to jest?

Uśmiechnął się.

— Ot, różni ludzie bywają na świecie — rzekł wymijająco. — Słyszało się różne rzeczy. Jak tak człowiek żyje w nędzy i poniewierce, jak mu głodno i chłodno i w rękach rwie się wszystko, a potem spojrzy na innych, którym słońce świeci zawsze, to mu różne myśli przychodzą. Przychodzą ~~sa-~~memu, przychodzą i drugim. Pókim był mniejszy, to odpędzałem te myśli, jak grzech, i nie chciałem takiego gadania słuchać. Może i lepiej byłoby... Ale ot, widzi pan, człowiek dojrzał przed czasem i zbrukał się to i wiarę stracił. Niedarmo żyłem od dziecka w kałuży. A straciwszy raz wiarę, pytam, czemu nie miałem myśleć i słuchać o tych rzeczach, które przedtem zdawały mi się grzeszne? Pókim wierzył w nagrodę wieczną i pociechę za grobem, a bałem się wiecznej kary, można było znosić ucisk i mękę. Pacierz ulgę przynosił; mówiło się: nic to! znieś, cierp, Bóg ci wynagrodzi! Ale potem, teraz... Więc też i słuchałem tego i owego, od czego niegdyś-bym uciekł. I tak przyszło, co mam się z tem taić! — że mi niektórzy radzili szkoły porzucić, poduczyć się łatwego rze-

miosła, osiąść przy warsztacie i ludzi garnąć do siebie. — Pomożemy ci, powiadali, na początek, nie damy i potem zginać. Choćbys do matury dociągnął, z rodziną przez uniwersytet nie przepchasz się, ani przez pierwsze lata po skończeniu uniwersytetu. Jako rzemieślnik dasz sobie rady, z pomocą przyjaciół. Takich ludzi nam brak. Rzemieślnik, co prawie szkoły średnie skończył, potrafi mieć wpływ, pociągnąć ku sobie... I krzywd własnych i cudzych pomści się łatwiej... Cóż? Mają rację. Wiem o tem, wiem oddawna. Ale ot, strach brał mnie zawsze. Myślę sobie: niech-no skończę, niech zdam maturę, zobaczymy wtedy. A może to naprawdę źle? Może naprawdę jest Bóg i wieczność, i lepiej cierpieć tu, niż tam...

— Ależ Bóg jest — przerwałem mu — nie bluźń, chłopcze. Bóg jest, a ci, którzy cię podmawiają przeciw Bogu, to wrogowie twoi, co chcą cię wepchnąć w przepaść.

Ruszył ramionami.

— Być może tak, być może i nie — rzekł. — Każdy człowiek ma swoje przeznaczenie. Ja widać, żem dziś los mój wyciągnął. Gdyby mnie nawet z łaski zostawiono w szkole, zbyt trudno przyjdzie przepchać się przez nią do końca. A może za rok, za dwa tej pomocy nie znajdę, jaką mogę dziś mieć. Więc lepiej...

Spuścił głowę na piersi, oczy przymknął i milczał przez długą chwilę. Brwi ściągnęły mu się na czole z widocznego wyteżenia myśli. Patrzałem

na niego, nie mogąc oczu oderwać. W ziemię wro-
słem. Tysiąc uwag, argumentów, ostrzeżeń i grózb
cisnęło mi się na usta. Chciałem nieszczęsnego
przekonać, wstrzymać nad przepaścią, otrzeźwić
z obłędu, w jaki go uwiedli fałszywi prorocy. Nie
byłem w stanie. Słowa więzły mi w gardle, za-
mierały na ustach. A on wciąż milczał, zamysłony
posepnie. Podniósł nareszcie głowę.

— Tak, niema rady — szepnął do siebie pół-
głosem — niema rady. Skończyło się.

Zwrócił się do mnie i rękę wyciągnął.

— Dziękuję panu profesorowi raz jeszcze. I prze-
praszam za tę napaść, bardzo przepraszam. Chcia-
łeś pan najlepiej... ale już zapóźno.

Zapóźno! Słowa te obity się o duszę moją głu-
cho i ponuro, jak jęk. Byłyż prawdą? Pytanie sta-
nęło przed memi oczyma, krwawemi zgłoskami
wystające na ciemnem tle nocy i wbijać mi się
zaczęło w duszę, zaczęło każdą zgłoską palić mi
sumienie. Zapóźno! Dlaczego? I z czyjej winy?

Księżyc chmurą się przysłonił, rzucając garście
blasków z pod ciemnej zasłony. W mgłach wil-
gotnych, zapełniających puste zaułki i place i owi-
jających mury miejskie szarymi puchami, wysoka,
pochylona postać Stefana Sikory zacierała się
zwolna i znikła wreszcie na zakręcie ulicy. Obok
latarni, przy której staliśmy obaj, zostałem sam
jeden, patrząc w mgłę ciemną, co go pochłoneła
jak otchłań bezdenne oceanu. Czy go wróci kiedy
i jakim? A jeśli nie wróci — kto temu winien?

JAK LIŚCIE Z DRZEW STRĄCONE
PASTEL SCENICZNY W 1 AKCIE

OSOBY:

WŁADYSŁAW ZGLEŃSKI

MARSZAŁEK

ADAM, jego synowiec

WANDA, jego córka

OTTYLIA

JAN, służący.

(Ustępy między nawiasami [] mogą być opuszczone na scenie).

Scena przedstawia ogród wiejski. W głębi dwór parterowy z werandą i otwartymi parapetowcami drzwiami. Po lewej stronie wśród drzew ławeczka i parę ogrodowych krzeseł, bliżej werandy stolik, na nim taca z karafką wody i szklankami.

Jesień. Liście żółkłe zaścielają ziemię i spadają z drzew przez cały czas gry.

Rzecz dzieje się na Ukrainie w domu Marszałka przed ćwierć wiekiem.

SCENA I.

WANDA i OTTYLIA.

(Wchodzą w ożywionej rozmowie przez werandę do ogrodu).

WANDA.

Więc z nim mówiłaś?

OTTYLIA.

Jak z tobą mówię. Dziś, jutro tu będzie.

WANDA.

Zmienił się? Bardzo?

OTTYLIA.

Posiwiął i zeszczipłał, a rysy mu stwardniały, jakby wykute z brązu. Oko świeci, jak dawniej, ale brak już dawnego uśmiechu. Cóż dziwnego? Nietylko uśmiechać się — mówić prawie odwykł.

WANDA.

Biedny, biedny... kochany!

OTTYLIA.

Wychodzę z kościoła, a wtem we drzwiach dopędza mnie Kapuścińska ze swoją nieśmiertelną atlasową peleryną: — »Widziałaś Zgleńskiego?« — woła. — »Jakiego Zgleńskiego?« »Jakiegoż, jak nie Władysława! Wrócił przedwczoraj do swojego Horyńca, a dziś zamówił żałobne nabożeństwo«. Słucham — i w głowie mi się kręci. Zgleński! Tutaj! A myśmy myślały, że on gdzieś między Obią a Irtyszem!

WANDA.

W ostatnim liście donosił mi o powrocie, ale nie przypuszczałam, że to będzie tak prędko...

OTTYLIA.

A ty zawsze kryjesz się przedemną z tem, co w tych listach najciekawsze! Gdy chodzi o drobiazg, anegdotkę, opis, to czytasz, a gdy jest coś ważnego, to zaraz sekret. Tak i teraz i dlatego tak to mnie zaskoczyło! Stoję więc, jak nieboszczka Lotowa, aż tu z cmentarza nadchodzi — kto? On sam.

WANDA.

Poznał cię?

OTTYLIA.

Odrazu. Myślałam, że się rozplacze. Ja bo zmieniłam się w fontannę. Pomysł tylko — dwanaście lat!... Żegnałyśmy go młodzieńcem, a teraz...

WANDA.

Wtedy Maryla była z nami jeszcze...

OTTYLIA.

Wracał z jej grobu... Lotem ptaka — powiada — chciałbym być u was, zobaczyć miejsca, w których lepsza część duszy mojej została!

WANDA.

A czy...

OTTYLIA.

Czy co?

WANDA.

Czy... nic więcej nie mówił?

OTTYLIA.

Pytał o ciebie... Co tam porabia — mówi, — moja mała korespondentka? — To był jedyny promień słońca dla mnie przez tyle lat. Wiesz?... On zawsze wyobraża cię sobie w krótkiej sukience. Toż się zdziwi!

WANDA.

Ja go już od dawna widziałam w duszy takim, jakim musi być teraz.

OTTYLIA.

Bo go nie pamiętasz. Takim dzieckiem byłaś wtedy. I on zresztą nie uważał na ciebie, patrząc w oczy Maryi.

WANDA.

On może mnie nie pamiętać, ale ja... Widzę go jak dziś, kiedy wyjeżdżał, z pieśnią na ustach, z burką rozwianą nad siodłem, z piorunem w oczach. Marya zalewała się łzami, mnie żal brał stracić go z oczu na chwilę — więc wstrzymywałam łzy.

OTTYLIA.

Zuch z ciebie był zawsze, moja Wandziu!

WANDA.

Ale potem myślałam o nim długo, ciągle. Z początku stał przedemną taki, jak wtedy, gdy odjeżdżał; potem, gdy zaczęłam do niego pisać zamiast Maryi, zmienił się i już go nigdy nie widziałam młodym... Świecił mi w duszy posepny a promienny, jak północne zorze.

OTTYLIA.

Pamiętam: nazywałaś go Anhellim.

WANDA.

Ale Anhellim starszym, i silnym, i niedającym się ugiąć cierpieniu...

OTTYLIA.

Aj, ty moja marzycielko!... Co też na to powiedziałby pan Adam?

WANDA.

Adaś?... A cóż jemu do tego!

OTTYLIA.

No, przecie jest twoim narzeczonym...

WANDA.

Ależ choćby nawet był moim mężem! Nie wiem zresztą doprawdy, jak możesz mieszać Adasia do rozmowy o panu Władysławie! To zupełnie tak, jakbyś ulubione Adasiowe buraki pomieszała z moimi kwiatami!

OTTYLIA.

Hm, hm... Wiesz, Wańdziu, ty bo jesteś strasznie egzaltowana.

WANDA.

Ja?

OTTYLIA.

A tego Adasia zanadto źle traktujesz. To taki poczciwy chłopiec!

WANDA.

I poczciwy, i porządny, i czerwony, i zawołany gospodarz, i agronomię w Hali skończył ze złotym medalem, i będzie kiedyś chlubą i podporą powiatu!

Znam całą litanię na pamięć! I ty, i ojciec, i wszystkie ciocie, i babunie powtarzacie mi ją zbyt często.

OTTYLIA.

Czy może nie mamy racyi?

WANDA.

Ależ macie, macie, nie jedną, ale sto racyi!

OTTYLIA.

Więc...

WANDA.

Więc cenię Adasia, szanuję, uważam sobie za zaszczyt być jego narzeczoną, pod warunkiem jednak, aby mnie jak najmniej nim nudzono i aby mi nie włożył w drogę, gdy wobec pana Władysława spełniam ostatnią wolę biednej Maryi!

OTTYLIA.

Tak — to była ostatnia jej myśl na tej ziemi...

WANDA.

Chcesz?... (*zarzucając Ottylii ręce dokoła szyi*).
Nie mówmy już więcej nic o... tym twoim protegowanym... Ani słowa! Dobrze?

OTTYLIA.

Ależ on nie jest wcale moim protegowanym...

WANDA.

Ani słowa, prawda? Pomyśl tylko: w takim dniu! Tyle lat marzyłam o nim, a dziś... (*Wstaje*

i przechadza się w zamyśleniu. — Chwila milczenia).

Dziś zdaje mi się, że nadszedł zbyt prędko. Sądziłam, że kiedyś dopiero, kiedy oboje będziemy już starzy... *(po chwili)*. A jednak każdy dzień dłużej tam, to był dzień męki!... On tak bardzo tęsknił!... Patrz: oto ostatni jego list! Nie miałam odwagi czytać ci go: zbyt rwał duszę — teraz, gdy wraca... Chcesz?!

OTTYLIA.

Czy możesz pytać!

WANDA *(czyta)*.

»Dnie już dłuższe. Co rano wychodzę nad Irtysz patrzeć, czy nie zaczynają pękać lody. — Tajga śpi jeszcze, ale na stepie stoją wody i mchy zielenieją nad brzegiem. Biedna ta zielen sybirska — taka nikła i smętna, a trwa tylko krótką chwilę... Ale już się robi cieplej i wczoraj po raz pierwszy widziałem ptactwo, lecące nad rzeką. Z zachodu leciało naszym wygnańczym szlakiem. Czy uwierzysz, dziecinko?... Miałem wrażenie, że to gromadka przyjaciół! Tunguz, u którego mieszkam, wyniósł strzelbę z chaty i przymierzył się do nich: odepchnąłem go i strzał w bok poszedł. Zdziwił się sybirak i pomyślał pewnie, że zwaryował. A ja biegłem oczyma za ptakami, mówiąc w duszy: »Lećcie jak najdalej, cieszcie swym widokiem inne jeszcze serca osamotnione i smutne! Możecie od-

poczywały w drodze gdzieś na naszej łące między Bohem a Rosią, może jakieś chłopskie dziecko przestało grać na fujarce, słuchając waszego świergotu... Lećcie zdrowe, a gdy będziecie wracać, wracajcie tą samą drogą!«.

»Widzisz, Wandziu jaki to stary dzieciak ze mnie! Boć te ptaki leciały pewnie z Indyi, a nie z Polski. Ale cóż chcesz? W tej pustce i ciszy wyobraźnia szuka pokarmu... I tyle też mego, co pomarzę o was drogich, o tych, co odeszli już ode mnie i nie wrócą, i o tych, co zostali... daleko... (*Chwila milczenia*).

»[Dziś rano wyszedłem ze strzelbą w las. Słyszę — śnieg chrupie i gałęzie szeleszczą — czy niedźwiedź? Nie — to brodiaga skradał się jak wilk, chcąc mnie wyminąć... Wyjąłem z torby chleb i dałem biedakowi. Dwa dni nie miał nic w ustach... rozgadał się, jedząc. Nie pytałem, skąd jest, bo na to-by nie odpowiedział, ale z rozmowy i akcentu domyślałem się, że pochodzi gdzieś od nas, z przed Dniepru, i chciałby przedostać się ku swoim. — »Ależ jak cię po drodze nie schwyca, to już pewnie w domu poznają i złapią?...« — »To i cóż!. Byłe raz spojrzeć na mój kąt, a potem niech już katorga i choćby śmierć!« Musiał to być zbrodniarz, na rękach świeciły mu blizny od kajdan, a jednak uścisnąłem go jak brata«.

Był mu bratem, bo cierpiał i tęsknił jak on] (*składa list i nachyla się do Ottylii, która słuchała z twarzą ukrytą w dłoni*).

Płaczesz? a widzisz! I godzi się tu mówić przytem o — Adasiu?..

(Chwila milczenia. Słysząc turkot).

OTTYLIA *(podchodząc do domu).*
Ktoś przyjechał!

WANDA *(porywając się).*
On!

OTTYLIA *(z głębi).*
Pan Adam!

WANDA *(siadając ciężko z wyrazem zniechęcenia).*
A!..

SCENA II.

(Przez chwilę słysząc w głębi gwar, potem wchodzi).

MARSZAŁEK, ADAM, *po chwili* OTTYLIA.

MARSZAŁEK.

No, przyprowadzam ci gości, a o wielkiej nowinie musiała ci już mówić panna Ottylia.

WANDA *(wita się w milczeniu z Adamem, który całuje jej rękę nieśmiało).*

MARSZAŁEK *(do Adama).*

Wyobraź sobie, Zgleński wrócił z Sybiru!

ADAM.

Zgleński?... Narzeczony nieboszczki Maryi?

MARSZAŁEK.

A tak, tak... biednej mojej córki.

ADAM.

Słyszałem, że korespondował z Wandzią?...

MARSZAŁEK.

Pewnie, że korespondował. Zaczęło się to podczas choroby biedaczki Maryi, która wiesz, że miała jechać do narzeczonego, ale Bóg to inaczej obrócił. Kiedy już nie mogła pisywać sama, zastąpiła ją Wandzia, ot — tycia jeszcze. A po śmierci tamtej, ona jedna pocieszała zrozpaczonego.

ADAM (*z uczuciem*).

Jakaś ty dobra, Wandziu!

(*Zwracając się do Marszałka*)

Ale proszę stryja — jakże będzie z tymi burakami?... Nie chcą mi ich przyjmować wedle mojej wagi, choć głową mur tłucz! Jak stryj radzi?

MARSZAŁEK.

Poskarż się dyrektorowi. To najprostsza droga.

ADAM.

A mam takie śliczne tego roku, jak nigdy. Chodziłem koło nich, przepłacałem robotnika, żeby tylko mieć najpiękniejszy zbiór na dziesięć mil

wokoło, a teraz te szykany! Już mi nie tyle chodzi o pieniądze...

WANDA.

Ale o honor, prawda?

ADAM.

A tak, tak, oczywiście! Ty mnie rozumiesz, Wandziu. Te buraki to moja chluba. Wiesz, że na wystawie rolniczej zapewniają mi co najmniej srebrny medal.

WANDA.

Należy ci się złoty. Oddałeś się im cały przecie...

ADAM.

A tak, prawda; oddałem się. Wstaję o czwartej. cały dzień z konia nie złażę, a po kolacyi ślęczę jeszcze nad dziennymi rachunkami. Ledwie w niedzielę mam czas zaglądnąć do gazety, a książki, to już sam nie pamiętam, odkąd nie miałem w ręku.

WANDA.

I ja nie pamiętam.

ADAM.

Bo zresztą — co mi teraz po książkach? Książkami nie uratuję tego kawałka ziemi, który przecie muszę zachować...

MARSZAŁEK.

Jużes go wywalczył, mój dzielny chłopcze. Kie-

dyś tu wrócił z zagranicy przed pięciu laty, sam nie miałem nadziei. Myślałem: nie wydołasz, jak tyłu innych. Ale ty miałeś twardą dłoń — i wytrwałeś!... Teraz, gdyś spłacił tyle ojcowskich długów i tak podniosłeś wartość majątku, jestem o ciebie spokojny.

ADAM.

Daleko jeszcze do końca, zwłaszcza jeśli stracę na burakach. A przytem, wie stryj, że i gorzelnia poprostu spać mi nie daje. Tyle liczyłem na tę setkę wołów, myślałem: wykarmię przez zimę i grubo zarobię, sprzedając. Tymczasem i to nie. Zima minęła, lato minęło, a one wciąż chude i chude.

MARSZAŁEK.

Czy myślisz, że u mnie lepiej? Ot, jeden kłopot i zmartwienie z całym tem gospodarstwem!...

OTTYLIA.

Zwłaszcza, gdy niema gospodyni.

ADAM.

Oj, to, to! Bez gospodyni nie sposób ład utrzymać w domu. I ze służbą źle, i całe kobiece gospodarstwo na nic. A odemnie tak blisko do miasta! Sąsiadka moja, stara Wojdyłowa, do dwóch tysięcy bierze rocznie za swoje produkty gospodarskie, choć musi je wozić dwa razy dalej.

WANDA.

Boję się, mój Adasiu, żebym ci nie zrobiła zawodu. Nie mam wcale powołania być panią Wojdyłową.

MARSZAŁEK.

No, zapewne, że Wojdyłową — nie, z jej juchtowymi butami i wysokim czepcem, ale za to Adasiową? Co? Do tego miałabyś powołanie?

WANDA.

Nie! (*wychodzi*).

SCENA III.

CIŻ *prócz* WANDY.

MARSZAŁEK (*do Ottylii*).

Co jej się stało?

OTTYLIA.

Ej, nic. Nerwy! Pewnie ta wiadomość o przyjeździe Zgleńskiego...

MARSZAŁEK.

Zgleńskiego? Cóż znowu?... Nie znała go prawie, chyba tych parę listów...

OTTYLIA.

No, parę, parę! Od ośmiu lat nie było tygodnia...

MARSZAŁEK.

Ale cóż ma wspólnego... I za cóż ma cierpieć Adaś?

ADAM.

O, o! przecież mojej Wandzi wolno być czasem w złym humorze! Żeby stryj wiedział, ile razy mnie samemu to się zdarza! I co ja wtedy nagadam nietylko parobkom, ale i ekonomom!...

MARSZAŁEK (*niezadowolony*).

No, to znowu co innego.

OTTYLIA.

Pan bo już doprawdy zawiele o tych swoich parobkach i burakach... Czy to temat do rozmowy przy narzeczonej?

ADAM.

A o czymże będę mówił, proszę pani? Przecie nie o poezyi! Dość ze mnie jeśli nie śpię, kiedy mi czyta swojego Słowackiego! A przytem burak — to chleb, więcej — to ziemia, to warunek utrzymania się przy ojczystym kącie! A czy to nie ważniejsze od poezyi?

OTTYLIA.

Straszny prozaik z pana, a Wandzia moja to ptaszek, co lubi bujać ponad ziemią i patrzeć w słońce.

ADAM.

Ależ i ptaszek nabujawszy się w słońcu, wraca na ziemię i szuka ziarna.

OTTYLIA.

Nie samym tylko chlebem żyje człowiek.

MARSZAŁEK.

Oj, to, to! Nie samym tylko chlebem, ale i ma-
słem, i kielbasą, i wódką także, zwłaszcza przed
obiadem... Bójcie się Boga!... Toż to dwunasta
dawno minęła! Hora canonica a ja bez wódki,
a Adaś z drogi!

OTTYLIA.

O, przepraszam, ale tak dziś jestem roztargniona!
Przygotowałam wszystko na kredensie i zapomnia-
łam panom podać! (*wychodzi*).

MARSZAŁEK (*zwrócony za nią*).

Ani chybi, tylko to spotkanie ze Zgleńskim
musiało pani głowę zawrócić.

OTTYLIA (*wraca, niosąc tacę z wódką i prze-
kąskami, którą stawia na stoliku obok karafki
i szklanek*).

Pewnie... pewnie... (*na str.*) Oj, gdybyż tylko
mnie!

MARSZAŁEK (*nalewa kieliszek i przypatruje się
pod światło*).

Złoto, istne złoto! No, w ręce twoje!

ADAM.

Dziękuję.

MARSZAŁEK.

Nie? Toś z przeproszeniem głupi.

ADAM (*śmiejąc się*).

Dawno wiem o tem, a Wańdzia wie jeszcze lepiej odemnie.

MARSZAŁEK.

Et, Wańdzia, — co tam Wańdzia! Niech ona Bogu dziękuje... (*rusza ramionami i mruczy pod nosem, potem głośno do Adama*). Cóż, idziesz?

ADAM.

W tej chwili stryjaszku, ale mam przedtem maleńki interes do panny Ottylii.

MARSZAŁEK.

Sekret, co?

ADAM.

Nie, ale...

MARSZAŁEK.

Ale przecie sekret... Ej, ci młodzi! Nie dość ci Wańdzi: jeszcze pannę Ottylię chcesz mi bałamucić! A dla mnie kto zostanie? No, no, gruchajcież sobie, a ja pójde Wańdzi poszukać. Może ją udobrucham (*wychodzi*).

SCENA IV.

OTTYLIA — ADAM.

ADAM.

Chciałem panią prosić, bardzo prosić...

OTTYLIA.

Chodzi o Wańdzię, prawda?

ADAM.

Prawda. Stryjowi nie mogłem oczywiście mówić; on to zresztą całkiem inaczejby zrozumiał, ale pani...

OTTYLIA.

Tak, — ja pana rozumiem...

ADAM.

Bo widzi pani, między nami jest coś. Jakiś mur, i ja czuję, że ten mur rośnie. Z początku zdawało mi się, że to minie. Sam pokochałem Wańdzię od razu po powrocie tak gorąco! Myślałem, że to wystarczy. Nie wystarczyło. Im bardziej starałem się zdobyć jej serce, tem dalej ono uciekało odemnie. Może i nie dziw. Cóż — prosty chłopak ze mnie, po obłokach latać nie potrafię, umiem tylko kochać i pracować... I to ją pewnie zraża do mnie, że zawiele mówię o tej pracy, bo mi na sercu leży i na myśl wciąż wraca, bo to przyszłość nie tylko moja, ale kraju całego...

OTTYLIA.

Ona nie poznała się dotąd ani na pracy pańskiej, ani na panu, panie Adamie.

ADAM.

Ej, na czem tam jest się poznawać!... Ot, po prostu ona stoi o całą przepaść wyżej ponadtem wszystkim. Taka istota cała z mgły i tęczy! Zupełnie tak, jak w tej poezji czy dramacie, wie pani, gdzie to wypływa z jeziora podobna królowa?... Tylko tam ona kocha się w parobku...

OTTYLIA (*z uśmiechem*).

Goplana?

ADAM.

To, to, Goplana. Otóż czemuż ja jestem wobec takiej istoty?

OTTYLIA.

No, pewnie, że nie Grabcem.

ADAM.

Oj, właśnie, że czemś podobnem! Ona cała jest marzeniem, entuzjazmem, poezją, a ja przy moich maszynach i parobkach sam staję się parobkiem i maszyną.

OTTYLIA.

To — nie, ale istotnie bywało tego zawiele.

ADAM.

Bo to — byt, bo to — powinność. Ale nie dla

niej, wiem, i widzę to od dawna. Cóż zrobię jednak? Gdybym mógł dać jej krew z pod serca, dałbym tak chętnie, byle najłżejszy cierni usunąć z jej drogi. Ale stać się innym, niż mnie Bóg stworzył — nie sposób przecie. A wobec tego, co pani myśli i co mi pani poradzi? Czy wytrwać, czy usunąć się, żeby jej, biedaczce kochanej, świata sobą nie zagradzać?

OTTYLIA (*patrzy na niego przez chwilę w milczeniu*).

Co ja myślę?... Myślę, żem winna i bardzo winna, bom nie umiała zawczasu podciąć skrzydeł tej dziewczynie i sprowadzić ją na ziemię. I siedzi sobie za parawanem z poezyi i książek, i świata za nim nie widzi. A w dodatku teraz...

ADAM.

Teraz? Co pani przez to rozumie?

OTTYLIA.

Ja?... nic. Sam pan zresztą zobaczy.

ADAM (*z wybuchem*).

Zgleński?!

OTTYLIA (*patrzy na niego przez chwilę i rusza lekko ramionami, potem oddala się w głąb*).

ADAM (*idąc za nią*).

Powiedz pani — czy tak?

OTTYLIA.

Być może. *(wychodzi, za nią Adam).*

SCENA V.

(Scena pozostaje przez chwilę pusta, potem od ogrodu pokazuje się Jan, a za nim zwolna nadchodzi Władysław, rozglądając się dokoła).

JAN *(zatrzymując się i patrząc z rozrzewaniem na Władysława).*

Tędy, proszę pana. O mój Boże! Czy to ja mogłem się spodziewać, że doczekam się widzieć pana z powrotem.

WŁADYSŁAW.

Posiwiliśmy, zgarbiliśmy się, mój stary! Tyle czasu — nie żart! Że to mnie jeszcze poznałeś?

JAN.

O mój Jezu najśłodszy! Jabym pana nie miał poznać, com małego Władzia na ręku nosił! Tylko — żem już nie spodziewał się doczekać... Toż będzie państwu radość, gdy oznajmię. *(idzie zwolna w głąb, zatrzymując się i oglądając co chwila).*

WŁADYSŁAW *(przechadzając się w zamyśleniu).*

Wszystko tak jak było, tylko drzewa rozrosły się. Nie dziw: tyle lat... tyle lat... Wtedy wiosna była, teraz kwiatów brak już i liście opadają.

I słońce zdaje się, świeci nie tak, jak dawniej.
(*Pauza*). Jesień, jesień! (*siada w zamyśleniu, opierając czoło na dłoni*).

SCENA VI.

WŁADYSŁAW — WANDA.

(*Wolnym krokiem schodzi z werandy i zbliża się do Władysława, nie widząc go, — Władysław podnosi głowę i przypatruje się jej z rosnącym zdumieniem*).

WŁADYSŁAW (*zrywając się i wyciągając ręce*).
Marya!

WANDA.

A! On!

WŁADYSŁAW.

Na Boga! Co to znaczy?

WANDA (*podbiega, podaje mu obie ręce*).
Pan Władysław!

WŁADYSŁAW.

Ja... ale...

WANDA.

I nie poznaje pan swojej starej przyjaciółki?

WŁADYSŁAW.

Jakto? — Pani?... Pani byłabyś Wańdzą?

WANDA.

A któż? Pan może myślał, że ja jeszcze w krótkiej sukience!

WŁADYSŁAW.

Prawda! Tyle lat...

WANDA.

Tyle lat, a przytem bardzo złych i ciężkich lat. To liczy się podwójnie.

WŁADYSŁAW.

Jak wojna... Ja też z niej wracam inwalidem.

WANDA.

Dla mnie skróciła dzieciństwo.

WŁADYSŁAW.

Tak: z wiosennego pączka stałaś się pani kwiatem. Taką była Marya, gdym stąd odchodził...

WANDA.

Wróciłeś pan wreszcie do niej... i do nas.

WŁADYSŁAW.

Do jej grobu i do własnego gniazda — do pustego, zimnego gniazda!

WANDA.

Dziś jest takim, ale jutro...

WŁADYSŁAW.

Ach, nie mów pani o jutrze tem... albo nie —

mówmy o niem! Wszak tem jutrem byłaś pani dla mnie tak długo... długo...

WANDA.

Ja!...

WŁADYSŁAW.

A któż, jak nie pani?... I nadzieją jutra, i treścią dnia dzisiejszego — treścią życia. Komuż, jak nie tobie zawdzięczam, że żyję? [Wszak prócz twoich listów jedynymi towarzyszami mymi przez te lata byli Tunguzi i rosyjscy osadnicy z najbliższych kolonii! A w kraju — któż mi został?] Jedynem ogniwem łączącym mnie z ojczyzną i życiem — ty byłaś!

WANDA.

Naprawdę? I myślałeś pan o mnie? Bo mi się zdawało, żeś pan we mnie widział Maryę i do niej tylko zwracał się w swych listach.

WŁADYSŁAW.

Z początku miałem to złudzenie. Ale listy pani były tak odmienne od listów Maryi, tak odrębna przeglądała z nich dusza, że złudzenie musiało się rozwiązać.

WANDA.

A ja tak starałam się naśladować listy Maryni, chwycić ich nastrój i zwroty, byle złudzenie to zachować.

WŁADYSŁAW.

Nie udawało się pani — i dobrze, że się nie udało. Temu zawdzięczam, że panią poznałem. Indywidualność pani była zbyt silną, żeby ją można było nagiąć i utrzymać w cieniu. Z każdym listem zarysowywała się wyraźniej. A wówczas...

WANDA.

Wówczas?

WŁADYSŁAW.

Zajęła mnie i przywiązała do siebie. Zrozumiałem, że zamiast tej duszy, która odeszła odemnie, Bóg mi zesłał inną, bardzo kochaną i blizką, choć tak oddaloną... I już ją zawsze czułem przy sobie.

WANDA (*cicho*).

Byłam przy tobie.

WŁADYSŁAW.

To mi dawało siłę żyć. Czy sądzisz pani, że bym inaczej przetrwał te noce bez słońca naokoło mnie, i te drugie, straszniejsze, w głębi własnej duszy?... Ale czytałem listy twoje — i do ciemnej chaty wygnańczej wchodziło słońce, wchodziła wiosna!

WANDA.

Marzyłam o tem, ale nie śmiałam przypuszczać...

WŁADYSŁAW.

Dzięki tobie wracam tutaj... (*ciszej*). Tylko wracam innym, innym...

WANDA.

Nie!... Wracasz pan takim, jakiego widywałam w snach moich!

WŁADYSŁAW (*z uśmiechem*).

Jakto? Takim siwym, złamanym niedołągą?

WANDA.

Nie — nie takim. Takim, jakim pan jesteś! Z czołem pooranem wichrami, z morzem mąk przecierpianych w oku!

WŁADYSŁAW.

Poetka z pani! Marzenia swe bierzesz za rzeczywistość!

WANDA.

Nie — tylko rzeczywistość przeczuwam sercem. Cóż w tem dziwnego zresztą?... Jeśliś pan tam zdala myślał o mnie, czy mogłeś przypuścić, że ja tutaj nie myślałam o panu?

WŁADYSŁAW (*w zamyśleniu*).

Wiem — czułem to.

WANDA (*z rosnącym uniesieniem*).

Od kiedy pamiętam, nie było takiego dnia, nie było godziny... Myślałam w noc bezseną, gdy ucichły powszednie zajęcia i gwary, myślałam w dzień, wśród marnych ludzi i trosk poziomych. Myślałam w szczęściu, którego nie mogłam z pa-

nem podzielić, myślałam w cierpieniu, które mnie uczyło głębiej sięgać w pańską duszę...

WŁADYSŁAW.

Wando!

WANDA (*j. w.*).

Przez te wszystkie lata, odkąd zaczęła dojrzewać myśl moja i rozwijać się serce, byłeś gwiazdą i dźwignią i całą treścią mego życia. Jak kwiat do słońca, zwracała się ku tobie moja dusza! Wkoło mnie mówiono o pieniądzach i maszynach, i wszystko było takie zimne, i płaskie, i małe: tyś jeden świecił mi zdala w aureoli bohaterstwa i ofiary, ciebie jednego widziałam, jak trawiony ogniem tęsknot i bólów ginąłeś powolnem konaniem duchów szlachetnych i przerastających tę ziemię...

WŁADYSŁAW.

Wando, dziecię moje, uspokój się! Mówisz w gorączce!

WANDA (*j. w.*).

Urosłeś ponad wszystkich i wszystko, do bohaterów dni dawnych podobny! I zazdrościłam wiatrom płynącym ku północy i odlatującym z wiatrami ptakom... I chciałam być jaskółką, aby cię okrażać cichym, sennym lotem, i chciałam być muszką drobną, siadającą ci nad czołem, i trawką nadbrzeżną, którą rozgniatała twoja stopa!

WŁADYSŁAW.

Ależ to szaleństwo!

WANDA (*dotykając ręką czoła jakby w zapomnieniu*).

Nie wiem, nie wiem... Tyle lat dusiło to mnie, rozrywało pierś... Nie rozumiałam siebie! A teraz...

WŁADYSŁAW.

A teraz?...

SCENA VII.

CIŻ. — OTTYLIA.

WANDA (*podbiega do niej i rzuca się jej na szyję, z namiętnym wybuchem*).

Teraz powiedz mu, ach powiedz, ty co znasz moją duszę, że on jest moim światem, mojem życiem, mojem wszystkim! On jeden! (*wybiega, zakrywając twarz rękami*).

SCENA VIII.

WŁADYSŁAW — OTTYLIA.

(*Chwila milczenia*).

WŁADYSŁAW.

Na miłość Boga — co to znaczy?...

OTTYLIA.

To znaczy, że przyszło do pana szczęście i mówi:
»Weź mnie!«

WŁADYSŁAW.

Ależ nie rozumiem..

OTTYLIA.

I ja nie rozumiałam długo. I dlatego ufam, że Bóg mnie nie będzie karać. Nie moja wina! Biedny, biedny Adaś!

WŁADYSŁAW.

Adaś? Kto to taki?

OTTYLIA.

Wańdzia o nim nic nie pisała?

WŁADYSŁAW.

Nigdy. Pierwszy raz słyszę.

OTTYLIA.

A przecie od roku jest jej narzeczonym.

WŁADYSŁAW.

Narzeczonym?

OTTYLIA.

Tak jest. — i rozumiem, dlaczego nie pisała.

WŁADYSŁAW.

Dlaczego?

OTTYLIA.

Bo kochała — pana!

WŁADYSŁAW.

Mnie? Nie znając?

OTTYLIA.

Znała pana z listów, a zwłaszcza — z wyobraźni...

WŁADYSŁAW.

Ależ to chyba choroba wyobraźni...

OTTYLIA.

Choroba czy nie, uleczyć z niej Wańdzię — trudno. Znam ją przecie: charakter ma ze stali. A zresztą — jeśli w tem jej szczęście...

WŁADYSŁAW.

Szczęście?... Jakież szczęście dać jej może taka ruina?

OTTYLIA.

Rosną i na ruinach kwiaty... A zresztą nie-słusznie pan siebie oceniasz: jesteś tylko rośliną, przesadzoną na grunt obcy i pozbawioną długo światła i ciepła.

WŁADYSŁAW.

I zwiędłą.

OTTYLIA.

Może tylko potrzebującą trochę słońca, żeby wrócić do życia. A Wańdzia potrafi być tem słońcem dla pana!...

WŁADYSŁAW (*z mimowolnym wybuchem*).

O, wiem, że byłaby niem dla mnie!

OTTYLIA.

Więc czegoż się pan wahasz?

WŁADYSŁAW.

Ja? Czy się wabam? (*chwila milczenia*). I pani sądzisz, że jej tego nie można wybić z głowy?

OTTYLIA.

Ani z głowy, ani z serca. Nie bój się pan! Chyba...

WŁADYSŁAW.

Chyba?...

OTTYLIA.

Chybaby ktoś stracił jej bożyszczę z piedestalu. Ale pan jeden mógłbyś to uczynić, a pan tego nie zrobi, panie Władysławie! Pan nie zawiedzie jej zaufania! I będzie pan dobrym dla niej, prawda?.. (*podaje mu rękę i ociera łzy, potem odchodzi*).

SCENA IX.

WŁADYSŁAW.

(*Długa chwila milczenia*).

Chybaby ktoś stracił jej bożyszczę z piedestalu... Rozumiem... Tak... tylko ja jeden... (*chwila milczenia*). Czemu się buntujesz, stare, głupie serce?... Kwiatów ci się zachciało, wiosny, słońca? Milcz i cierp — to twoja dola (*stoi bez ruchu z zacisniętymi rękami, chwila milczenia*).

SCENA X.

WŁADYSŁAW — ADAM.

ADAM (*zbliża się szybko do Władysława*).
Pan Zgleński?

WŁADYSŁAW.

Tak. Mówię zapewne z narzeczoną panny
Wandy?

ADAM.

Z jej byłym narzeczoną.

WŁADYSŁAW.

Byłym?!

ADAM.

W tej chwili zwróciłem jej pierścionek.

WŁADYSŁAW.

Pan — jej?

ADAM.

Uprzedziłem w tem jej życzenie — wiem. Ale
wolałem, aby to wyszło odemnie.

WŁADYSŁAW.

Rozumiem pana. Chciałeś zdjąć ciężar z jej
serca i zapobiedz wyrzutom sumienia.

ADAM.

Kocham ją i chciałbym, żeby była szczęśliwą,
a sam szczęścia jej dać nie potrafię.

WŁADYSŁAW.

Czy pan sądzisz, że ja to potrafię lepiej?...

ADAM.

Ona kocha — pana!

WŁADYSŁAW.

I żalu pan nie masz ani do niej ani do mnie?

ADAM.

Żalu? Za co? Że skowronek wolał wzbic się w górę, zamiast latać przy samej ziemi, jak szary wróbel? Czemże ja jestem, ja prosty wieśniak, zagrzebany w mojej pszenicy i burakach, żeby rościć sobie prawo do jej serca? Pan co innego. Pan i ona stoicie na równi. Bóg was stworzył dla siebie!

WŁADYSŁAW (*w zamyśleniu, jakby do siebie*).

A* — gdyby tak było...

ADAM (*z mocą*).

Tak jest, tak być musi, skoro ona pana kocha!

WŁADYSŁAW.

A pan?

ADAM.

Ja, — cóż po mnie? Będę dalej siał pszenicę i sadił buraki, oczyszczał ziemię i grosz zbierał. Myślałem dotąd, że to dla niej — teraz będę to robił dla was, panie Zgleński.

WŁADYSŁAW.

I takie serce ona miałaby odrzucić?!

ADAM.

Ufam, że znajdzie lepsze w zamian! Tylko niech je znajdzie i niech w niem znajdzie szczęście! Pamiętaj o tem, panie Zgleński! (*wychodzi*).

SCENA XI.

WŁADYSŁAW (*sam, patrząc za nim, powtarza poğłosem*).

I takie serce ona miałaby odrzucić? (*długie milczenie. Na twarzy Władysława widać silną wewnętrzną walkę. Patrzy w ziemię z zaciśniętymi ustami i rękoma. Wreszcie wstrząsa się z wybuchem*). Nie!

SCENA XII.

WŁADYSŁAW — OTTYLIA.

OTTYLIA.

Skonczone wszystko. Jedna chwila wystarczyła panu do zwycięstwa, panie Zgleński.

WŁADYSŁAW.

Do zwycięstwa? Do jakiego zwycięstwa?

OTTYLIA.

O, wiem, żeś pan o nie się nie starał: przyszło

samo — ale przyszło jak piorun! Adaś zwrócił Wańdzi pierścionek. Marszałek się zgadza.

WŁADYSŁAW.

Zgadza — na co?

OTTYLIA.

Jakto — na co? Nie pamiętasz już pan, co ci Wańdzia mówiła przed chwilą?

WŁADYSŁAW (*z naciskiem*).

Nic nie słyszałem!

OTTYLIA (*patrzy na niego ze zdumieniem*).

Nie słyszałeś?...

WŁADYSŁAW (*j. w.*).

Ani słowa!

OTTYLIA (*po chwili milczenia*).

Szczęście przyszło, a pan przed niem drzwi zamykasz?

WŁADYSŁAW (*j. w.*).

Tak trzeba.

OTTYLIA.

A jeśli to jej szczęście?

WŁADYSŁAW.

Nie — to tylko jej marzenie!... A marzenia — mogą się rozwiązać.

OTTYLIA.

Rozwiąć marzenia — kto to potrafi?!

WŁADYSŁAW.

Ja!

OTTYLIA.

Panbyś to zrobił, pan?

WŁADYSŁAW.

Postanowiłem — i zrobię!

OTTYLIA.

Jak?

WŁADYSŁAW (*rzucając okiem na stolik z tacą*).
Zdaje mi się, że już wiem — jak.

SCENA XIII.

CIŻ — WANDA i ADAM.

(*Schodzą z werandy rozmawiając; zszedłszy, Wanda bierze obydwoma rękami dłoń Adama i ściska ją*).

WANDA.

Jak ja ci odpłacę, mój Adasiu, jak przeproszę za wszystkie moje dzieciństwa i winy!

ADAM.

Dajże pokój.

WANDA.

Nie znalazłam cię dotąd! Ta rozmowa twoja z ojcem... (*zwraca się do Władysława*). Bądźcie przyjaciółmi, braćni — prawda?

WŁADYSŁAW (*z obcym akcentem, zmienionym głosem*).

Dlaczego nie?... Owszem, — ja rad.

WANDA (*patrzy na niego zdziwiona*).

WŁADYSŁAW.

Ja dobrych przyjaciół lubię... Czemu nie lubić? I pogadać, i pobawić się, i wypić razem można. Ja do tego wszystkiego ochotnik!

WANDA.

Panie Władysławie!

WŁADYSŁAW.

A co? Może ja co złego powiedział? To przepraszam... U mnie tak, poprostu, serce jak na dłoni! Wy tu jeszcze, wiem, bawicie się w ceremonie, romansy, grymasy, — my od tego odwykli. A nauczyci się (*śmieje się*) wiecie czego? (*podchodzi do Wandzi, która, po krótkim wahaniu cofa się i staje przy zasłaniającym ją Adamie*). Ot, tego, że jak ma być przyjaźń, to trzeba ją zapisać! (*Zbliża się do stolika i nalewa wódki do szklanki*). No, ja już sobie gołnął uczciwie na przywitanie. Wy wyszli i zostawili mnie samego

i ot — zasmucił się ja, zamgliło koło serca. Toż i rozglądam się, patrząc: aż tu karafinka na stole, dla miłych gości, w sam raz na pociechę! No, toż i pocieszym się jeszcze! (*pije i nalewa drugi raz*). A teraz w ręce wasze! Co, ha?...

ADAM.

Dziękuję. Piję rzadko wódkę, a nigdy szklankami.

WŁADYSŁAW.

Ot i przesąd! Ze szklanki najlepiej Co kieliszek? Naparstek dla wróbla! Po co sobie żałować? (*pije trochę, zastaniając szklankę ręką, i resztę płynu wyrzuca za siebie ukradkiem, potem stawia szklankę z brzękiem na stole*). Uf, aż zamroczyło. Ot my w Sybirze tem się i pocieszali. Inni zmarnieli z nędzy i żalu, a my uratowali się!

WANDA.

Pisał mi pan, żeście ratowali się inaczej...

WŁADYSŁAW.

Aj, te listy! No, to już niema co: trzeba prawdę powiedzieć! Widzi pani: we mnie siedziało dwóch ludzi. Stary człowiek wstydył się, udawał, chował się za parawan — nowy pomagał sobie, jak mógł. I teraz tak. Człowiek czuli się i żali po staremu, poezye gada i na szczydłach łązi, póki naczco, a jak się napije, dusza mu się otwiera — i wtedy jest szczery.

WANDA.

Więc w listach swoich nie byłś pan szczery?

WŁADYSŁAW.

Stary człowiek, łaskawa pani i stara komedia!

WANDA.

Nie, to być nie może, — nie wierzę! Panie Zgleński, to jakiś okrutny żart z pańskiej strony, czy jakaś bardzo niezastężona próba!

WŁADYSŁAW.

Próba... żart?... Po co? Dlaczego? Ot, poprostu starka u was dobra, a ja zziąbł dziś rano. Jak to mówi przysłowie? In vino veritas. A w wódce — nie?

WANDA (*do Ottylii*).

Moje marzenia, moje sny! Boże, Boże!

ADAM (*do Ottylii półgłosem*).

To jednak nie do pojęcia! Tak zmienić się w jednej chwili!... Gdybym mógł przypuszczać...

OTTYLIA (*do Adama cicho*).

Nic pan nie przypuszczaj! Nie sądź i czekaj...

ADAM (*j. w.*).

Czego?

OTTYLIA (*j. w.*).

Aż go poznasz.

[ADAM.

Zdawało mi się, że go znam ze słyszenia. I teraz, przed kwadransem... A tymczasem widzę, że go nie znałem do tej chwili.

OTTYLIA.

W tej chwili dopiero nie znasz go wcale].

WŁADYSŁAW.

A ja tu do was na krótko tylko zaglądną].

ADAM.

Jakto?

WŁADYSŁAW.

Ja tam wracam. Przywykłem. Tu mnie nic nie ciągnie, a tam obiecali posadę na Uralu — cudo nie posadę. Pięć tysięcy rocznie, progony i procenty. A ja już dosyć nędzy się najadł przez te wszystkie lata. Teraz chcę żyć!

ADAM.

A cóż się stanie z Horyńcem?

WŁADYSŁAW.

Co się ma stać?... Jak był w dzierżawie, tak będzie. A zdarzy się dobry kupiec...

ADAM.

Sprzedalbyś pan?

WŁADYSŁAW.

A pan myśli, że nie?

WANDA.

Obcemu — tę ziemię, która raz z rąk naszych wypuszczona, nigdy już, nigdy do nas nie wróci?!...

WŁADYSŁAW.

Żal, ale cóż robić? Muru głową nie przebijesz! A przytem to także mrzonki. Takie same zaprowadziły nas kiedyś tam, — daleko.

WANDA.

Więc i to były mrzonki?

WŁADYSŁAW.

I to, i tamto. Co pomoże, że ja mój kapitał więzę w kawałku ziemi, nie mając ani dochodu ani zabezpieczenia, jeśli ten kraj i tak czy prędzej czy później przejdzie cały w obce ręce? Ot i my zerwali się w kilka tysięcy waryatów, przeciw takiej sile, co potrzebowała palcem kiwnąć, aby nas czapkami zarzucić. — Pomogło co?...

[Miałem wtedy trzydzieści lat, zdrowie, powodzenie, majątek. A teraz?... Na Horyńcu długi i cud, że nie skonfiskowali, u mnie ideały wywietrzały z głowy, a kiedy życia chciałoby się użyć — padam do nóg! Ani zdrowia, ani pieniędzy, gdyby nie wódka-drużka, powiesiłby się człowiek]. Ot, waryatami byli my wszyscy, teraz rozum przyszedł, ale zapóźno!

WANDA.

Waryatami?... *(nerwowym ruchem odwraca*

się do Adama i podaje mu rękę). Dziękuję ci, żeś ty zawsze był i pozostałeś takim waryatem — i wierz mi, potrafię cię za to cenić teraz!

WŁADYSŁAW (*kiwając dobrodusznie głową*).

A słusznie, słusznie! Co to komu szkodzi? Wy oboje młodzi, wam i zdrowo pobawić się w idealisty... nie to, co nam starym.

WANDA.

Pana zaś... (*głos jej załamuje się w łkaniu, skłania głowę ku Władysławowi i chce odchodzić — Władysław idzie za nią oczyma, twarz mu się zmienia zupełnie i przybiera wyraz bezgranicznego smutku*).

ADAM (*do Ottylii*).

Ależ ten człowiek gra komedye!

OTTYLIA (*tak samo*).

A pan dopiero teraz to spostrzegasz?

WŁADYSŁAW.

Więc ja już państwa nie zobaczę przed wyjazdem, bo mi pilno wracać...

ADAM.

Jedzie pan?

WŁADYSŁAW.

Za parę dni. (*zwyczajnym głosem ciszej*).
I na zawsze!

WANDA (*która przez cały ten czas stała w głębi za szklannemi drzwiami z twarzą ukrytą w dłoniach, odwraca się i schodzi z werandy powoli, z widocznem wahaniem*).

Panie Zgleński!

WŁADYSŁAW.

Co... pani?

WANDA.

Powiedz, na pamięć Maryi, którą kochałeś, na pamięć matki twojej cię zaklinam, powiedz... Co było prawdą u ciebie: to, coś pisał, coś mówił mi dziś jeszcze, czy to, co — teraz?!...

WŁADYSŁAW (*stoi w milczeniu z oczyma utkwionemi w ziemi i zaciśniętymi ustami*).

WANDA.

Przypomnij sobie to wszystko, co ci było święte i drogie — lata twoje młode, twój wyjazd do obozu, twoją pierwszą miłość i twoją wygnańczą tęsknotę... przyjaźń naszą długą, promienną, — przypomnij, że ponad nami jest Bóg, który w sercach czyta, i będzie nas sądził, i powiedz, Władysławie!... powiedz, żeś grał straszną komedię i stań się znów sobą! (*długa chwila milczenia*).

WŁADYSŁAW (*wybuchając nagłym śmiechem*).

Ha, ha, ha!... To dopiero komedia! Romansy, ideały!... Ot, na odjeźdnie i na pożegnanie — zdrowie pani! (*odwraca się i nalewa z karafki do szklanki: szkło wypada mu z ręki i tłucze się*).

Ha, ha... Dobra wróżba... Będzie tu wesele!

WANDA.

A więc drogi nasze się rozchodzą... dziękuję panu za wszystko dobre, które... I niech nad panem czuwa Bóg! (*wychodzi prędko*).

WŁADYSŁAW (*wyciąga za nią ręce z wyrazem strasznego cierpienia, potem odwraca się i kryje twarz w dłonie, Ottylia i Adam stają przy nim po obu stronach*).

SCENA XIV.

WŁADYSŁAW, OTTYLIA, ADAM.

WŁADYSŁAW (*odejmując ręce od twarzy*).
Ach! przepraszam! Zapomniałem...

OTTYLIA.

Niech panu Bóg płaci!

ADAM.

Pan jesteś więcej, niż człowiekiem!...

WŁADYSŁAW.

Ach, jestem nim aż nadto w tej chwili...

ADAM.

Ona cię pozna, jakim jesteś... kiedyś!... Powiem jej wszystko!

WŁADYSŁAW.

Nie! Nie mów nic! Nie trzeba mącić w duszy jej spokoju, gdy wróci, a wróci niedługo. Niego-

dnego wyrzuci z serca i pamięci — i tak będzie lepiej...

ADAM.

Ale ja, jak ja zostanę z takim strasznym brzemieniem ofiary twej na barkach?! Jak mi żyć z tem, jak myśleć o tobie?!

WŁADYSŁAW.

Musisz!... Nie dla siebie: dla niej! Pamiętajsz, co mi mówiłeś: »Niech ona tylko będzie szczęśliwa... o mnie mniejsza!«

ADAM.

Oczy nasze, dusze nasze iść będą za tobą wszędzie, wszędzie...

WŁADYSŁAW.

Po co pytać liścia strąconego z drzewa i miotanego burzą, dokąd niesie go wicher? Pozwólcie mi ukryć się w cieniach nocy, w którą idę, i zniknąć bez śladu. W oceanie ludzkiego cierpienia jedna kropla więcej czy mniej — co na tem zależy?.. Strzeżcie od wroga ziemi, którą zostawiam, — i bądźcie szczęśliwi!... Ja was pamiętać będę, dożywając samotnie resztek życia.

ADAM.

Ach, nie mów tak, przyjacielu! Da Bóg — i na twojej drodze zaświeci słońce!

WŁADYSŁAW.

Niech wam tylko świeci jasno, długo!... Jam już w godzinie zachodu.

SPIS RZECZY.

Lucifer	1
Gwiazdka w Baedekerze	73
Kto on?	167
W otchłań	215
Jak liście z drzew strącone	257

Biblioteka Uniwersytetu
M. CURIE-SKŁODOWSKIEJ
w Lublinie

A | 18186. |

BIBLIOTEKA U. M. C. S.

Do użytku tylko w obrębie
Biblioteki